

Polska Kolekcja Kryminalna

MARCIN  
ŚWIETLICKI



JEDENAŚCIE



**Na początku było Dwanaście. Potem: Trzynaście.  
A teraz, naturalną kolejną rzeczą: Jedenaście!**

Przedmieście. 11 kilometrów od Krakowa.  
Przejeżdżający drogą pracownik telewizji  
widzi zakrwawionego człowieka.

Przedmieście. 11 kilometrów od Krakowa.  
Mistrz i dziewczyna w restauracji Styłowa  
próbują pojąć tajemnicę śmierci Doktora.

Przedmieście. 11 kilometrów od Krakowa.  
Jest światło w domu zabitego.



Marcin Świetlicki przedstawia  
ostatnią część przypadków  
mistrza. Do strony 160 jest  
to książka niemal metafizyczna.  
A później kryminal.  
Dwa w jednym za tę samą cenę.

**Marcin Świetlicki** (ur. 1961).  
Poeta, prozaik, ceniony eseista.  
Głównie znany z tego, że podobnie  
jak Raymond Chandler, zanim  
zabrał się za prozę kryminalną,  
pisał wiersze. Ostatnio ukazał się  
zbiór *Nieoczywiste* (EMG 2007).  
Ponadto pisze piosenki  
i wykonuje je z zespołem *Świetlicki*.



**PATRONI  
MEDIALNI**



MARCIN  
ŚWIETLICKI  
JEDENAŚCIE

*Nakładem wydawnictwa EMG  
w Krakowie w roku 2008*

*„Jedenaście” - powiedziałem, wiedząc, że tę liczbę czciciele demonów uważają za świętą. Mieści się w niej nadwyżka nad doskonałą liczbą „10”, piekielny przydatek, rozbijający Boską harmonię wszechświata. Poza tym liczba „ 11 „ składa się z dwóch jedynek, co symbolizuje podwójny prapoczątek wszechświata, a zatem również pretensję diabła do tego, by nie być tworem zbuntowanym przeciw Twórcy, lecz osobą równą Bogu – stworzycielowi wszystkiego, co istnieje.*

Leonid Józefowicz - *Księżę wiatru,*  
przeł. Wiktor Dłuski

## rozdział pierwszy

Wiało. Wiało niezmiernie.

Pan Grzesio wyłączył odtwarzacz. Włączył radio. Właśnie odegrano hejnał mariacki i głos spikerki oświadczył: - Wieje. Wieje w całym kraju.

Pan Grzesio dojeżdżał do Krakowa swoim cudnym, lśniącym autkiem, to już tylko kilkanaście kilometrów mu zostało, już, już zaraz się wjedzie w cywilizację, trzeba jeszcze przejechać przez ten rzadki, goły, zaśmiecony lasek i już w oddali będzie widać miasto.

Pan Grzesio krzyknął.

Pan Grzesio krzyknął powtórnie.

Przez lasek czołgał się zakrwawiony człowiek.

Podnosił się, upadał, krwawił.

Pan Grzesio zobaczył go kątem oka, zwolnił, potem przyspieszył, potem zwolnił, potem zatrzymał się, westchnął, wysiadł z auta, popatrzył w tamtą stronę.

Był już za daleko, aby widzieć wyraźnie, ale rzeczywiście: coś czerwonego, nienaturalnego, pełzło wśród śmieci przez białoczarny styczniowy lasek targany wiatrem.

- O Jezu! - wezwał nadaremno pan Grzesio.

Wsiadł do auta. Posiedział. Westchnął. Ruszył.

Znienacka pojawiła się tabliczka: KRAKÓW 11. Jedenaście kilometrów do miasta. Pan Grzesio zwolnił i po lewej stronie zobaczył rząd domów. Niektóre były całkiem przyzwoite, niektóre w ogóle przyzwoite nie były. Po prawej stronie natomiast stały jakieś hurtownie, jakieś budy, jakieś żalosne pawilony.

Wiatr wiał tak wielki, że wydawało się, że za chwilę to wszystko się z wielkim hukiem rozleci. I bardzo by było dobrze, gdyby się rozleciało.

- Tyle razy tędy przejeżdżałem, a jakoś nie zauważyłem tego miejsca - pomyślał pan Grzesio. - No, ale nigdy nie jechałem tędy tak wolno, nie rozglądałem się. Nigdy nie było też takiej sytuacji, żebym zobaczył zakrwawionego człowieka pełzającego przez las.

Zadzwoniła komórka. Bardzo przyjemny dla ucha sygnał sobie pan Grzesio wybrał. Relaksujący.

Zaparkował przed sklepem spożywczym. Dopiero wtedy odebrał.

- Gdzie jesteś? - zapytał głos w komórce.

- Niedaleko. Coś jeszcze muszę załatwić i jestem.

- Ale tutaj jest straszna panika, tylko mnie mają opierdalać? Bądź jak najszybciej!

- Dzięki wielkie za info - powiedział pan Grzesio. - Pozdówka - dodał.

Rozłączył się.

Wszedł do sklepu.

Żaloszny wybór. Wielkie butelki z kolorowymi płynami chłodzącymi produkcji podrzędnych firm. Jakieś konserwy, jeden rodzaj sera. Duży, wyblakły plakat z dziewczyną w stroju kąpielowym liżącą z niewiarygodnym zachwytem różowego, trójkątnego loda. Brzydka, nieprofesjonalna sprzedawczyni w fartuchu. Zapach skwaśniałego mleka i kiszzonej kapusty.

- Dzień dobry - grzecznie powiedział pan Grzesio, a ona zabulgotała coś w odpowiedzi.

- Czy jest tu u was policja? - zapytał pan Grzesio, raczej nie licząc na sensowną odpowiedź. Sądząc po jej mało rozgarniętej buzi, nie można się tu było niczego konkretnego spodziewać.

- Jaka policja? - siwa kobieta rozdziawiła usta.

- Polska policja - uprzejmie podpowiedział pan Grzesio.

- Tu jest sklep, tu nie ma policji - oświadczyła sprzedawczyni.

Właśnie czegoś takiego potrzebował pan Grzesio. Prostej, rzetelnej informacji. Zachciało mu się płakać.

- U was, w tej waszej miejscowości, jest jakaś policja? Kto tu się zajmuje porządkiem? Kto tu rządzi? - brnął.

- A, o Moralesa pan pyta! - uśmiechnęła się sprzedawczyni radośnie. - Trzeba było od razu mówić! Na pewno nie ma go w domu, pewnie siedzi w Stylowej!

Pan Grzesio westchnął głęboko. Zadał cierpliwie jeszcze kilka pytań. Dowiedział się, że rzeczony Morales, nazywający się naprawdę zupełnie inaczej, być może w tej chwili, jeśli nie pojechał do Krakowa, siedzi w jedynej miejscowej knajpie, nazywającej się Stylowa. Stylowa nie stoi przy drodze, jak większość budynków w tej miejscowości, tylko trzeba pojechać wąską dróżką jakiś kilometr w stronę lasu, tam jest ta Stylowa i tam należy zapytać o Moralesa, w tej okolicy wszyscy go znają.

Niemal odechciało się panu Grzesiowi robić czegokolwiek, szukanie jakiegoś wsiowego policjanta i opowiadanie mu o zakrwawionym człowieku w lesie wydało mu się naraz takim absurdem, że już miał zamiar zrezygnować.

Ale z drugiej strony należy nadmienić, że pan Grzesio był wyróżniającym się pracownikiem niepublicznej telewizji. Jako operator bardzo wiele zrobił dla programu poświęconego zbrodni, przemocy w rodzinie i korupcji. Zakrwawiony człowiek mógłby być doskonałym tematem. Zazwyczaj to pana Grzesia i jego ekipę wzywano do zakrwawionych ludzi, przyjeżdżali niejako na gotowe. A tym razem to pan Grzesio byłby pierwszy, byłby tym, który wzywa ekipę. Tym razem to pan Grzesio byłby u źródła zbrodni.

Przemyślał to sobie, rozważył plusy i minusy, rozważył każde za i każde przeciw, i zdecydował się pójść śladem zbrodni. Więc jednak trzeba odnaleźć policjanta Moralesa. Wsparcie mundurowego było konieczne. Sam nie za bardzo chciał się zbliżyć do zakrwawionego. To nie na jego nerwy. To nieestetyczne. Niehigieniczne. Nie-ludzkie.

Podjechał wąską, zabloconą drogą, to było bardzo blisko, długo nie musiał szukać, już z daleka widać było tę budę, już z daleka widać było wielki, wymyślny napis: STYŁOWA, wymalowany przez jakiegoś miejscowego malarzynie na wielkiej desce umieszczonej na dachu piętrowego, ohydneho przybytku.

Wokół lokalu krążyło stado zabloconych kur, wiatr wiał jeszcze bardziej, niemal unosił te kury, niemal podrywał je do lotu.

Pan Grzesio brzydził się kurami, zanim jeszcze dowiedział się o ptasiej grypie. Pan Grzesio brzydził się kurami od zawsze. Kury powinny wyginąć razem z dinozaurami, według pana Grzesia.

Westchnął, wyminął kury szerokim łukiem i po drewnianych schodkach wszedł do wnętrza.

Wewnątrz było prawie pusto, jedynie przy barze siedziało dwóch mężczyzn.

Obydwaj ubrani po cywilnemu. Obydwaj pili alkohol.

\*

- I on szedł po krawężniku - opowiadał Morales. - Szedł po krawężniku, niziuteńki, drobnieteńki, siwiuteńki, o buzi jak jabłuszko. Każdego roku, w pierwszych dniach wiosny. Przechodził przez przedmieście pomaleńku, malutki kroczek po malutkim kroczeniu. Ciężarówka i auta osobowe mijaly go trąbiąc, to niebezpiecznie tak iść po krawężniku, zwłaszcza w takim miejscu jak nasze przedmieście. A on nic sobie z tego nie robił. Nie zauważał tych aut, nie słyszał trąbienia. Niósł toboleczek zrobiony z prześcieradła. Przez to prześcieradło mówili na niego spadochroniarz. Wszyscy wiedzieli, że jak ten staruszek spadochroniarz się pojawi, to zaraz będzie wiosna. Różne legendy o nim wymyślano. Ja na przykład wierzyłem, że to Żyd Wieczny Tułacz, który obchodzi całą kulę ziemską, idąc po krawężnikach. No i któreś wiosny stałem na balkonie i patrzyłem, jak on idzie. I on nagle podniósł głowę i trzęsącym się głosem powiedział: „Chłopczyku, przynieś mi wody”, więc ja w pośpiechu złapałem kubeczek, nalałem mu wody, zbiegłem po schodach, podbiegłem do niego, on kiwnął głową, wyciągnął rękę, nie zatrzymując się opróżnił kubeczek i oddał mi go. Mówię panu, to chyba najważniejsze wydarzenie z mojego dzieciństwa. To tak jakbym otarł się bezpośrednio o świętego albo coś takiego. Do tej pory mam ten kubeczek. Do tej pory nie pozwalam nikomu z niego pić!

- Piękna historia, hohoho! - powiedział mistrz.

\*

Pan Grzesio poczuł natychmiast, że coś się nie zgadza. I zaraz pojął co.

Znał tego zniszczonego, zaniedbanego człowieka, siedzącego z tym drugim, nieznanym, przy tandetnym, wsiowym, nieprofesjonalnym barze (sztuczne złoto, sztuczna purpura, sztuczny metal, sztuczne drewno, sztuczne szkło).

W żaden sposób pan Grzesio nie mógł się spodziewać tego człowieka tu, na przedmieściu. Znał go z miasta, z zupełnie innych



miejsc. Kilka razy już się o siebie otarli i wszystkie te otarcia koja-  
rzyły się panu Grzesiowi wyłącznie z wielkim niesmakiem i kłopotami.  
To tak jakby otrzeć się o trupa.

Dni, kiedy pan Grzesio napotykał mistrza, były przepełnione  
kłopotami, natychmiast zaczynały dziać się rzeczy, które w upo-  
rządkowanym, normalnym życiu wyróżniającego się pracownika  
przodującej telewizji nie miały prawa zaistnieć, ohyda.

Mężczyzna ten reprezentował wszystko, czego pan Grzesio nie-  
nawidził. Mężczyzna ten reprezentował kłopoty i nieprzyjemności.

A jednocześnie pan Grzesio miał świadomość, że on sam repre-  
zentuje wszystko to, czego nienawidzi ów mężczyzna.

- A może dać sobie spokój? Może wsiąść do auta, machnąć na  
to wszystko ręką i wrócić do Krakowa, nie zawracać sobie głowy  
tym okrwawionym, czołgającym się? Po co ci to, Grzesiu, po co ci  
to? - zapytał sam siebie. I nie udzielił sobie żadnej odpowiedzi.  
Zamiast tego jednak podszedł do baru i nie patrząc w stronę mi-  
strza, zagadnął drugiego z obecnych, dużego, jasnowłosego, nie-  
młodego, poważnego mężczyznę:

- Przepraszam pana, mam takie pytanie: czy zastałem tu pa-  
na... hm... Moralesa?

Duży jasnowłosy uśmiechnął się serdecznie i uściśnął wielką ko-  
ściistą łapą wypielęgowaną dłoń Grzesiową.

- Morales jestem. Tak na mnie mówią. Na mojego brata też  
mówią Morales. Ale chodzi panu na pewno o mnie. Czym mogę  
służyć?

Grześ zdziwił się, że policjant jest w cywilnym ubraniu, ale nie  
skomentował tego. Widocznie tu, na prowincji, jest możliwe, by  
policja chodziła po cywilnemu i przesiadywała w knajpie.

Człowiek zwany mistrzem prawdopodobnie również rozpoznał  
pana Grzesia, przynajmniej takie pan Grzesio odniósł wrażenie;  
niby rozpoznał, ale zeszywniał, przestał patrzeć w jego stronę, za-  
czął kontemplować butelki stojące na półeczkach za barem.

Człowiekowi zwanemu mistrzem twarz pana Grzesia rzeczywi-  
ście wydała się znajoma. Bardzo często z otaczającej go wiecznej  
mgły, magmy, wynurzała się jakaś znajoma twarz, ale mistrz nie  
musiał jej rozpoznawać, to wcale nie był jego obowiązkiem.

Mistrz zapadł w sen.

Śnił z otwartymi oczami.

Śnił, że idzie po krawężniku przez przedmieście, powolutku, powolutku, na plecach niesie tobolek zrobiony z szarego prześcieradła, stary, siwy spadochroniarz, idzie, pić mu się chce. Uniósł do ust szklaneczkę z kolorowym alkoholem, upił. I znowu szedł powolutku, noga za nogą, po krawężniku. Wielkie auta mijaly mistrza, trąbiły, a on szedł.

I nie słyszał rozmowy pana Grzesia z Moralesem.

- Wie pan - mówił uśmiechnięty Morales - a może się panu przywidziało? U nas się takie rzeczy nie zdarzają. Jakby ktoś kogoś chciał u nas zabić albo pobić, to od razu by wszyscy wiedzieli, zanim by ruszył ręką. Nie warto. W tej okolicy, oprócz tych miastowych, co mają te wille o tam, i tych, co mają letnie domki pod lasem, to mieszka na stałe góra czterdzieści osób. Ja ich wszystkich znam. Ja tu mieszkam od urodzenia. To moja mała ojczyzna. Żadnych dzieci, żadnej młodzieży, jeden miejscowy pijak, jeden pijak przyjezdny - tu wskazał dyskretnie mistrza. - Ja, proszę pana, nie mogę zostać pijakiem, choćbym nawet chciał, mam za mocny łeb, żeby być prawdziwym pijakiem, w dodatku nazbyt wiele obowiązków, żeby poświęcać się temu zgubnemu nałogowi. Mój brat owszem, mógłby być pijakiem, ma dużo słabszą głowę ode mnie, ale ma za to silny charakter, jak postanowi czasem, że nie pije, to nie pije, choćby to nawet jakaś uroczystość rodzinna była, chrzciny albo stypa. Choćby nawet miał ochotę się napić, to jak sobie postanowi, że nie, jak się zaprze, to koniec. Szkoda, że go pan nie pozna, dziś rano gdzieś tam pojechał. Cudowny chłopak, złote ręce, złote serce, też na niego mówią Morales...

Pan Grzesio dopiero teraz, po tej wypowiedzi, pojął, że Morales wypił już bardzo dużo. Mówił wprawdzie wyraźnie, logicznie, ale troszeczkę nie na temat.

A tamten drugi siedział i milczał, uparcie wpatrując się w butelki. Jakby tam na nich było coś bardzo istotnego napisane.

Pan Grzesio poczuł się bezradny. Nie lubił takich ludzi, ani takich miejsc. Nie był do nich przyzwyczajony. Znowu zachciało mu się płakać. Płacz byłby jakimś ratunkiem przed tą nienormalną sytuacją.

Dziwnie czuł się w obecności tego prostego, wielkiego chłopiska. Przerażały go zawsze proste, wielkie chłopiska. Na szczęście nie za często z nimi obcował. Na szczęście zazwyczaj przebywał z podobnymi sobie ludźmi.

Denerwowała go również nieoczekiwana obecność upiora zwanego mistrzem. To nic zapowiadało niczego dobrego.

Zza kotary zasłaniającej zaplecze wyłoniła się dziewczyna.

\*

Zakrwawiony widział, że samochód zwolnił. Widział, że samochód zatrzymał się, że z samochodu ktoś wysiadł.

Poczuł, że jest uratowany.

Pomyślał, że wszystko skończy się dobrze, jak to się mówi, ucieknie stąd, będzie uratowany, wszystkie niejasności zostaną wyjaśnione, a wszystkie zerwane związki ponownie zawiązane.

Zaczął krzyczeć, ale wiatr głużył ten krzyk, wiatr wtłaczał krzyk z powrotem do gardła, jak to się mówi.

Przewrócił się, podniósł.

Do drogi nie było wcale daleko.

Niezdarnie pokuśtykał jeszcze kilka metrów, krew zalewała mu oczy, przez zasłonę z krwi, jak to się mówi, zobaczył, że auta już nie ma, odjechało auto, ale będzie jakieś następne, byle dotrzeć do drogi, wtedy na pewno ktoś się zatrzyma, pomoże, wywiezie go z tej przeklętej okolicy, w której nieustanne niebezpieczeństwo mu grozi, pojawi się jakiś anioł w samochodzie i wywiezie go stąd, nie wolno tu zostawać, należy stąd odejść, tak musi być.

Zakrwawiony zatoczył się, upadł, stracił przytomność, wydawało mu się przez chwilę, że ktoś jest obok, podnosi go i niesie, przez chwilę poczuł się bezpieczny.

Wiatr się wzmógł.

\*

Morales powiedział tubalnym głosem:

- Ale jeżeli pan się upiera, to przecież możemy tam iść i zobaczyć. Przecież już tam idziemy! Pewnie się panu przywidziało, pewnie nic tam nie ma, ale każdy stróż porządku powinien reagować na doniesienia obywatelskie. Ja na Kaczyńskich niestety nie głosowałem, ale teraz żałuję, bo ich umiłowanie praworządności w pełni podzielam i rozumiem. Mieli szansę zrobić porządek, ale im nie dali, zablokowali, panie, stłamsili. A dlaczego? Bo się ich, panie, bali. Bo się bali, że ich rozliczą. Ja też mam brata, tyle że nie bliźniaka,

i wiele razy osiągnęliśmy we dwóch to, co zamierzaliśmy. Ale u nas miejscowość niewielka, łatwiej posłuch wprowadzić. Faktycznie to my tu z bratem rządzymy. Gdyby cała Polska była taka jak to nasze przedmieście... - rozmarzył się Morales, wędrując wraz z panem Grzesiem w stronę lasu.

Zostawili nieszczęsnego mistrza z młodą barmanką w Stylowej. Auto też pozostawili przed Stylową, pan Grzesio pomyślał, że tak będzie lepiej.

Nie przerywał wywodu politycznego Moralesa, siedł z tym ogromnym chłopem i milczał. Sam głosował na lewicę, ponieważ lewica jako jedyna nie miała zamiaru walczyć z palaczami i posiadaczami marihuany, a to był bardzo istotny argument dla pana Grzesia, ponieważ pan Grzesio czasami lubił sobie owo ziele zapalić, czuł się wtedy niemal jak dyrektor generalny swojej firmy, rozluźniał się i miał różne ciekawe i nieoczekiwane przemyślenia i inspiracje dla nowych projektów. Legalizacja tej używki bardzo leżała panu Grzesiowi na sercu.

Więc milczał. Drobił obok Moralesa po zabłoconej drodze, coraz bardziej przerażony, coraz bardziej zniechęcony, coraz bardziej zrezygnowany.

Do lasu było bardzo blisko, ale Morales ciągle spotykał kogoś po drodze, co chwilę przystawał, gawędził, widać było, że naprawdę jest tu kimś ważnym. Kierownikiem całej okolicy.

- A ten, co z panem siedział w tej knajpie, to kto to? - zapytał po jakimś czasie pan Grzesio.

- A to taki gościu od was z Krakowa. On tu od wielu miesięcy przyjeżdża, pije na umór, porządnej dziewczynie głowę zawraca i wypytuje.

- A o co wypytuje?

- A coś pan taki ciekawy? - Morales łypnął znieczeka podejrzliwie.

- Bo ja, proszę pana, pracuję w telewizji. Mnie interesuje wszystko.

- Aha - powiedział Morales i na chwilę przestał mówić. - A w której to telewizji? - zapytał po chwili.

- W 66TV - dumnie oświadczył pan Grzesio. Kochał swoją pracę. Dwie najważniejsze rzeczy, jakie w życiu osiągnął, to praca i teść.

- Ja nie mogę! - parsknął Morales. - W tej ohydnej telewizji, gdzie oczernia się policję i praworządność? W tej telewizji, gdzie wymyśla się jakieś paskudne historie o naszym prezydencie, jego

bracie, byłym premierze i ich wiernych współpracownikach, ich towarzyszach walki? No, ja nie wiem, czy powinienem z panem w ogóle się zadawać! Ucichł i po chwili stwierdził:

- Ale telewizja to podobno też władza. Więc nic się pan nie bój, będę dla pana grzeszny, poszanowanie władzy musi być. Dokąd byśmy doszli bez poszanowania władzy? Do anarchii, panie, do anarchii. Ja to właściwie wszystkich lubię, nawet tego pijaka w Stylowej, nawet tych z pana telewizji, pan się nie boi. Ludzi trzeba szanować, dobro w nich widzieć, a nie zło. Wtedy oni, choćby i źli, poprawiają się. A i ty, człowieku, masz wtedy swoją zasługę u Pana Boga, żeś grzesznikowi dopomógł.

Weszli w las.

Wiatr potężniejszy jakby się zrobił.

- No i gdzie pan niby widział tego zakrwawionego? - zapytał jo wialnie Morales i poklepał pana Grzesia po plecach.

\*

- Przypomnijmy sobie, jak wyglądał ten dzień, kiedy tu pierwszy raz przyjechałeś - zaproponowała. - Wzrusza mnie ta historia.

- Chce pani o tym dniu porozmawiać? Proszę bardzo. Przyjechałem tu autobusem. Kiedy autobus się zatrzymał, a ja przeciskałem się do wyjścia, w radiu odezwał się sygnał czasu, a później połączono się z Krakowem, by nadać hejnał z wieży mariackiej. „Co ja tu robię? - pomyślałem. - Zamiast siedzieć jak człowiek w swoim mieszkaniu i słuchać południowego trąbienia przez otwarte okno, wylądowałem na jakiejś prowincji i słyszę hejnał przez radio w autobusie. Koniec świata”. Wysiadłem jako jedyny. Obca ulica, obcy przystanek autobusowy. Mżyło w tym obcym miejscu. Drzewa owocowe o przekwitających już kwiatach. Szarobiałe domki. Pustawo. Na przystanku czekała na mnie kobieta. To pani czekała na przystanku. Mżyło.

- Jak byłem ubrana? Jak wyglądałam?

- Nie mam pamięci do takich rzeczy. Niech pani nie przeszkadza, proszę. Muszę się skupić. Powiedziała pani: „Dzień dobry. Tu są klucze” - i podała mi pani ten ciężki pęk.

- Powiedziałam: „Wybacz, ale nie wejdę tam z tobą. Boję się tego domu. Poradzisz sobie?” Chyba tak powiedziałam?

- A ja zapytałem: „A jak ja oddam pani te klucze?”  
- A ja wtedy powiedziałam: „Znajdziesz mnie. To mała miejscowość. Gdziekolwiek pójdziesz, to mnie znajdziesz” - powiedziałam i odeszłam.

- Odchodząc, wyglądała pani bardzo ładnie. Pani równie ładnie nadchodzi, jak odchodzi. I patrząc, jak pani odchodzi, stojąc i trzymając w dłoni ten pęk kluczy, poczułem, że to początek jakiejś niezwykłej, nowej historii.

- O, naprawdę pamiętasz. Myślałam, że nie zapamiętałeś. Ja zapamiętuję takie rzeczy. Ja zapamiętuję chyba wszystko. Tutaj, u nas, na przedmieściu, tak niewiele się dzieje, wszystko jest takie małe i niewyraźne.

- Wódka może być tutaj tak samo duża jak w centrum Krakowa. Należy mi pani jeszcze?

- A może już dosyć? Wypiłeś już tyle, a nie ma jeszcze nawet trzynastej...

Ale naląła. Pełną szklaneczkę brudnobrazowego płynu naląła. Mistrz zareagował czymś w rodzaju uśmiechu i upił nieco. Zadzwoił telefon. Ona przeprosiła i poszła na zaplecze. On patrzył, jak odchodzi. Szła pięknie. Wiał wiatr, kury unosiły się wysoko, drzewa trzeszczały.

\*

- O, mówiłem, krew! - pisał pan Grzesio, wskazując ślady czegoś czerwonego na szarych, zimowych liściach. - O, i tam krew - pokazał kawał tektury upstrzony czymś w podobnym kolorze. - I już pan nie powie, że mi się pomyliło. Tu ktoś był i zakrwawił!

Morales przyłożył palec do tego czerwonego, uniósł palec do ust i polizał. Pan Grzesio przyglądał mu się z przerażeniem i odrazą. Zwierzę. No, normalnie: zwierzę.

Morales chwilę pomedytował, wzruszył ramionami i oświadczył:

- Może krew, może i nie krew. To będzie trzeba zbadać. Ale najpierw pokaż mi pan to, co krwawiło. Gdzie ten człowiek, co krwawił, się podział? Najpierw mi pan znajdź uszkodzonego, później będziemy się zajmować innymi rzeczami. Człowiek, proszę pana, przede wszystkim człowiek.

- Był tu, na pewno tu był! - Rozgorączkowany pan Grzesio rozglądał się po lasku. - Może zajrzyjmy o tam, w tamte krzaki!

W krzakach znaleźli kolorowy tygodnik i opakowanie po prezerwatywach. A także ptasie piórko. Żadnych zwłok.

- Wracamy? Nic tu po nas. Wracajmy - zaproponował Morales.

- Nie wierzy mi pan, że kogoś widziałem? Po co bym sobie i panu zwracał głowę? - zajęczał pan Grzesio. - Poszukajmy jeszcze, on musi gdzieś tu być! Ja tego tak nie zostawię!

- Jak on wyglądał, proszę pana? - z lekkim zniecierpliwieniem zapytał Morales.

- Mówiłem panu, że nie widziałem go dokładnie. Szedł skulony, to nawet nie wiem, jakiego był wzrostu.

- Ale mniejszy ode mnie, czy taki jak ja? - Morales się jeszcze bardziej wyprostował.

- Och, nie wiem. Pewnie mniejszy.

Pan Grzesio z mimowolnym podziwem spojrział na potężną postać. Morales westchnął teatralnie.

- Wie pan co, zrobimy tak: wrócimy do Styłowej, pan sobie coś przekąsi, a ja przejdę się po domach, dużo ich tu nie ma, sam pan widzi, większość tych domów tutaj należy do miastowych, a dziś ani weekend, ani wakacje, mało kto tu jest, tylko rdzenni mieszkańcy, tylko sól tej ziemi, niewielu nas tu tak naprawdę mieszka, ale pochodzę i popytam, czy ktoś czegoś nie widział. Pan sobie poczeka spokojnie, ja niedługo wrócę.

\*

Mistrz siedział przy barze, słuchał, jak dziewczyna stuka naczyńkami w zlewie na zapleczu i przypominał sobie nadal ten dzień sprzed wielu miesięcy, dzień, kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, ona wręczyła mu ciężki pęk kluczy, on odprowadził ją wzrokiem, otworzył drzwi i wszedł do letniego domku.

Wszedł w zapach wilgotnego kurzu.

W tym kurzu na pewno mieszkały jakieś zmutowane stworzenia. Patrzyły na niego z ukrycia swoimi mutancimi oczkami, a on usiłował oswoić to pomieszczenie.

Resztki świetności. A raczej świetność zakryta wilgotnym kurzem, świetność nieprzewietrzona.

Zapach luksusu, który niewątpliwie wypełniał ten pokój przed kilkoma laty, teraz ustąpił miejsca czemuś pachnącemu niepokojąco i raczej nieładnie.

Od dawna nikogo tu nie było. Od dawna nikt nie otwierał tu okna. Królował tu zapach wilgotnego kurzu. Być może nic takiego jak wilgotny kurz nie istnieje, kurz jest zaprzeczeniem wilgoci, ale coś miał mistrz począć, kiedy właśnie taki zapach w tym wnętrzu panował.

Nie miał pojęcia, w którym miejscu znaleziono zwłoki, nie odnalazł żadnej białą kredą wyrysowanej sylwetki, widocznie to jakiś amerykański przesąd, widocznie w Polsce się tego nie robi.

Usiadł przy stole i zapalił papierosa. Pomogło. Znajomy zapach dymu trochę odgonił wszechobecną woń wilgotnego kurzu.

- Po coś tutaj przyszedłem - mruknął. - Po coś bardzo ważnego tutaj przyszedłem. Coś bardzo istotnego tutaj jest. I ja jestem tu dlatego, żeby to odnaleźć.

Musiał gadać do siebie.

Inaczej czułby się jeszcze bardziej nieswojo.

Musiał bardzo dużo gadać, musiał zagadywać pustkę.

Na stole leżał elegancki notes w czarnej oprawie. Otworzył go. Nic. Pusty notes.

Tyle zostało. Tyle po nim zostało: pusty notes, dwa pokoje na prowincji pokryte wilgotnym kurzem, mieszkanie w Krakowie, rdzewiejące dwa samochody. Człowiekowi zawsze wydaje się, że pozostawi po sobie mnóstwo.

\*

Cztery lata wcześniej Doktor powiedział:

- To ja, Anioł Zagłady. Przyszedłem tutaj z moim małym kolegą. Stać mnie, oczywiście, na wykupienie całego tego lokalu, ale na razie powstrzymam się i zamówię tylko zestaw dla szczęśliwie zakochanych.

Powiedział to, wchodząc do lokalu o nazwie Biuro. Wszyscy obecni spojrzeli na nich.



Doktor był przystojnym i postawnym Doktorem, brunetem w drogich okularach, ubranym w sposób elegancki, niezmiernie elegancki, przeraźliwie, ale nie przesadnie, elegancki sposób.

Natomiast kolega Doktora był nieelegancki, nieprzystojny i niepostawny.

Podeszli do baru i Doktor poprosił o zestaw dla szczęśliwie zakochanych.

Czyli colę bez lodu i bez cytryny dla Doktora i setkę stocka dla tego drugiego. I popielniczkę.

Po jakimś czasie dosiadł się do nich właściciel lokalu, łysy, asertywny człowiek o nazwisku Mango Głowacki.

Zamówił dla małomównego kolegi Doktora następną setkę, sobie wziął małą wiśniówkę, natomiast Doktor nie zamówił już niczego. Doktor spojrzał na zegarek.

Pogawędzili o sprawach interesujących wszystkie strony, następnie właściciel lokalu, Mango Głowacki, poprosił barmankę o włączenie jego ukochanej płyty wokalisty polskiego, za którym ani Doktor, ani ten drugi nie przepadali, ale, nie będąc w szczególności grymaśnych nastrojach, nie zaprotestowali, wypalili spokojnie po kilka papierosów, a następnie Doktor powiedział:

- Dawniej Żyd-karczmarz rozpijał ciemny naród, a teraz ty to Mango czynisz, niszczysz naszego biednego, małomównego kolegę, pomyśl sobie, jakie mogą być tego konsekwencje, przecież utracimy naszego serdecznego kolegę, już go tracimy, ginie na naszych oczach!

Pogroził palcem i po chwili poszedł do swoich doktorskich obowiązków, właściciel lokalu powrócił do swoich właścicielskich obowiązków, natomiast ten trzeci pozostał przy stoliku nad niedokończonym alkoholem.

Gdyż to był jego jedyny obowiązek.

Tak bywało bardzo często przed kilku laty.

Wchodzili do Biura, gawędzili, potem Doktor wychodził, a jego małomówny kolega pozostawał w lokalu nad kieliszkiem wódki.

Życie było monotonne, dzień podobny do dnia, ale wszystko było wtedy piękne i spokojne, niespieszne, jasne, alkohol mniej bolesny był.

I komu to przeszkadzało? Kto spowodował, że to wszystko odmieniło się?

Ten, który decyduje o takich rzeczach, zawsze kryje się w cieniu.

\*

A w tych zamierzchłych, pięknych czasach, mistrz miał wielu kolegów. Razem łazili po mieście, razem pili, razem zaczepiali dziewczęta.

Naturalne było, że jak się usiadło w którejś z wtedy istniejących knajp, to zaraz pojawiał się jeden znajomy, potem drugi, potem czterech następnych.

Dziś czasem spotykał niektórych z nich, ale to już nie koledzy byli, a widma. Widma uwikłane w poglądy polityczne, rodzinę, teściów, żonę, dzieci, pracę, samochód, telefon komórkowy, komputer, konieczność wyjazdu na zagraniczne wakacje - albo widma innego rodzaju, widma zapętlone w alkoholu i kłopotach, ożywające tylko, kiedy wspominało się dawne czasy. Mistrz to rozumiał, wszak sam był widmem.

Ale przed laty był żywym człowiekiem.

Wtedy było łatwiej.

Wtedy jakaś świeżość wszędzie dookoła była, wtedy dziewczęta chciały się zadawać, rojąc sobie, że być może da się coś z mistrzem zrobić, uratować go, założyć z nim rodzinę.

Ale nie udawało się, dziewczęta dawały sobie spokój, wyjeżdżały na zawsze, znikwały, zakładały swoje wymarzone, prawdziwe rodziny.

W tamtych czasach mistrz był jeszcze rozpoznawalną powszechnie ikoną popkultury, jeszcze wtedy powszechnie pamiętano o jego dziecięcej roli w serialu z lat siedemdziesiątych.

Głównej roli.

Ostatniej i jedynej głównej roli.

Teraz, w roku 2008, ten serial nie mógł być pokazywany w telewizji publicznej. Wielu opozycyjnych kombatanów oprotestowało to dzieło. „Jakże to? Młody człowiek kolaborujący z Milicją Obywatelską w czasach, kiedy my walczyliśmy z komuną?” - pisali do władz telewizji. Więc władze telewizji dzieło zdjęły, jednocześnie sprytnie wydając je na DVD i zarabiając jakieś dodatkowe pieniądze. Później owe władze zdjęto, ale zakaz pozostał w mocy. A płyty z serialem całkiem nieźle się rozchodziły, serial dzięki temu zakazowi stał się dziełem kultowym, ostatnio mistrz otrzymał nieoczekiwanie jakieś pieniądze związane z tymi kultowymi płytami DVD, całkiem przyzwoite jak na jego potrzeby.

Właśnie w tej chwili miał ten zwitek banknotów w kieszeni. Od czasu do czasu dotykał się tam, sprawdzał.

Wszystko na swoim miejscu.

Jeszcze nie tak źle.

Upadek na chwilę został oddalony.

Teraz było inaczej: lokal Biuro nie nazywał się już Biuro, był nieczynnym do odwołania pomieszczeniem bez nazwy.

Dawni koledzy: Mango Głowacki i Doktor już nie żyli, a ten trzeci, człowiek, na którego mówiono mistrz, siedział w tym momencie przy barze w restauracji Stylowa na przedmieściu, bardzo niedaleko domku letniego, w którym kilka lat temu umarł w tajemniczych okolicznościach Doktor.

Mistrz pił alkohol i nie wiedział, co dalej.

Dziewczyna wyłoniła się zza kotary.

Pięknie nadchodziła.

- Pięknie pani nadchodzi - powiedział mistrz. Skwitowała to leciutkim uśmiechem. Wielokrotnie już tak mówił, ale jej jeszcze to nie denerwowało. Najprawdopodobniej była bardzo cierpliwą dziewczyną.

- Do której dzisiaj pani pracuje? - zadawał to pytanie wielokrotnie, od wielu miesięcy.

Świadoma tego, że mistrz wie doskonale, o której ona kończy swoją zmianę, odpowiedziała:

- Pracuję do osiemnastej. A pan o której chce wracać do Krakowa?

- Gdyby nie suka, w ogóle bym nie chciał tam wracać. No, nie wiem, zobaczymy. Trochę tu posiedzę. Popatrzę na panią.

- Bardzo mi będzie miło - powiedziała dziewczyna.

Wiedział, że nie oszukuje.

Według mistrza ta dziewczyna nie oszukiwała nigdy, nie miała żadnego powodu. Była grzeczna dla wszystkich klientów, ale nie odczuwało się w tym fałszu. Była grzeczna i miła, ponieważ od urodzenia była grzeczna i miła, a nie dlatego, że wymagał tego regulamin jej profesji. Przy tym wcale nie uwodziła mistrza, bo ktoś by uwodził takiego człowieka jak on, mistrz nie miał złudzeń, przyzwyczaił się. Lubiała z nim gawędzić - i tyle. Aż tyle. Przychodziła i odchodziła. Nie mówiła mu „nie pij”. Nalewała mu, czasami tylko dziwiąc się, że tak często. Ale raczej z podziwem niż naganą.

- A poznaliśmy się jakiś czas wcześniej, prawda? Opowiedzmy sobie o tym, jak się poznaliśmy - zaproponowała.

To było ich ulubione zajęcie od wielu miesięcy: opowiadanie sobie o tym, co się już wydarzyło. Dziewczyna uwielbiała to. Mistrz czasami odnosił wrażenie, że to opowiadanie o przeszłości sprawia jej aż tak wielką przyjemność, ponieważ zastępuje terażniejszość. A i mistrzowi te rozmowy o Doktorze, mimo że przewidywalne już i monotonne, dawały dużo. Wszak prowadził śledztwo w sprawie tajemniczego odejścia Doktora, wszak przesłuchiwał jednego z najważniejszych świadków. Przez cały czas czuł, że jest coś w tych rozmowach, coś, czego sobie jeszcze nie uświadomił, coś, co naprowadzi go na właściwy trop.

Spojrzała mu z bardzo bliska w oczy i zaczęła opowiadać:

- To było w tej waszej ulubionej knajpie, na ulicy Świętego Jana.

- Ona już nie istnieje, wie pani?

- Wiem, już mi o tym mówiłeś. Ale teraz prawie nie jeżdżę do waszego miasta, bo nie ma po co. Wtedy było po co. Wtedy było pięknie, wtedy był Doktor... Tego dnia, kiedy się poznaliśmy, weszliśmy do tej knajpy, podeszliśmy do ciebie z Doktorem, siedziałeś sam przy stoliku. „Pani pozwoli, że przedstawię jej mojego małowómnego kolegę” - powiedział Doktor. A co ja powiedziałam?

- „Dzień dobry” - tak pani powiedziała. I podała mi pani rękę.

- A ty powiedziałeś coś w rodzaju: „Yhm”.

- Yhm - powiedział mistrz.

- A wtedy Doktor powiedział: „On jest małowómnym, to prawda, ale docenia prawdziwe piękno, szanowna pani. On sobie teraz przez chwilę panią popodziwiał, a potem sobie pójdzie”. Pięknie powiedział, prawda?

- Jak Doktor mówił, to zawsze mówił pięknie. Taka była jego główna cecha, przecież pani wie. Posiedziałem chwilę przy pani i Doktorze, popodziwiałem panią w myśl zaleceń lekarza, a potem przesiadłem się do innego stolika, do innych, mniej pięknych ludzi, pozostawiając was samym sobie.

- Tak się poznaliśmy, to było ze cztery lata temu.

- A potem Doktor wyszedł z panią. A ja zostałem.

- A jak byłem wtedy ubrana? Pamiętasz?

Mistrz zamyslił się. Nie pamiętał.

- Pamiętam dokładnie, jak pani nadchodziła i jak pani odchodziła. Ale jak była pani wtedy ubrana, to nie pamiętam.

\*

W lokalu pojawiło się kilku klientów, więc dziewczyna zajęła się nimi i ich zamówieniami. Mistrz poczuł ukłucie zazdrości. Nie lubił tych momentów, kiedy nie był tu sam z dziewczyną. Nie lubił, kiedy uśmiechała się do nich, nalewała im piwo. Rozumiał, że tak musi być, rozumiał, że nie ma na nią wyłączności, bo niby z jakiego powodu miałby mieć na nią wyłączność? Rozumiał, ale nie lubił.

Przyszedł również ponownie ten śmieszny, wypiełgnowany człowieczek, który miał jakąś sprawę do Moralesa. Usiadł w kącie sali, odwrócony plecami do baru, chyba nie chciał się kolegować z mistrzem, oj, chyba nie.

- On jest z telewizji! - mistrz uświadomił sobie mgliście jakieś ponure historie związane z tym osobnikiem. Fakt, że ów człowieczek pracował w telewizji, był sam z siebie dla mistrza przykry, miał olbrzymie uczulenie na ten typ ludzi, niczego dobrego z ich strony nie można było nigdy się spodziewać. Aten gość, mistrz był już niemal o tym przekonany, kilka razy wszedł mistrzowi w drogę i nie był po jego stronie, oj, na pewno nie był.

Drżącą ręką wyjął papierosa z paczki. Nagle tuż obok niego trzasnęła zapalniczka. Na stolku barowym obok siedziała dziewczyna. Mistrz odpalił, a ona szepnęła:

- Masz coś na podeszwie prawego buta...

Mistrz zerknął i gdyby umiał, to by się zarumienił.

- O Boże... - wezwał nadaremno. - To jeszcze rano na trawniku na Plantach, jak z suką spacerowałem, musiałem wdepnąć, pójde do łazienki i wyczyszczę... przepraszam...

- To na szczęście! Nie przejmuj się. Każdemu się może zdarzyć. Możesz to zrobić spokojnie u mnie na zapleczu.

Mistrz zgasił gwałtownie papierosa w wielkiej popielniczce, w której spoczywało już wiele niedopałków.

Na zapleczu zdjął prawy but i z wielkim zażenowaniem czyścił podeszwę z psiej kupy.

Ona stanęła nieopodal i zapytała:

- A pamiętasz, jak przyjechałam do Krakowa w zeszłym roku? Przyjechałam specjalnie po to, żeby cię znaleźć. Zobaczyłam cię na Plantach, szedłeś ze swoją suką na smyczy. „Dzień dobry” - powiedziałam do ciebie.

- „Dzień dobry” - odpowiedziałem. Znałem ten odzew. Nauczyłem się, że jak ktoś mówi „dzień dobry”, trzeba podobnie odpowiedzieć. Takie są obyczaje u Ziemi.

- „Pan mnie poznaje?” - spytałam.

- Zmrużyłem oczy i przyjrzałem się pani. Twarz jakby znajoma, ale skąd? Nie wiadomo. Na wszelki wypadek oświadczyłem: „Oczywiście”.

- A ja powiedziałam: „Mam coś dla pana”. I wyciągnęłam rękę. W ręce miałam komórkę.

- „Jezus Maria! Mam już kilka komórek. Ludziom wydaje się, że jak mi dadzą komórkę, to ja będę jej używał. Nie będę, proszę pani. Wszystkie te komórki, które dostałem, leżą martwe w szufladzie. Proszę mi tego nie dawać, to nie ma sensu. Czyście się wszyscy na mnie zawzięli?” - tak powiedziałem, prawda?

- A ja odpowiedziałam: „Nie daję panu tej komórki. To moja komórka. Chcę panu tylko coś pokazać”. I pokazałam ci tego esemesa.

Tu dziewczyna wyjęła z kieszonki służbowego wdzianka komórkę, popstrykała w klawisze i kolejny raz pokazała mistrzowi esemes o takiej treści: *wieczorem wypilem troche alkoholu czuje sie zle ledwo sie ruszam to moze hyc trucizna bo objawy takie sa nie moze sie dodzwonic na pogotowie zadzwoń ty proszę jestem na daczcy ratuj.*

- „Co to?” - zapytałem.

- „To esemes od Doktora” - odpowiedziałam.

- A ja wtedy natychmiast przypomniałem sobie, skąd panią znam. Uświadomiłem sobie, że jest pani ostatnią narzeczoną Doktora. Tak - powiedział mistrz i wytarł oczyszczonego buta papierowym ręcznikiem.

Dziewczyna była ostatnią narzeczoną Doktora. Tak.

Po niej Doktor nie miał już żadnych narzeczonych, bo umarł.

\*

Wrócił Morales, otworzył drzwi i wszyscy obecni, jeśli nawet zdążyli zapomnieć, to teraz usłyszeli, jak głośno wyje wiatr na zewnątrz.

Usiadł Morales przy panu Grzesiu przy stoliku w kącie sali i westchnął. Było to potężne westchnięcie. Westchnięcie roku.

- Nic. Nikt nikogo nie widział. Przeszedłem się po kilku domach. Nic nie wskazuje na to, żeby coś takiego u nas się stało. Może pan spokojnie wracać do Krakowa. Żadnego zakrwawionego tu nikt nie widział. A już myślałem, że wreszcie coś ciekawego się u nas dzieje. Jadł pan już obiadek?

- Nie, nie. Dziękuję. Piłem kawę. Nie będę jadł, dziękuję. Zjem już w Krakowie.

- Ale maczanekę po krakowsku w Styłowej musi pan spróbować koniecznie! Panie, nie jadł pan niczego takiego w życiu!

Pan Grzesio wzdrygnął się z obrzydzeniem.

Nie dość, że zmarnował mnóstwo czasu na przywidzenia, mrzonki, zakrwawione cienie błędzące po lesie w wielkim wietrze, na rozmowy z wsiowym stróżem porządku i moralności, przebywanie w jednym, obrzydliwym pomieszczeniu ze wstrętnym, źle mu się kojarzącym pijaczyną, to jeszcze miałby jeść maczanekę po krakowsku? Koszmar.

Wyciągnął komórkę, sprawdził godzinę, o, już trzynasta za minutę, zadziwił się, wybrał odpowiedni numer i zaczął rozmowę:

- I co tam?

(tu padła odpowiedź)

- Ja już niedługo będę. Coś mnie zatrzymało, ale już jadę. (tu nastąpiła dłuższa wypowiedź rozmówcy)

- Nie panikuj. Zdawało mi się, że mam inspirację do nowego projektu, ale nie. Czasem tak jest. Ale już jadę. Pozdrówka.

Zakończył rozmowę.

Westchnęli obydwaj - i pan Grzesio, i Morales.

\*

- Wie pani? W zeszłym miesiącu było u mnie włamanie. Wróciłem bardzo późno w nocy, zapaliłem światło, a tu wszystko przewrócone do góry nogami. Nic chyba nie zginęło, nie mam takich rzeczy, które komukolwiek prócz mnie mogłyby być potrzebne. Wiele dni zajęło mi układanie wszystkiego tak, by to był mój bałagan, nie cudzy. Dziwaczne uczucie. Wszystko zbrukane cudzymi rękami. I po co?

- Opowiadałeś mi już o tym - oświadczyła dziewczyna. Mistrz się zawstydził. I zamknął się.

- Opowiadałeś już o tym, ale nic nie szkodzi. Lubię, jak opowiadasz.

\*

Zakrwawiony dotarł do szopy. Zdaje się, że o własnych siłach. Szopa była od dawna nieużywaną szopą. Stała na tyłach od dawna nieużywanego domku. Zakrwawiony wiedział doskonale, że nie ma tu nikogo. Był przekonany, że nikt go tu nie odnajdzie. Pod latarnią zawsze najciemniej. Dlatego też dowlókł się tutaj, nie udało mu się uciec z tej okolicy, nie udało mu się zatrzymać żadnego samochodu, mijaly go i mijaly, żaden już więcej poza tamtym jednym się nie zatrzymał.

Dotarł więc tutaj, bo bał się dłużej pozostawać w lesie. Bał się wszystkiego. Bał się lasu, bał się tutejszych ludzi, bał się wiatru.

Domek i szopa stały bardzo niedaleko lasu. Postanowił właśnie tutaj doczekać do zmierzchu. Na szczęście nie było żadnej kłódki. Na szczęście wewnątrz wyglądało na bezpieczne.

Padł na stertę jakichś śmieci i zemdlał.



## rozdział drugi

Jednostajny, głuchy łomot.

Suka szczeknęła ostrzegawczo.

Oho, zaczyna się.

Chłopcy w dziwacznych spodniach, na deskorolkach, czy jak to się tam nazywa. Za chwilę suka zacznie wyć. A potem znowu szczekać. Bardzo źle reaguje na te deskorolki. Nie do wytrzymania.

I tak na przemian: jak nie chłopcy na deskorolkach, to klienci ogródków kawiarnianych. Jeden wielki wrzask.

Za oknem mistrza, na Małym Rynku, w królewsko-papieskim mieście Krakowie, zmieniło się wszystko. Dzięki staraniom cudownego gospodarza i jego współpracowników, miasto wypiękniało w stopniu zdumiewającym. Zamiast parkingu pojawił się placyk z niby-staroświeckimi latarniami, ławeczkami i fontanną, w której w gorące dni rozkosznie pluskały się dzieci, natomiast nocami wrzaskliwe grupy turystów z Wysp Brytyjskich nagminnie używały fontanny jako pisuaru.

Wtedy, tamtego dnia, było jasno i ciepło. Mistrz wyszedł na poranny spacer z suką. Wędrowali odwieczną trasą: odmienioną, również prześlicznie wyremontowaną ulicą Sienną, obok kiosku na Gródku na Planty, tam siknąć, potem wykonać kupę w krzakach, mniej więcej na wysokości Domu Turysty, który się teraz nazywał Hotel Wypiański, a na deser przejść jeszcze kawałek Plantami w stronę dworca.

Wykonywali właśnie ową psią kupę, kiedy mistrz w oddali dostrzegł jakby odrobinę znajomą sylwetkę, sylwetkę kobiecą.

I kiedy istota ta przybliżyła się, wiedział, że się nie myli, że ją zna, lecz nie wiedział skąd. Nie miał jednakowoż pamięci do kobiet.

Ale ona go pamiętała. Ona przyjechała do niego. Przyjechała, żeby go poinformować. Żeby wyrazić swoje wątpliwości co do śmierci.

- Sto złotych dziennie plus koszty - przez ściśnięte gardło użył swojego odwiecznego bon mota, kiedy usłyszał jej historię i dowiedział się o esemesie zapisanym w jej telefonie komórkowym.

Zawsze tak robił, podejmując swoje żalosalne, detektywistyczne wyzwania.

Potraktowała to jak dobry żart. Umówili się na następny dzień i poszła. Pięknie odchodziła.

\*

- Muszę cię zostawić, muszę dziś tam znowu pojechać. No bo normalnie nie mam dokąd pójść - powiedział dzisiaj rano mistrz do suki, bokserki, która nie miała imienia, na którą mówiło się „suka”.

Pogłaskał bokserkę, dał się jej polizać po twarzy i kontynuował:

- Ty masz swoje stałe trasy. Ty wiesz. Ty sikasz na trawniku za kioskiem na Gródku, potem wchodzimy głębiej w Planty i przy ogrodzeniu, w krzakach naprzeciwko Domu Turysty, robisz kupę. Ty wiesz dokąd iść. A ja? Ja nawet już nie lubię wracać do własnego domu.

Bo dom został uszkodzony. Którejś nocy zamordowano tam nastolatkę. Oczywiście: nie dokonał tego właściciel mieszkania, jakżeby śmiał kogokolwiek mordować, kompletnie się do tego wszak nie nadawał. Oczywiście: zwłoki nastolatki zostały wyniesione, żaden fizyczny ślad po tym wydarzeniu nie pozostał; co ciekawe, wcale nie narysowano kredowego zarysu sylwetki umarłej, a przecież w zagranicznych książkach i filmach zawsze rysowano. Mistrz zastanawiał się nawet, czy by samemu nie narysować takiej kredowej sylwetki, przecież doskonale pamiętał, gdzie leżały te zwłoki, prawie już tę sylwetkę wyrysował, ale nagle stuknął się w czoło, „no, chyba oszalałeś!”, powiedział sobie. Od tego momentu minęło sporo czasu, niby wszystko wróciło do normy, ale żyć się tam już nie dawało, mieszkanie zostało bezpowrotnie zepsute.

- I co teraz? Wracamy? - spytał mistrz, a suka przekrzywiła głowę, nie do końca rozumiejąc ludzki język. Ale starała się usilnie. Na wszelki wypadek afirmatywnie zamachała kikutem ogona. Była

to suka urodzona przed wprowadzeniem norm europejskich w sprawie obcinania ogonów bokserom. To nie mistrz obciął jej ogon, na pewno nie mistrz, mistrz nie miałby takich pomysłów, to źli ludzie zrobili.

Suka pomachała resztką ogona, mistrz zapalił papierosa.

Nie chciał wracać do domu.

Tam nie było niczego. Tam nie było nikogo. Stały tam smętnie książki, stały tam smętnie stare, nikogo nieobchodzące płyty, głównie z lat sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych. Był kurz i pełen śmieci kosz. I nieumyte naczynia. I nieumyte szyby. I śmierć.

\*

A były wszak czasy, kiedy mistrz nie był zupełnie samotny, były czasy, kiedy do mistrza wprowadzała się jakaś kobieta.

To było jeszcze wtedy, gdy żył Doktor.

Usiłowały te panie rozjaśnić mroki mistrzowego mieszkania, a to firaneczkę fikuśną zawieszając, a to odkurzaczem przejeżdżając po mieszkaniu, oj, nie lubił mistrz tego odkurzacza, razem z suką nie lubili tego odkurzacza, najpierw oboje na jego odgłos reagowali warczeniem, a później agresywnym szczekaniem.

Mieszkały zazwyczaj u mistrza trochę, ale potem szły sobie.

Skończyło się.

Bo wszystko się kończy.

Szedł więc samotny mistrz ze swoją suką Plantami, szli w wielkim wietrze, wędrowali, odwiedzając znajome krzaczki, szli i szli, coraz bardziej oddalając się od tego popsutego domu, a to nie tylko dom został popsuty, popsuto również Mały Rynek, popsuto również Kraków, zmieniono wszystko, to już nie było miejsce dla mistrza, mistrz mieszkał w zupełnie innym mieście, należał do dawnego wyposażenia, mistrz poczuł się starym meblem, to nie było już jego miejsce, nie chcieli go tu.

\*

Więc odprowadził pospiesznie sukę do popsutego domu, nasypał karmy do miseczki, nalał wody do drugiej miseczki, pogłaskał zwierzę po rudym łbie, klepnął w rudą pupę. „Wrócę wieczorem” - zapowiedział, wyszedł i ponownie przyjechał tutaj, jak niemal każdego dnia, od wielu miesięcy, przyjechał do oddalonej o jedenaście

kilometrów od Krakowa maleńkiej miejscowości, siedział w restauracji Stylowa, prowadził jałowe rozmowy, pił.

Od wielu dni niemal każdy jego dzień wyglądał tak samo. Rano wyprowadzał sukę, potem jechał busem na przedmieście, zatrzymywał się na moment w sklepie spożywczym obok przystanku, by pogawędzić z dowcipną i uroczo cyniczną panią ze sklepu, jakoś niezmiernie łatwo się z tą kobietą zakolegowali, potem szedł już prosto do Stylowej, siadał przy barze albo przy stoliku w głębi i patrzył, jak podchodzi i odchodzi jego zleceńodawczynie, przysłuchiwał się rozmowom bywalców, poznawał ich obyczaje, czasami sam nieśmiało zabierał głos.

I nie działo się nic szczególnego. Ale jego autyzm domagał się właśnie takiej powtarzalności, takiej niezmienności. Jego autyzm odnalazł właśnie w tym pomieszczeniu wszystkie zagubione pomieszczenia, w których spędzał dawne życie. W Krakowie nie mógł już ich odszukać. Wszystko było odświeżone, odmienione. Wszystko tam należało do turystów i młodzieży. A on w żaden sposób nie należał ani do młodzieży, ani do turystów. Wiezorami wracał do miasta, wyprowadzał stęsknioną bokserkę, przeproszał ją za tak długą nieobecność, obiecywał jej, że jak pogoda się poprawi, to będzie ją zabierał ze sobą na te wyjazdy na przedmieście, szli na długi spacer, wracali i zasypiali. A rano znów mistrz uciekał.

- Ale i tu mnie to obmierzłe miasto odnalazło, wysyłając jednego ze swoich przedstawicieli - pomyślał sobie mistrz, zerkając z ukosa na pana Grzesia.

Pan Grzesio siedział nadal z Moralesem, coś cicho do siebie mówili, mistrz nie miał w sobie dość ambicji i ciekawości, by chcieć się dowiedzieć, o czym mówią.

Obudzona mucha szła po kontuarze.

\*

- Bokser, proszę pani, to jest więcej niż pies. To jest zdecydowanie więcej niż cokolwiek. Jeżeli chodzi o bokserzy, proszę pani, to ja jestem rasistą. I żaden poprawny politycznie miłośnik ratlerków, gryfonów i jamników mi nie wmówi, że nie powinno się wywyższać bokserów ponad inne psy. Musi się je wywyższać. Mówię to z pełną odpowiedzialnością. Jestem rasistą i wywyższam bokserzy. I dumny jestem z tego. Miała pani kiedyś boksera?

- O, wreszcie dopuściłeś mnie do głosu. Ale się rozgadałeś! - uradowała się dziewczyna, stojąca z drugiej strony kontuaru. - Nie miałam nigdy boksera. Nawet nie miałam nigdy psa. Mam kotka.

- Hm... kotka. To pięknie. Ale, wie pani, koty nie umywają się do bokserów. To zresztą, hm, zupełnie inne byty - mruknął mistrz.

Niczego nie wiedział o kotach, wiedział tylko o bokserach. Bokserzy interesowały go, prawdę mówiąc, bardziej niż ludzie. Ludzie byli dla niego, hm, mniej głębcy niż bokserzy. Bokserzy i bokserki były dla niego zawsze lepsze od ludzi. To były niemal, hm, anioły.

Popatrzył na człowieka odwróconego do nich plecami, siedzącego z Moralesem przy stoliku w kącie i powiedział:

- O, widzi pani? Tamten pan. Założę się, że boi się bokserów. Że brzydzi się bokserami. Że nigdy w życiu nie miał psa i nie chce mieć psa. Bo żaden pies go nie zaakceptuje. Tego się boi. Bo psy czują, jak człowiek jest nie w porządku. Zwłaszcza bokserzy. Są tacy ludzie, których moja bokserka omija szerokim łukiem. Są tacy, na których nie zwraca nawet uwagi. Ona to jest największy psycholog. I ja się z nią liczę. Są natomiast ludzie, których uwielbia. Pamięta pani, jak się do pani wdzięczyła? Jak się wyginała, jak podskakiwała, jak machała swoim kikutem ogona? Nieprzypadkowo. Ona wie, proszę pani. Ona wie.

- Powiedziałeś mi komplement, mam to tak rozumieć? - uśmiechnęła się dziewczyna zza kontuaru.

Mistrz speszył się i umilkł.

Skupił się na zawartości swojego kieliszka.

\*

I wtedy do lokalu weszła postać przedziwna. Mały osobnik w fantazyjnym różowym garniturze, z ufarbowanymi na słomiany kolor włosami i w szerokim krawacie w pokrzywione palmy. Mógł mieć zarówno siedemnaście, jak i pięćdziesiąt lat. Wniósł ze sobą kompletnie nieistotną tajemnicę.

Zamachał rączkami, podbiegł w podskokach do baru, usiadł na wysokim stołku barowym, co ułatwiło mu ucałowanie dziewczyny prosto w usta. A ona wcale nie obruszyła się na tę poufałość. A ona uśmiechnęła się tak samo sympatycznie jak uśmiechała się do mistrza.

- Wrzuc mi, słonko, szybciotko tę płytę. No, normalnie mówię ci, że skonam, jak tego w tej chwili nie posłucham. - Podał jej coś, co miało okładkę dokładnie w tonacji jego ubrania. - Szybciotko, szybciotko. I nalej mi bro.

- O Jezu! - wstrząsnęło mistrzem obrzydzenie.

Przez te miesiące bywania w lokalu Stylowa zdążył poznać wszystkie uroki i wady tej okolicy. Ten osobnik był chyba jej najbardziej denerwującym elementem.

A i muzyka, którą dziewczyna posłusznie włączyła, była równie dla mistrza denerwująca.

\*

- A kto to? - zapytał zachwycony pan Grzesio. Postać, która pojawiła się przed chwilą, zrobiła na nim niezaprzeczalnie piorunujące wrażenie. Jedyny jasny punkt w tym wsiowym lokalu.

- To jest Wiesiu. Nasza miejscowa Sodoma i Gomora - uśmiechnął się Morales szeroko i huknął:

- Wiesiu, prosimy do nas, bardzo prosimy! Tu jeden pan koniecznie chce się z tobą zapoznać!

Pan Wiesław oderwał się od baru i w przeuroczych podskokach udał się w stronę stojącego w kącie sali stolika.

Od razu, zaraz po wejściu do Stylowej, zobaczył nową, interesującą twarz. Nowe, markowe ubranie. Od razu zapragnął poznać tego milego, młodego człowieka. Nowość podniecała go. Wiele razy już potrząsał jej kwiatem.

- Ładne ubranko! - pan Wiesław w ten oto sposób przywitał się z sympatycznym nieznanym, siedzącym z tym pospolitym Moralem. - Jakże miło pana poznać. Od razu widać, że nie jest pan stąd. Jestem Wiesław. Promotor kultury niezależnej. Człowiek opanowany nowymi trendami. Do jaskrawych koszul noszę pastelowe krawaty w geometryczno-asymetryczne wzory. Lubię Amsterdam, albańskie jeziora i półwytrawne wino. Uwielbiam alternatywny Kraków. A pan, jak widzę, jest jednym z jego przedstawicieli. Czuję, że już gdzieś pana widziałem. Czy nie jest pan twórcą prawdziwie niezależnej, szeroko rozumianej kultury krakowskiej? Czy aby nie spotykaliśmy się w czasie któregoś ze słamów? Bywam tam zawsze, jestem ich bardzo pilnym uczestnikiem. A może w którymś

z magicznych krakowskich klubów? Albo na jakiejś manifie? Czy robił pan coś dla wolnego Tybetu?

Pan Grzesio rozjaśnił się przedstawił. A potem, rozjaśniony, objaśnił:

- Wie pan, ja pracuję w telewizji. Bywało się tu i ówdzie.
- Yes, yes, yes! Wiedziałem! Wiedziałem, że się skądś znamy!

Pan Wiesław rozłożył ramiona, podskoczył z radości i dosiadł się do towarzystwa.

\*

Zakrwawiony ocknął się.

Leżał nadal w szopie, na stercie śmieci.

Ktoś był tu, w tych ciemnościach. Ktoś przyglądał mu się. I nie miał wcale dobrych zamiarów. Być może nawet był to jego oprawca. Tak mu się śniło, a może nie śniło mu się to wcale, może działo się to naprawdę.

- No to umrę - pomyślał.

- No to umrę - wyjęczał. - No to umrę, już mi nie zależy. Może to jest sprawiedliwość, może to tak wygląda, może to tak się kończy. Że też ze wszystkich szop świata wybrałem właśnie tę szopę. Tu umrę. W tej właśnie szopie, w ciemnościach, w śmieciach.

Dość tego poniżenia. Dość tego strachu. Oko za oko. Ząb za ząb.

- Wiem wszystko - powiedziało coś wewnątrz jego głowy. - Już wszystkiego się domyślam. Nie musisz już nic mówić.

W ciemnościach coś się poruszyło. Zakrwawiony zasłonił oczy.

\*

Mistrz popatrzył w stronę perorującego człowieczka w krawacie i zasłuchanego pracownika telewizji.

Morales przed chwilą zerknął na zegarek, wstał i wyszedł, nie nadawał się do tego towarzystwa najwyraźniej.

- Nawet tutaj są - pomyślał mistrz. - Nawet tutaj są ci nowi ludzie nowej epoki. Zaraz zaczną sobie robić swoimi komórkami zdjęcia. Za raz wyjmą swoje laptopy i ajpody. To nieuniknione.

- Może być coś zjadł? - zapytała dziewczyna.
- Nie, dziękuję - zimno odpowiedział mistrz. Jeszcze nie mógł jej wybaczyć powitalnego całowania z tym cudakiem. Wybaczy później. Wybaczy, jak jeszcze trochę więcej wypije.
- Skoro jakiś czas temu minęła godzina trzynasta i można się już napić, to może zaryzykuję i napiję się czegoś eleganckiego - pomyślał głośno.

Dziewczyna bez słowa zdjęła z półki zakurzoną butelkę danielsa. Stała tu od kilku lat, to nie był najpopularniejszy wśród lokalsów trunk. Tylko mistrz jakiś czas temu trochę upił z tej butelki.

- Nikt oprócz mnie tego nie pije?
- Były dwie butelki. Młodszy Morales, brat tego Moralesa, kiedyś je nam odsprzedał, skądś je wziął, a powiedział, że się brzydzi, to odsprzedał nam, bardzo tanio. A pierwszą wypił Doktor - zamyśliła się i rozmarzyła. Każde wspomnienie o Doktorze było balsamem na jej rany.

A potem nałala i zapytała:

- Z jedną kostką?
- Z jedną - przytaknął.

Wrzuciła kostkę lodu. Piękny plusk.

- Seks po jacku danielsie jest lepszy niż po haszyszu - zacytował.
- Słucham? - zdawało jej się, że się przesłyszała.
- Cytowałem - powiedział. - Tylko cytowałem.

\*

I przypomniał sobie te wcale niezbyt odległe dni, gdy te słowa miały jakieś uzasadnienie.

I przypomniał sobie odległe czasy, kiedy nadchodził znienacka dzień, w którym razem z Doktorem wypijali po kilka setek danielsa w którymś z istniejących podówczas lokali.

O, na przykład taki dzień, przed wielu laty, w Biurze.

Wiosna. Wczesna wiosna. Ludzie i latarnie rzucają długie cienie. Niby słońce, ale chłodno jeszcze.

- Halo - powiedział mistrz do słuchawki telefonu, na zapleczu Biura. Przed chwilą Mango Głowacki wezwał go na zaplecze: „Telefon do ciebie” - powiedział.



- Halo - powtórzył mistrz. Już leciutko pijany, wiosna przyszła, był pretekst.

- Siedzisz tam? I jak się czujesz? - zapytał Doktor.

- Mistrzowsko - odpowiedział mistrz.

- Ja tam za chwilę przyjdę i sprawdzę - powiedział Doktor. - Bo coś mi twój głos, mój drogi sentymentalny kolego, niezdrowo brzmi. A ja dzisiaj mam melodię na jacka danielsa i dziewczęta z balonami. Jesteś w stanie mi towarzyszyć?

- Ależ proszę bardzo. Siedzimy tu z Mangiem i trochę się nudzimy - odpowiedział mistrz. - Zawsze to milej będzie pogawędzić sobie we trzech. Czekamy z niecierpliwością, proszę pana.

- A jakieś dziewczęta z balonami są obecne? Bo jak nie ma, to nie przychodzę - oświadczył buńczucznie Doktor.

Dziewczęce balony były odwieczną pożywką dla jego gawędziarstwa. Nie oznaczało to jakichś szczególnych erotomańskich zapędów u Doktora. Nie.

Obecność dziewcząt z rzeczonymi balonami wzmagała kwieciistość jego wymowy, rozczulającej otoczenie w sposób wysoce nieumiarkowany.

I tylko tyle.

Żadnych świństw.

I minęła godzina oczekiwania. I pojawił się Doktor. I gawędzili z Mangiem Głowackim. Doktor stawiał, jak zazwyczaj. Mistrz zamawiał zawsze danielsa z jedną kostką lodu, Doktor z czterema albo, kiedy miał fantazję, z ośmioma. Mango, tak jak zazwyczaj, pił inne alkohole, najczęściej zaś ordynarne piwo, oszukując się, że nie jest to prawdziwy alkohol.

Chwilę pobyli przy stoliku we trzech, a potem kierownik lokalu udał się do swoich kierowniczych obowiązków. A Doktor i mistrz siedzieli i gawędzili, od czasu do czasu posyłając porozumiewawcze spojrzenia właścicielowi.

Potem Doktor, wypatrzywszy w lokalu jakieś odpowiednie kobiety, przemówił do nich swoją niezrównaną frazą. One zazwyczaj chichotały albo obrażały się, gdyż nie każda była na tyle wytrzymała, aby zaakceptować frazę Doktora. Te, które Doktor wybrał najpierw, obraziły się, więc Doktor też poczuł się obrażony, powrócił

do mistrza, po to, by za jakiś czas wystartować do innych kobiet. Wreszcie musiały pojawić się te właściwe. I pojawiły się, bo zawsze się pojawiały. Doktor natychmiast rozpostarł przed nimi pawę ogon swojego oratorstwa. Później, ponieważ wytrzymała zawilą frazę Doktora i chciały jeszcze się kolegować, Doktor przedstawił im swojego małowównego kolegę. Wielkodusznie odstąpił mistrzowi brunetkę, gdyż sam gustował w blondynkach. Koniecznie z balonami. I znalazł tego dnia taką właśnie.

Doktor posiadał niesłychaną umiejętność niewiązania się z kobietami. Owszem, miewał jakieś narzeczone, ale po góra kilku miesiącach w naturalny sposób przestawały być jego narzeczonymi. Rozczulał, rozpałał i znikał. I one znikaly. Bezkonfliktowo, bezproblemowo, bez pretensji. Znikały z jego życia, on znikał z ich życia. Obie strony były zawsze usatysfakcjonowane. Bez bólu. Mistrz nie wiedział, jak się to robi, nie umiał tak.

\*

- Świętego masz przyjaciela - powiedziała naga brunetka.

Zabrała mistrza ze sobą, ponieważ na szczęście była brunetką z własnym mieszkaniem. Doktor być może również zabrał blondynkę do swojego mieszkania. Mistrz wstydziłby się zabrać brunetkę do swojego.

- Yhm. To nie jest mój przyjaciel. To jest mój współnik - powiedział mistrz i pomyślał, że coś tu nie gra. Przed chwilą robili to, co jest dużo lepsze po danielsie niż po haszyszu. Było to naprawdę udane. Przynajmniej tak uważał mistrz. Coś tu nie grało, ona powinna powiedzieć coś innego.

- Myślisz, że moja przyjaciółka i ten twój... współnik pasują do siebie? On jest za fajny dla niej, co nie? - zapytała naga brunetka i bez skrępowania wstała i podeszła do okna. To było jakieś bardzo wysokie piętro, za oknem było granatowe niebo.

- Myślisz, że ten twój Doktor mnie polubił? - zapytała.

Mistrz nie odpowiedział. Zapalił papierosa. To były czasy, kiedy kobiety pozwalały mężczyznom palić w łóżku. Och, zdążył się kilka minut temu zakochać, a teraz, po kilku minutach, odkochał się.

Leżał, palił, przyglądał się nagiej brunetce stojącej w oknie i patrzącej na granatowe niebo. Pomyślał, że być może Doktor w tej chwili mówi różne śmieszne rzeczy do blondynki, ale niekoniecznie robi z nią rzeczy, które mistrzowi tak bardzo udały się z brunetką.

Ale świadomość, że brunetka w takiej chwili rozmyśla o dopiero co poznanym i nieobecnym w tym mieszkaniu Doktorze, spowodowała, że zrobiło się smutno mistrzowi.

Chciałby bardzo, żeby ktoś tak intensywnie o nim myślał.

Chciałby bardzo być taki wyraźny jak Doktor.

- Smutno mi jakoś - powiedziała brunetka przy oknie.

\*

- Smutno mi jakoś - powiedziała dziewczyna, kelnerka z restauracji Stylowa, zapatrzywszy się w okno, za którym zimny wiatr unosił kury.

Mistrz drgnął.

- Oj, wyjątkowo słaby dzisiaj jestem w rozweseleniu - mruknął. I pomyślał złośliwie: „Niech pani się dosiędzie do tamtych dwóch. Na pewno się pani rozweseli, na pewno”. Ale nie wypowiedział tego. Skupił się na swoim danielsie.

- Porozmawiajmy o Doktorze - zaproponowała.

Mistrz spojrział na nią tak, jakby ją widział po raz pierwszy. Wcale nie była dziewczyną w typie Doktora. Wcale a wcale. Dlaczego została jego ostatnią dziewczyną? Dlaczego ona właśnie, a nie któraś z jego poprzednich narzeczonych, tak bardzo za nim tęskniła? Dlaczego wciąż chciała o nim rozmawiać?

Mistrz wprawdzie przyjeżdżał tutaj przede wszystkim po to, żeby rozmawiać o Doktorze, ale w tym momencie nie był w stanie, uśmiechnął się przepaszająco, wstał ze stołka, lekko się zatoczył, ale bardzo lekko, wyminął zatopionych w rozmowie przedstawicieli młodego pokolenia, podszedł do drzwi wyjściowych i wyszedł w wiatr. Ochłonąć.

\*

Morales stał przy aucie pana Grzesia. Stał i przyglądał się temu miastowemu autu z namaszczeniem.

- Nie wytrzymał pan - bardziej stwierdził niż zapytał mistrz. Zdążył już dokładnie poznać miejscowego animatora kultury alternatywnej, wiedział doskonale, czego można się po nim spodziewać.

- Sodoma i Gomora, jak Boga Kocham. A wie pan, że znałem jego świętej pamięci ojca? To był porządny chłop! Kto temu Wiesiowi tak w głowie przewracał? Kiedy? Jeszcze niedawno to był

zupełnie inny człowiek. A teraz włosy maluje, szczebioce jak jakaś panienska. I czym on się w życiu zajmuje? Nie wiem. Tylko w kółko do tego Krakowa jeździ, a co wróci, to cudaczniejszy. Tak nie może być. Ojcu się z rok temu zmarło, nie ma kto przypilnować. Wie pan, o czym oni rozmawiają? Oj, nie chciałby pan wiedzieć, na pewno by pan nie chciał. Tfu! - tu Morales splunął siarczyście.

Podbiegł jakiś mizerny kundlek i, merdając ogonem, obwąchał nogawki spodni mistrza.

- Czuje sukę - oświadczył mistrz, ale nie udało mu się w ten sposób zmienić tematu.

Morales splunął jeszcze siarczyściej.

- Przyjdzie kara na tych bezbożników! - rzekł Morales. - Wie pan, co on mi kiedyś powiedział? Że jest nową lewicą! Ja aż taki ciemny nie jestem, ja wszystko zrozumiem, nawet pederastię jakoś tam od biedy też zrozumiem. Ale nowej lewicy nigdy! Pan to sobie wyobraża? Ta nowa lewica to jak pedofilia jest! To powinno być karalne! Nie mam racji?

Mistrz przyznał rację Moralesowi. Nie był oczywiście aż tak radykalny, ale podobał mu się ton jego wypowiedzi. Już dawno zauważył, że Doktor właściwie miał bardzo podobne poglądy do Moralesa, ale wyrażał je nie aż tak poważnie.

Mistrz uśmiechnął się do Moralesa.

- Doktorowi by się spodobało to, co pan mówi. Oj, spodobałoby się - oświadczył.

- Ten Doktor to głowę miał. Ileśmy to, panie, razem z Doktorem wypili, ileśmy się narozmawiali, panie! Mądry człowiek to był, miał swoje grzeszki, ale mądry był.

Mistrz drgnął.

- Jakie grzeszki?

- Każden jeden jakieś grzeszki ma, no nie? - Morales machnął sękatą ręką.

I mrugnął do mistrza. I umilkł.

Przyjrzał się uważnie mistrzowi, tak jakby go po raz pierwszy w życiu widział, i warknął znienacka:

- A kto pan właściwie jesteś? Przyjeżdżasz pan tu, pijesz, zawracasz głowę prawdziwym Polakom, wypytujesz, a czy ja pana znam? Dokumenciki poproszę!

Mistrz zdębiał.

- Nie mam dowodu. Nie mam przy sobie żadnych dokumentów. Panie Morales, przecież...

- Dla kogo Morales, dla tego Morales! Wynoście się pan stąd, bo coś złego się może tu panu przytrafić!

Mistrz zrzucił ten nagły agresywny atak Moralesa na pokazną ilość wypitego od rana alkoholu.

Cenił Moralesa, on był mu w tym miejscu oparciem, nie chciał wchodzić z nim w żadne konflikty, nie chciał tracić tak cennego i wartościowego kompana, więc ukłonił się grzecznie Moralesowi i poszedł w stronę sklepu.

\*

Natomiast pan Wiesio i pan Grzesio tokowali w najlepsze.

Pan Grzesio niby już miał wyjechać, ale poznawszy tak interesującego przedstawiciela tej nieciekawej wiochy, uznał, że nigdzie się nie spieszy. Jego komórka dzwoniła i dzwoniła, ale pan Grzesio nie reagował. Zerkał tylko, kto dzwoni. I nie odbierał.

- A skąd się tutaj, w tak nieciekawej okolicy, wziąłeś, piękny nieznamy? - zapytał pan Wiesław.

Pan Grzesio opowiedział ze szczegółami historię o zakrwawionym, opowiadał barwnie, potoczyście, tak jak spiker mówiący z offu w programie telewizyjnym poświęconym przemocy.

Pan Wiesław nie okazał się szczególnie poruszony tą historią. Kiwnął głową i zadał pytanie z zupełnie innej parafii:

- A w nowym Psie naturalnie bywasz?

- Wiadomo - odpowiedział pan Grzesio, uznawszy, że widocznie pan Wiesław nie interesuje się przemocą. To jest możliwe. Stykał się już z takimi oryginałami w czasie swojej telewizyjnej kariery.

- Cudne miejsce, prawda? - rozmarzył się pan Wiesław. - Na szczęście coraz mniej tych starych pijaków z poprzedniego Psa. Na szczęście. Pewnie już powymierali od tego alko. Odetchnąłem z ulgą. Teraz zawsze tam można spotkać kogoś ciekawego, całe stada niezłych ciach. Lubię to podniecenie, kiedy wchodzę wieczorem do tej bramy na Sławkowskiej i zbliżam się do wejścia i myślę: a kogo dzisiaj napotkam? I zawsze ktoś jest. A to Struty przyjdzie, a to DJ

Karzeł, a to ten legendarny alternatywny na wskroś Jakub Mene-lusz, a to ten cudny Wiedemann, a to Sasnal. Kwiat młodzieży lewi-cowej! A kiedyś patrzę: a tu Jan Klata. Wyobrażasz sobie? Jan Kla-ta! Ze swoim bezkompromisowym irokezem na głowie. Korciło mnie, żeby wziąć od niego autograf, ale on jest chyba tak bardzo mroczny, podziemny i niezależny, że prawdopodobnie nie daje autografów, prawda? A jego felietony w „Tygodniku Powszechnym” są takie słodkie! Odkąd pozbyli się tych dziadów, które tam rządzi-ły, to pismo stało się głosem naszego pokolenia. Bardzo trendy! Tylko „Krytyka Polityczna” i „Tygodnik”! I ten Klateczka! Boże, jak ja bym chciał z nim porozmawiać o kondycji polskiego teatru! Ty, to i Patrycję musisz przecież znać! Co u niej słyhać?

- Którą Patrycję?

- Jak to którą? Dla mnie jest tylko jedna Patrycja. Naturalnie, że Twardowska. Co słyhać u tej cudownej dziewczyny? Jest jeszcze w Nowym Jorku, czy już wróciła? Ma jakieś nowe projekty? Jakies performensy szykuje?

Pan Grzesio chrząknął, niby potwierdzająco. Aż tak bardzo wprowadzony w nową lewicową myśl artystyczną nie był. Owszem, większość tych nazwisk coś mu mówiła, dodatki kulturalne co-dziennych gazet często rozpisywały się o nich, z niektórymi wymie-nionymi przez pana Wiesława osobami zetknął się nawet osobiście, ale rozmawiał z nimi wyłącznie o telewizji, nie o ich projektach i dokonaniach, więc nie mógł nasycić głodu nowości wyrażanego przez pana Wiesława.

Pan Grzesio, owszem, był także młodym człowiekiem, przedsta-wicielem tego samego pokolenia co pan Wiesław, ale jego światem była telewizja. Tam biło jego serce. Wielokrotnie jednak sparzył się pan Grzesio, usiłując opowiedzieć ludziom postronnym jak bardzo fascynująca jest jego praca. Ludzie w pewnym momencie przesta-wali słyhać. Nikogo postronnego, prócz paru zбочeńców, nie interesowały tak naprawdę kulisy powstawania programów telewi-zyjnych, nikt nie drżał na myśl o groźnym, lecz charyzmatycznym wielkoludzie, właścicielu Grzesiowej stacji. Tylko z pracownikami telewizji dawało się porozmawiać o telewizji. Ale pan Wiesław był potencjalnym pracownikiem telewizji. Miał ten styl. Miał w sobie to coś. A że miło im się rozmawiało, jako pointę, tuż przed swoim wyjazdem, pan Grzesio planował złożenie propozycji panu Wiesła-wowi, propozycji pracy w jego redakcji. Takich świeżych, otwartych

umysłów nigdy dosyć. Ale to jako pointa miało być, to miało podsumować i ukoronować to przemile wczesne popołudnie, zaczęte w tak nieprzyjemnych okolicznościach.

Na razie pan Grzesio chłonął słowa pana Wiesława.

\*

Mistrz postanowił przejść się do sklepu spożywczego po papierosy. Wprawdzie w Stylowej też jakieś papierosy dałoby się kupić, ale obecność tamtych dwóch była nazbyt dla mistrza denerwująca, a i rozwścieczonemu poczciwinie Moralesowi lepiej było przez jakiś czas nie wchodzić w drogę. Zresztą świat istniał również poza Stylową, od czasu do czasu należało go odwiedzić.

Szedł i patrzył.

Miasto widniało w oddali. Jakieś kominy, wieże. Różne atrybuty miasta wystawały z oddali.

Miasto nazywało się Kraków. Tego jeszcze mistrz nie zapomniał.

Codziennie budził się tam, codziennie wraz z suką powtarzali tę samą drogę po Plantach.

Ale potem niemal codziennie szybko stamtąd wyjeżdżał. Lądował w tym oddalonym o jedenaście kilometrów miejscu z tablicą dumnie głoszącą: KRAKÓW 11 KM.

Przyjeżdżał tu chyba po to, by mieć świadomość, że wprawdzie wyjechał, ale nadal ma miasto na oku. Wolał mieć miasto na oku, żeby nie wycięło mu żadnego numeru.

W mieście od dawna nie było już życia. Jeździły wprawdzie po nim różne środki komunikacji, niebo przecinały co jakiś czas samoloty, tłum turystów rozbiegał się w różne strony, ale to były tylko pozory. W mieście nie było już prawdziwego życia. Ale i trupy potrafią być złośliwe.

Oczywiście, ten sposób rozumowania wskazywał na to, że mistrz po prostu się zestarzał, dwadzieścia lat temu nie odczuwał tak dojmująco braku życia, miasto było wtedy samym życiem, miasto miało wiele sensu dwadzieścia lat temu. A i w tej chwili dla młodych ludzi na pewno miało też wiele sensu i życia. Ale to ułuda. W mieście nie istniało już życie. Miasto umarło przed wielu laty. W mieście były już tylko pozory.

Parę dni temu na mistrzu uwiesił się pewien siwy, długowłosy pijaczyna, wielokrotnie widywany na ulicach i w lokalach miasta.

- Żyjemy, co? Żyjemy! Już na nas postawili krzyżyk, a my dalej chodzimy po mieście! Ile to ja cię znam? Z pięćdziesiąt lat cię znam. I co? Byliście piękni i młodzi. Ale się skończyło. Ale żyjemy, co? I dalej jesteśmy niegrzeczni, co? I mogą nam, o! - w tym momencie pokazał, co mogą im zrobić.

A czterdziestokilkuletni mistrz pokiwał na odczepnego głową i powędrował w swoją stronę. Nie był nazbyt pewny co do tego, czy żyje. Już kiedyś spotykał w swojej bramie człowieka, który uparcie, wielokrotnie mówił mu: „Już nie żyjesz”. Spowodowało to trochę kłopotów. Ale to inna historia. Obecna historia dotyczyła śmierci Doktora.

„Nie mogę umrzeć, zanim tego nie wyjaśnię” - kombinował mistrz.

A sprawa się wlokła i wlokła.

Mistrz niby coś robił, ale tak naprawdę nie robił niczego.

Może to brało się z woli życia, chęci przetrwania.

Póki mistrz nie wyjaśnił sprawy śmierci, miał prawo żyć.

\*

W sklepie spożywczym za ladą siedziała ulubiona pani mistrza.

Sympatia od pierwszego wejrzenia.

Nieduża, wesoła i życzliwa.

Siwiotka jak gołąbek.

Mistrz bardzo lubił nie tylko tę panią. Lubił również wnętrze tego sklepu. Lubił jego zapach. Niezmiernie śmieszył i rozczulał go plakat z dziewczyną w stroju kąpielowym, namiętnie liżącą trójkątnego loda.

- O, jest pan! - ucieszyła się pani sklepowa. - Już pan wraca do Krakowa?

- Nie, nie. Poproszę o papierosy. Camele.

- Żółte - pochwaliła się dobrą pamięcią pani. Nie było to takie trudne, ponieważ tylko mistrz kupował w jej sklepie tę markę.

Podawała mu papierosy, zainkasowała należną kwotę i uśmiechnęła się.

- Zapalimy? - zapytał mistrz.

- Ale na schodkach - zastrzegła pani. Czasami pozwalała mistrzowi zapalić w sklepie, ale tym razem nie. Taki kaprys.

- Strasznie wieje - skrzywił się mistrz, ale zgodnie wyszedł z panią na zewnątrz.

Wiało straszliwie.



Spróbował poczęstować ją swoim papierosem, ale pokręciła przecząco głową, wolała swoje, mentolowe.

Palili przez chwilę w milczeniu, osłaniając swoje papierosy przed wiatrem.

Przejechał autobus.

- Widział pan starszego Moralesa?

- Aha - kiwnął głową mistrz.

- Moralizuje?

- Bez przerwy. Proszę pani, bez przerwy. Inaczej chyba widocznie nie umie.

- Oj, żeby pan widział, jak oni wczoraj z bratem popili, te Moralesy. Awanturowały się obydwu tak, że na całą okolicę było słychać.

- No, pewnie mu wstyd dzisiaj, więc moralizuje. Już mnie upominał, żebym nie pił. Już mnie chciał wylegitymować.

- To dla niego typowe... A mojego syna pan widział?

- Ja to chyba nie znam pani syna... - zaszepcił się mistrz.

- A, możliwe - westchnęła pani. Umilkła i popatrzyła na swojego papierosa.

- Ten pana Doktor to palił białe marlboro - pokiwała głową.

- Aha - kiwnął głową mistrz. - Białe marlboro. I co jeszcze u pani kupował?

- To, co wszyscy ludzie. Chleb. Wodę. Alkohol to chyba z miasta przywoził, bo tu mamy mały wybór.

- Nigdy nie kupował u pani alkoholu? - zapytał mistrz, wspomniawszy dramatyczny esemes Doktora.

- No może raz, chyba coś takiego pamiętam. Ale słabo pamiętam.

- Przypomni sobie pani, kiedy to było i co to było? - drażnił mistrz.

- Kochany, ja przez te wszystkie lata pracy w handlu społecznym tyle tu tych butelek z winem, piwem i wódką sprzedałam, że jednej konkretnej butelki to sobie raczej nie przypomnę. Ale spróbuję.

- Bardzo bym poprosił - powiedział mistrz, zgasił na poręczy metalowych schodów swojego papierosa, pocałował panią w rękę i odszedł. Bo pora była ku temu stosowna.

W rasowej, pisanej według ustalonych przed laty reguł, powieści kryminalnej już na samym początku pojawia się podejrzany. Jest podejrzany najmniej, lecz w finale okazuje się, że to jednak on.

- Ale my nie jesteśmy rasowi - pomyślał mistrz.

Ta pani ze sklepu byłaby doskonałą kandydatką na zabójczynię Doktora. Najmniej podejrzana. W zasadzie przyjemna i przyjazna światu. W zasadzie nie miałyby żadnego motywu. Pojawia się na samym początku historii. Idealna podejrzana.

Ale to nie ona. Na pewno nie.

\*

A pan Wiesław mówił nadal:

- Ty wiesz, ile to ja się namęczyłem, żeby zrobić sobie fryz na Izę Trojanowską, wczesne lata osiemdziesiąte? Żaden fryzjer nie chciał się podjąć. Boże, co ja się namęczyłem, żeby tym ciotom wytłumaczyć o co chodzi. Nie dało się. Jeszcze nie ma w tym naszym Bolandzie zbyt wielu fryzjerów, którzy dokładnie rozumieją, o co chodzi klientowi. No chyba że w stolicy. Ale idzie ku lepszemu. Dzieciaki są kreatywne, uczą się, pewnie niedługo poznam kogoś, kto się odważy zrobić mi taką Trojanowską. A wiesz, złotko, że w tym sezonie zrezygnowaliśmy z fascynacji chłopcami na deskorolkach? Do łask powróciły oldskulowe trajki. Sushi jest passé, teraz modne jest tao. A także imprezy z pijaną fryzjerką. Pijana fryzjerka party. Przed imprezą nie czeszemy się. Na imprezę przychodzimy rozczochrani, otwarci. Chodziliśmy już do ukrytych salonów fryzjerskich bez szyldów, były prywatne wizyty u stylistów, teraz mamy fryzjera we własnym domu. Króluje tequila i hasło: tnij i pij.

- O Jezu - powiedział pan Grzesio. - Nie wiedziałem.

- Czytałem o tym w dodatku do Newsweeka. Tak właśnie jest w Warszawie - oświadczył pan Wiesław i zapytał: - Znasz Ptysia? On tam robi w dziale kultury.

Pan Grzesio znał wielu pracowników i wiele pracownic działów kultury przeróżnych gazet codziennych i kolorowych tygodników. Stykał się z nimi na różnych premierach, wernisażach i bankietach.

Lecz Ptysia nie znał.

Troszkę się zawstydził.

Postanowił więc sięgnąć po ostateczny argument:

- A nie chciałbyś popracować u nas, w telewizji?

\*

Morderca odnalazł zakrwawionego.

- To ty jeszcze nie zdechłeś? To ty pełzasz po okolicy, wstyd mi przynosisz? Wiesz, że teraz muszę cię dobić?

Zakrwawiony nie odpowiedział.

Wydawało mu się, że śni, że oto właśnie w tej chwili jest niewinnym dzieckiem, które ma sen.

W tym śnie nadchodzi wielki, czarny, zły człowiek.

Zbliża się coraz bardziej. Napięcie rośnie. Ale z tego snu da się obudzić. Nawet we śnie jest świadomość możliwości ucieczki. Owszem, jest to zły sen, ale da się z niego wyjść, natychmiast.

- Raz-dwa-trzy - odliczył zakrwawiony, leżący na stosie rupieci w starej szopie. - Raz-dwa-trzy. Koszmar mija. Nic złego się nie wydarzyło i nie wydarzy. Budzimy się.

Ale morderca się zbliżył i dokonał swojego dzieła.

\*

- Ależ naniszczyłem sobie komórek w mózgu! Ileż to razy narażiłem na szwank swoją wrażliwość! - pomyślał mistrz, chwycenie powracając do lokalu Stylowa.

Wiatr wiał i chłostał.

W oddali nadal widniało miasto.

Sine, groźne miasto w oddali.

- A przecież jestem tu, by wyjaśnić zagadkę śmierci Doktora. Poznałem już chyba wszystkich mieszkańców tej okolicy i okazuje się, że żaden nie byłby skłonny być mordercą. Morderca na pewno wywodzi się z miasta. Tylko tam jest zarzewie zbrodni. Tu, jeśli ktoś kogoś, to oficjalnie, na wiejskiej zabawie. Nikt by się nie uciekał do takiego wyrafinowania. Nikt by Doktora nie otrował.

\*

I tu zniemacka mistrz doznał olśnienia.

- Czemu tęsknię aż tak za Doktorem? Wiadomo. Boję się do tego sam przed sobą przyznać, lecz wyjaśnienie proste jest i trywialne. Prawda jest taka, że jak był Doktor, to nie tylko więcej się

żartowało. Jak był Doktor, to moje życie erotyczne było nadzwyczaj bujne. Wszystkie poniechane przez Doktora dziewczyny trafiały do mnie. Właśnie to mu zawdzięczam.

Mistrz wspomniał brutalny, zwierzęcy seks bez miłości z pewną Marzenką, która w ekstazie kompletnej i ostatecznej jęczała: „Doktor doktor doktor...”.

Mistrz wspomniał przeuroczą licealistkę, która zrobiła dla mistrza więcej niż kobieta dla mężczyzny może zrobić; tyle entuzjazmu, tyle świeżości, taka pasja, coś niewiarygodnego, a potem poprosiła o numer telefonu Doktora.

Wiele kobiet zapoznał cielesnie mistrz dzięki Doktorowi przed laty. Może i było to chore i obelżywe, ale - z drugiej strony - strasznie dużo wzruszeń mistrz zawdzięczał Doktorowi. Tego się nie da zatrzeć w żaden sposób.

W tym zamyśleniu wszedł do Stylowej. Owszem, siedzieli tu jacyś ludzie, ale raczej nietutejsi, raczej w ogóle nie związani z zasadniczą akcją, jedli obiad, pili piwo, palili papierosy.

W odległym kącie siedział jeden miejscowy pijaczek, trochę znajoma gęba, ale ani Moralesa, ani tamtych dwóch chłopiąt nie było. Nawet dziewczyny. Gości restauracyjnych obsługiwała kucharka. Kobieta enigmatyczna i rumiana.

Mistrz usiadł przy barze, oddał się wspomnieniom.

Na barze stała niedokończona przez niego szklaneczka alkoholu.

Pewnie dziewczyna uznała, że nie ma sensu jej usuwać, doskonale wiedziała, że mistrz wróci. Zawsze wracał.

Wiatr wzmógł się.

Zbliżała się czternasta.

\*

- Doktor pił. Pił od zawsze. O wiele więcej pił niż pamiętam - pomyślał mistrz. - Po jego śmierci byłem nawet skłonny wierzyć w to, że prawie nigdy nie pił, że zawsze był autem. A to nieprawda. Doktor pił, ale robił to bardzo dyskretnie.

\*

Zakrwawiony już był nieżywy. Zdecydowanie. Zabójca stał nad zakrwawionym nieżywym. Patrzył. No, niby był taki sam jak żywy. Tyle że z opadniętą zuchwą. Tyle że się nie ruszał. I nie poruszy się już nigdy. Zabójca oparł się o ścianę szopy. Niby nic, a zrobiło to jednak na nim wrażenie. Dyszał ciężko.

To nie było tak, że był całkiem bez serca. Czuł, że to, co zrobił, jest złe, ale jednocześnie wiedział, że musiało się tak stać. - Oto już się kończy - pomyślał - co się skończyć miało. Westchnął. Ucałował czoło umarłego.

## rozdział trzeci

Stuk, stuk, stuk. Stukanie do drzwi.

Suka podnosi głowę i zaczyna merdać kikutem.

- Jeszcze śpimy? - pyta Doktor zza drzwi.

Mistrz otwiera drzwi. Zaiste, ten, który mówi głosem Doktora, jest rzeczywiście Doktorem. Błędym trochę i z lekka nawet przezroczystym, ale Doktorem. W skali jeden do jeden.

- A tu już, proszę pana, dawno dzień. I pora porozmawiać z dawno niewidzianym kolegą.

Doktor zdejmuje z krzesła stos papierów, siada, wyjmuje wonne, zagraniczne, więc zdrowsze papierosy, częstuje mistrza.

- Należałoby wyjaśnić, co się ze mną stało - mówi Doktor. - Ja sam nie wiem, co to było. Umarłem. Ale nie chciałem umierać. Przecież wiesz, jak bardzo nie chciałem umierać. Musisz to wiedzieć. Ty chyba też umarłeś. Tak mi się przynajmniej zdaje. Do kogo mam się zwrócić, jak nie do ciebie?

Mistrz usiłuje odpowiedzieć Doktorowi, ale wargi ma z waty, z suchej, lodowatej waty.

\*

Otworzył oczy.

Musiało minąć trochę czasu.

We wnętrzu Stylowej wszyscy ponownie byli na swoich miejscach: i ci dwaj rozkoszni chłopcy w swoich wdziankach, i posepny Morales, i nawet pani barmanka powróciła. Wszystko było jak poprzednio, tak.

Niesamowite.

A Doktor przed chwilą odwiedził mistrza w głowie. Sennej trochę, otumanionej alkoholem mistrzowej głowie. Ale Doktor zawsze wiedział, co robi.

Wszystko w życiu Doktora miało swój cel, swój głęboki sens. Więc i po śmierci zapewne tak u Doktora jest. Schludnie i zgodnie z planem.

\*

Doktor urodził się w połowie lat sześćdziesiątych. Był więc nieco młodszy od mistrza. Ale nie dawało się tego odczuć.

Doktor był wyższy, poważniejszy, miał wyższe doktorskie wykształcenie. Doktor miał nowy dowód osobisty. Doktor płacił podatki. Doktor miał zdolność kredytową. Doktor miał dwa samochody: niedzielny i codzienny.

Doktor chodził do kościoła. Jego wiara nie była nachalna, ale istniała zapewne. Jako przedstawiciel świata medycyny nie zawsze mógł się zgadzać z nauczaniem Kościoła i wtedy udawał, że jest niewierzący. Ale w innych momentach całym sobą potwierdzał swą głęboką wiarę.

Doktor głosował. Zazwyczaj na tych, którzy przegrywali. Ale to uprawniało Doktora do krytykowania rządzących. Ilekroć mistrz odważał się wypowiedzieć na jakieś tematy polityczne, Doktor uciszał go prostym zdaniem: „Nie głosowałeś, nie masz prawa się odzywać”.

Doktor miał nie tylko dwa auta, miał także dwa domy. Duże mieszkanie w kamienicy odziedziczonej po ojcu, również lekarzu, i letni domek pod lasem, położony jedenaście kilometrów od Krakowa.

Doktor nie przepadał za tym domkiem, ale cóż było robić, jakoś nie mógł się zdobyć na sprzedanie go, pamiętając, jak wiele pracy poświęcił temu miejscu ojciec, z zamięłowania działkowiec. Ogród ojca przez czas, który upłynął od jego śmierci, poważnie podupadł, ale nadal jeszcze widać było, zwłaszcza latem, resztki minionej świetności.

Chcąc nie chcąc, Doktor korzystał z tego letniego domku na przedmieściu. Przeklinał to miejsce, ale przyjeżdżał tu. W wakacje i w niektóre weekendy.

Mistrz kilka razy wywłókł się ze swojego mieszkania, kilka razy przymuszony został przez Doktora do opuszczenia miasta i wyjazdu na przedmieście. Siadywali w ogrodzie, palili zagraniczne papierosy Doktora i pili jacka danielsa, czy co tam pod ręką było.

Bywało, że Doktor zapraszał tu jakieś dziewczyny albo kolegów, muzyków z zespołu Biały Kieł, w którym w latach młodości grywał, albo też współpracowników, lekarzy. Ale wtedy mistrz raczej tam nie bywał, nie lubił takich imprez, z jakimiś tam grillami, śpiewami i pieszczaniem dziewcząt. Raczej się z udziału w nich wykręcał.

A później wszystko się zmieniło. Pod koniec Doktor przyjeżdżał tutaj sam. Mistrz teraz już rozumiał, że chyba chodziło o tę dziewczynę, wtedy jednak dziwiło go to niezmiernie.

W tym czasie mistrz zauważył, że Doktor zdecydowanie sposepniał. Rozproszony jakiś był, często zerkał na wyświetlacz komórki. Czekał na jakieś ważne esemesy. Nie dzwonił tak jak dawniej w obecności mistrza, odchodził na bok.

A potem znaleziono go w tym domku. Siedział elegancko ubrany w fotelu i nie żył.

Mistrz nie był na pogrzebie Doktora, mistrz raczej niechętnie bywał na pogrzebach. Taka fobia, uraz, kaprys.

Opowiadano potem mistrzowi, że jeden z kolegów Doktora, lekarz, stwierdził jakieś tam zatrucie czymś. Że coś Doktor zjadł czy wypił, i mu to zaszkodziło.

Ale w żadnym razie nie mówiono o tym jako o sprawie kryminalnej. Dopiero ten esemes, który pokazała mu dziewczyna wiele miesięcy po śmierci Doktora, spowodował, że mistrz zaczął drążyć, przyjeżdżać tutaj.

Podobno dziewczyna od razu poszła z esemesem na policję, ale zbagatelizowano wszystko, co im opowiedziała.

Wszystkich nagle Doktor przestał interesować. Był przydatny gdy żył, po śmierci zrobił się absolutnie nieprzydatny. Tylko mistrz i dziewczyna pamiętali o Doktorze.

\*

- A kiedyś powiedział mi: „Ty, młoda panno, nie wiesz wszystkiego o mnie, nie możesz wiedzieć, ty nie wiesz, że to, co pokazuję na zewnątrz, to jeszcze nie jest wszystko”.

- E, to nie w jego stylu. Doktor tak powiedział? - zdziwił się mistrz.

- Doktor. Siedzieliśmy w jego ogrodzie, na kilka miesięcy przed tym, jak... I wtedy tak powiedział. Ale zaraz potem zaczął żartować.



I zapomniałam o tym. A teraz mi się przypomniało. W tym momencie stał się jakiś inny, poważniejszy niż zawsze, wiesz?

- Ja takich rzeczy raczej nie zauważałam. Ale myślę, że pod koniec trochę bardziej był roztargniony. Ale może to przez to, że się w pani zakochał? - ostatnie słowo wypowiedział mistrz z wielkim trudem.

- Oj, nie wiem, czy można to nazwać zakochaniem. Oj, nie wiem... - zamyśliła się dziewczyna.

Mistrz rzadko patrzył jej bezpośrednio w oczy. Najczęściej, mówiąc do niej, wędrował wzrokiem po kolorowych nalepkach na starzych kurwach butelkach.

Teraz spojrzał.

Odważył się i spojrzał.

I to, co zobaczył, przeraziło go.

\*

- Generalnie to ja jestem zadowolony z tego, co mam. Wiesz, takie chodzenie do pracy i poddawanie się kapitalistycznemu wyzyskowi to nie dla mnie. Miałem już ciekawą propozycję pracy w TVN, ale, wiesz, to takie banalne. Wszyscy już tam pracowali, ja nie jestem wszyscy. Nie będą wysysać mojej kreatywności. Nie mieszam się zresztą z pospólstwem. Na razie jeszcze jakoś sobie radzę, do końca roku mam stypendium Fundacji „Żeby nie wyjechali do Irlandii”. Dają to najwartościowszym, najbardziej kreatywnym, najbardziej alternatywnym koleśiom na ich odjechane projekty. Wiesz, założyłem taki prawdziwy dom kultury alternatywnej w sekondlajfie. Nie tylko jestem tam dyrektorem i jedynym pracownikiem, nie tylko jestem tam wyśmienitym didżejem, nie tylko organizuję koncerty awatarów innych didżejów, dużo lepsze niż tutaj, ale robię również spotkania z ciekawymi awatarami, wiesz, z takimi, których w realu nie można by było spotkać. Opowiadają o swoich książkach napisanych w sekondlajfie, o swoich projektach. Projektują też różne ubrania, mam w moim alternatywnym domu kultury mały sklepik, czasami ktoś je ode mnie kupuje za prawdziwe pieniądze. Aha, żebyś sobie nie myślał, jeszcze ci nie wspominałem, ale zrobiłem książkę! Wiesz, taki projekt, wywiady z najlepszymi krakowskimi didżejami, opowiadają o swojej muzie i o tym, co generalnie ich kręci. Dwadzieścia dziewięć wywiadów, moje pytania, moje zdjęcia. Zatytułowałem to „Didżeje i ich dzieje”. Wydawnictwo

Znak ma to wydać na wiosnę, ono teraz jest na młodzież bardzo otwarte... - tłumaczył pan Wiesław. - Generalnie to żyję z tych projektów, czasem starsza coś odpali, ale moje potrzeby nie są takie duże: czasem jakieś markowe ubranko, czasem jakiś wyjazd, rozumiesz. Ale kto wie, czy mnie nie przyciśnie i nie będę potrzebował więcej kaski, to się wtedy do ciebie zgłoszę, tak? Daj mi swój numer - pan Wiesław wyjął swoją komórkę i natychmiast zrobił nią zdjęcie panu Grzesiowi.

- Na pamiątkę naszego spotkania - wyjaśnił.

Obejrzał zdjęcie w komórce i pokazał panu Grzesiowi. Pan Grzesio pochwalił naturalną gamę barw, którą osiągnęła komórka pana Wiesława, a następnie, dla porównania, zrobił swoją komórką zdjęcie panu Wiesławowi, a potem powysyłali sobie swoje numery, a także owe zdjęcia. Ku obopólnemu zadowoleniu.

- A ten kolczyk to masz tylko jeden? - pan Wiesław dotknął pośpiesznie Grzesiowego ucha.

- Jeden. Ale mam też tatuaż.

- A gdzie?

- A nie powiem - przekomarzał się pan Grzesio.

Czuł się niemal tak jak wtedy, kiedy poznał pewną przyjezdną ze, zdaje się, Żagania. Też rozumiała go tak dobrze jak pan Wiesław. Ale tamta znajomość skończyła się tragicznie. Pan Grzesio bardzo nie lubił tragicznych zakończeń. Bo nikt przecież nie lubi tragicznych zakończeń.

\*

Morales usiadł przy mistrzu i zamówił dużą czystą wódkę. Wychylił ją od razu.

Stuknął kieliszkiem o kontuar i otrząsnął się.

- A tobie, chłopino, wątroba jeszcze nie wysiadła? - zapytał mistrza. I nie czekając na odpowiedź, kontynuował:

- Oj, niemądrzy wy, niemądrzy. Chlejecie, pieniądze, co by je można było przeznaczyć na jakiś szczytny cel, przepijacie, narządy wewnętrzne niszczyacie sobie i życie osobiste. Co ty za życie osobiste, chłopino, masz? Masz ty jakąś rodzinę w ogóle? Jeszcze się ciebie najbliżsi nie wyrzekli? - zapytał i nie czekając na odpowiedź, jechał dalej:

- Tylko im na pewno zmartwienia i zgryzoty, chłopino, przynosisz. Płacz i zgryzanie zębów, chłopino, płacz i zgryzanie zębów!

Mistrzowi nie za bardzo podobało się, że Morales przestał zwracać się do niego per pan. Sformułowanie „chłopino” wcale nie przypadło mu do gustu.

Mistrzowi nie za bardzo podobał się ton Moralesa, nie przepadał za takimi rozmowami. Więc milczał.

A to, że Morales pół godziny wcześniej w jakimś amoku chciał go wylegitymować, świadczyło ewidentnie o tym, że człowiek ów wypił już dostatecznie dużo i że powinien wrócić do domu. Ale strach byłoby mu to zaproponować.

Siedział więc spokojnie, sączył sobie co tam do sączenia miał.

A Morales mówił.

Najpierw do niego, wielu cennych rad mu udzielił, ale potem znudził się, uczepił się barmanki.

- A ty panienko, co taka wdowa jesteś? Umarł to umarł. Taki jego los. Wcale ci on do niczego niepotrzebny był. Wzięłabyś za mąż wyszła za kogoś poważnego, tutejszego, dzieci byś mu urodziła. To nie dla kobiety takie siedzenie w knajpie, nalewanie obcym chłopom wódki i piwa. Swojemu byś nalewała!

\*

- A widzisz tego, co siedzi z tym policjantem, Moralesem? - zapytał pan Grzesio.

- Jaki tam z niego policjant! - zachnął się pan Wiesław.

- O tego drugiego mi chodzi, tego skulonego... - tłumaczył pan Grzesio. - Kojarzysz go?

- Tak, tak. To ten gwiazdoruś. Grał w jakimś tam oldskulowym, biało-czarnym, milicyjnym, głupkowskim serialu. A potem się skończył. Widuję go w różnych lokalach Krakowa. Wkurwia mnie i moich frendsów. Zobacz sam, jak on utył, spuchł i posiwiął. No, upiór! Myślałem, że przynajmniej Styłowa jest bezpieczna, że nigdy go tu nie spotkam, a tu - proszę bardzo! Parę miesięcy temu wchodzi - a on siedzi. No, wiecie państwo! Nie dość, że psuje nam zabawę w Krakowie, to jeszcze się tutaj pojawił. Na początku myślałem, że to może nieźle go znać. Ja mu opowiedziałem o sobie i swoich projektach, ale udawał, że go to nie zainteresowało. Chciałem pomóc

pacanowi, chciałem, żeby załapał się razem ze swoim wątpliwym autorytetem do moich projektów, ale nic z tego, z jego winy, nie wyszło. Nie chciał, to co ja się będę narzucał? Ale powiem ci, podejrzewam, że nawet nie jest w stanie odróżnić Houellebecqa od Murakamiego. Taki typ. Sam nie wiem, co on tu robi. Jego czas się skończył. Generalnie to siedzi tu i pije. I zaczepia barmankę.

- Całkiem ładna dziewczyna - wtrącił ze znawstwem pan Grzesio. -Wprowadź to i owo bym w niej poprawił, trochę podstylizował, ale niczego sobie dziewczyna. Chociaż jest trochę może za bardzo słowiańska, brak w niej egzotyki.

- Typowa, wsiowa, pszenno-buraczana piękność. W Krakowie byś, słonko, na nią w ogóle nie zwrócił uwagi, nie sądzisz? - wypowiedział się ze znawstwem pan Wiesław.

I w tym momencie pan Grzesio znienacka miał ponurą refleksję na temat własnej, szalenie egzotycznej i wystylizowanej żony, również pracownicy telewizji. Wystylizowała się i wyegzotyczniła ostatnio do tego stopnia, że prawie w ogóle nie widywali się, ona pracowała w stolicy i ciągle wyjeżdżała za granicę, uczestniczyła w prawdziwym życiu prawdziwych telewizyjnych producentów, powoli zapominała o istnieniu swojego męża, szeregowego pracownika telewizji, który pracował w programie poświęconym sprawom polskim, polskim zbrodniom, polskiemu molestowaniu kleryków, polskiej przemocy w rodzinie, czyli nie był aż tak bardzo dla niej atrakcyjny.

Nadmierna stylizacja odsuwa od siebie ludzi.

Ale tę panią za barem w zasadzie tylko trochę należałoby podstylizować.

\*

Morales jednak poszedł do domu. Mieszkał bardzo niedaleko. Wszyscy tutaj mieszkali bardzo niedaleko. Powiedział, że musi odpocząć. Sam z siebie to wymyślił, nikt mu tego nie sugerował.

Nalał sobie do swojego ulubionego kubeczka zsiadłego mleka. Wypił jednym haustem.

Położył się na tapczanie. Stęknął. I tapczan też stęknął.

Włączył przy pomocy zatłuszczonego, zakurzonego pilota telewizor. W telewizorze mówił premier Tusk. Długo mówił. Zapewniał i

uspokajał. Potem mówił jakiś przedstawiciel partii, co się PSL nazywała. Zapewne ktoś powiedział temu politykowi, jak układać dłonie, żeby podkreślać swoją kompetencję. Nie wiadomo, co mówił, bo Morales zmniejszył głośność do minimum. Potem inny przedstawiciel innej partii mówił. I tak samo układał dłonie. Widocznie mieli z przedmówcą tego samego nauczyciela od mowy ciała. Albo też czytali ten sam podręcznik.

Morales nie przepadał za tymi nowymi u steru władzy. Mętne to, bez charakteru, bez poglądów. Poprzednia władza robiła na nim dużo lepsze wrażenie. Byli wyraziści, umieli walnąć w stół, umieli krzyknąć, umieli zaprotestować. Niby nikczemnej postury, niby groteskowi troszeczkę, a jacy zadziorni!

Potem mówiła pani ze studia telewizyjnego. Ładna pani, ładnością bardzo telewizyjną ładna, ale niezbyt mądra. Ale w telewizji mądrość przecież tylko przeszkadza.

Potem były reklamy. Misyjność telewizji po raz kolejny została udowodniona.

Potem Morales odwrócił się od telewizora. Przed oczami pulsowały mu czerwone plamy. Był zmęczony. To nie tylko alkohol tak mu zrobił, nie tylko alkohol.

Tuż przed zaśnięciem przypomniał sobie Morales swoje wesele, które odbyło się przed wielu laty w Stylowej.

Pięknie było. Wszyscy byli. Jego brat. Jego matka. Jego ojciec. Jego żona, co potem bardzo niedobra, złośliwa i podła się okazała, ale wtedy jeszcze nic tego nie zwiastowało.

Pięknie było. Udało się załatwić ślub w dużym kościele w Krakowie. Tu, na przedmieściu, nawet kościoła nie było i nie ma nadal. Gdyby nie Morales, byłoby to miejsce zupełnie zapomniane przez Boga.

Morales był świeżo po wojsku, jeszcze nie wiedział, gdzie ma zamiar pracować, jeszcze się nic w jego życiu nie zdecydowało. Ta żeniaczka to był pierwszy poważny krok w poważne życie.

Niby przebrzydła komuna wtedy rządziła, ale wszystko było jakieś bardziej świeże. Tylko dwa programy w telewizji. Jedzenie mniej wymyślne. Chleb smaczniejszy. Jeszcze nie było wtedy żadnego gejostwa ani pedofilii.

Morales tańczył. Był tak szczęśliwy, że obtańcowywał wszystkie stare baby, był tak szczęśliwy, że nawet, w pijanym widzie, księdza,

co ślub Moralesowi i Moralesowej dawał, do tańca poprosił, a ksiądz nie odmówił i przetańczył z Moralesem parę minut. Wesoło było. Wszyscy klaskali.

A ojciec. A matka. A brat. A panna młoda. A kiełbasa. A wódka. A jakże piękne melodie odgrywał pan na klawiszach. A jakże głębokim i jakże ciemnym altem śpiewała jego partnerka.

Stylowa tego dnia była najpiękniejszym miejscem na świecie.

W ogóle wtedy wszystko było piękne i proste.

Sprawiedliwość była sprawiedliwością. Prawo prawem. Później okazało się, że jest kompletnie odwrotnie. Że na przykład NATO i Stany Zjednoczone są bardzo dobre, wcale nie tak jak ich uczono w szkole i w wojsku.

Morales miał trochę problemów z przestawieniem się na nowe czasy. Ale nie tak znowu wiele, w końcu się przestawił. Zrozumiał. Jak mówią, że NATO i Stany Zjednoczone są teraz dobre, to znaczy, że są dobre i nie ma co dyskutować.

Nabrał pewności, że wszystko, co wyniósł z domu rodzinnego, religijność matki, praworządność ojca, wszystko to dopiero teraz znalazło jakiś sens, uprawomocniło się. Zrozumiał, że te wartości odzyskały swoje znaczenie, zaczął się ich trzymać i je głosić.

Ale teraz, kiedy leżał odwrócony do ściany, kiedy pomyślał o wczorajszym i dzisiejszym dniu, poczuł się bardzo niepewnie.

Jakoś nic mu się nie zgadzało.

I aby znaleźć jakiś punkt oparcia, pomyślał o rodzinie.

Znowu pomyślał o ojcu.

Pomyślał o matce.

Pomyślał, że cokolwiek w życiu zrobił, to zrobił dla rodziny, dla umarłych przodków.

Jego korzenie były tu, w tej ziemi, ale i tam, w niebie.

Żył po to, żeby spełnić ich oczekiwania, robił wszystko w swoim życiu po to, żeby go zaakceptowali, żeby kiwali ze zrozumieniem siwymi głowami i pomarszczonymi, spracowanymi dłońmi wykonywali z chmur błogosławiące go znaki.

Pomyślał o ojcu.

Pomyślał o matce.

Pomyślał o bracie.

\*

Mistrz zamówił kawę, uznawszy, że pora odpocząć od alkoholu.

- A pani to właściwie z jakiego jest rocznika? Przepraszam, że tak obcesowo pytam, ale nagle zacząłem się zastanawiać, o ile Doktor był od pani starszy...

- Z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego. Taka młoda to ja już nie jestem. Wiele lat temu byłam młoda. Doktor, jak mnie wtedy poznał, to powiedział, że nie ma takiego rocznika. A ja wtedy odpowiedziałam: „Jak to nie ma? To rok, w którym umarł John Wayne”.

- Hohoho - wyraził podziw mistrz.

Ekspres do kawy parsknął donośnie.

- Cukier?

- Żeby dorosły mężczyzna miał słodzić? Nie może tak być!

- Mleczko?

- Żeby dorosły mężczyzna używał mleczka! Tyle już kaw tu wypilem, a pani udaje, że nie pamięta, że piję tylko niesłodzoną czarną!

- A Doktor słodził. A mleczka to lał tyle... A wiesz, że chciał, że bym z nim wyjechała? - zapytała dziewczyna, stawiając przed nim filiżankę na lekko wyszczerbionym spodeczku.

- Dokąd?

- Chciał to wszystko zostawić i wyjechać do pracy. Albo do Anglii, albo gdzieś. Nie wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. On mnie nie informował o takich rzeczach - mruknął mistrz. - Ot tak, zostawiłby wszystko i pojechał?

- Mnie by nie zostawił - powiedziała ona.

- Ale i tak nas wszystkich zostawił - powiedział mistrz.

- Ale ja i tak wyjadę. Już niedługo. Naskładałam sobie trochę pieniędzy i wyjadę z jednym człowiekiem do Meksyku. Może nie na zawsze. Ale pojedę. Koniecznie do Meksyku. Takie mam marzenie. Co ci stamtąd przywieźć?

Mistrz westchnął.

- Wszyscy wyjeżdżają. Albo wyjeżdżają, albo umierają. Co się z wami dzieje? Dokąd się tak spieszycie? Czego tam szukacie? Niczego proszę mi nie przywozić. Po prostu: proszę nie wyjeżdżać! Jak pani wyjedzie, to już pani nie wróci.

- No to nawet jakbym miała nie wrócić, to mogę ci przysłać coś ładnego z Meksyku.

- Niczego nie chcę. Nie chcę, żeby się cokolwiek zmieniło. Ledwo się do pani przyzwyczaiłem, a pani mi mówi takie rzeczy! - zaprotestował bezsilnie mistrz.

Nie miał żadnego prawa tak mówić, wiedział to doskonale.

Ale i ona wiedziała o tym doskonale, wzruszyła ramionami i pozwała zebrać naczynia z opuszczonego stołu. A mistrz siorbnął małeńki łyk swojej kawy.

Ona już była w tej chwili tam, w Meksyku. Jadła meksykańskie potrawy, robiła swoją komórką zdjęcia meksykańskich krajobrazów, uczestniczyła w ludowych meksykańskich świętach, była bardziej tam niż tu, w Stylowej.

I żadne protesty mistrza nie mogły temu zapobiec.

Więc kiedy, leciutko obrażona, wróciła za bar, mistrz powiedział:

- Mezczał.

- Słucham?

- Taki alkohol, mezczał. Jeżeli już musi tam pani jechać, jeżeli musi mi pani coś podarować z Meksyku, to właśnie mezczał. To coś, czego normalni ludzie nie przełkną. Więc skoro tak ma się stać, skoro pani wyjedzie, to proszę koniecznie mi kupić mezczał. Tego właśnie potrzebuję najbardziej.

\*

Pierwszy mezczał w życiu wypił mistrz z Doktorem. Doktor tuż po upadku muru (był kiedyś taki mur, który upadł, działo się to za granicą) przymusił mistrza do spędzenia kilku dni w Berlinie. To były inne czasy, mistrz posiadał jeszcze wtedy paszport, wtedy jeszcze wydawało się wszystkim, że jest człowiekiem. Nawet on sam miał takie złudzenie.

Trochę marudził mistrz Doktorowi w tym Berlinie. Jęczał: „A po co my tu jesteśmy? Czemu to ma służyć? Nie lepiej byłoby w tym momencie siedzieć sobie gdzieś w ogródku w okolicach Rynku? Czy to naprawdę nie byłoby lepsze?”. Doktor tłumaczył mistrzowi, że różnice kulturowe mają swój urok, że wyjazd zagraniczny pozwala człowiekowi poszerzyć horyzonty i tak dalej, ale mistrz wcale tym razem nie wierzył Doktorowi. Ale do czasu.



Przyszli taki moment, że usiedli w jakimś eleganckim lokalu, patrzyli na tych Niemców i te Niemki, palili zagraniczne, niemieckie papierosy, czytali niemieckie menu. I nagle mistrz wrzasnął:

- Mezczał!

- No, mezczał - odpowiedział światowiec Doktor. - Co w tym dziwnego?

- Mezczał... - szepnął w zaskoczeniu mistrz. - Prawdziwy mezczał?

- Czemu nie? - odpowiedział Doktor pytaniem.

- Pięćdziesiątka za pięć marek?

- Czemu nie?

Mistrz znał dotychczas ten trunek wyłącznie z kultowej, magicznej książki „Pod wulkanem”, której to książki tenże alkohol był jednym z głównych bohaterów.

Doktor, owszem, również znał tę książkę, ale nie był aż tak sentymentalnym czytelnikiem jak mistrz. Byle co go nie wzruszało. Ale rozumiał wzruszenie kolegi, gdyż miał w sobie mnóstwo empatii. Jako lekarz i jako człowiek.

Bez mrugnięcia okiem zamówił drżącemu z podniecenia mistrzowi pięćdziesiątkę mezczału u kelnera o urodzie Nibelunga i za chwilę przed mistrzem stało to cudo w kieliszeczku.

- A jak mi nie będzie smakowało? A jak się zawiodę? - mruzczał do siebie mistrz, wpatrując się w kieliszeczek.

- No to chlup! - powiedział Doktor i delikatnie stuknął swoją szklanką z piwem w kieliszeczek mistrza. - Nie lękaj się.

Mistrz chlupnął.

Od tego czasu minęło sporo lat, mistrz z niejednego kieliszka pił już mezczał, ale tamto popołudnie stanęło mu w tej chwili przed oczami, poczuł ten smak, zobaczył Doktora, kompletnie żywego, kompletnie prawdziwego, Doktora w skali jeden do jeden.

Upił łyżeczek kawy.

Kawa smakowała jak mezczał.

Poczuł się dziwnie.

\*

- A w jednym lokalu gastronomicznym w karcie widziałem coś, co nazywało się żubrobull. Wie pani, co to było? Taki drink: żubrówka z red bullem. Zgroza! - opowiadał mistrz mezczałowym głosem.

Ale dziewczyna nie zdążyła w żaden sposób na tę opowieść zareagować.

- Czy mogę cię na chwilę poprosić? - głosem zza kotary, głosem wykluczającym możliwość odmowy odezwał się do dziewczyny człowiek, którego mistrz nie był w stanie zobaczyć. Nie dlatego, że za dużo wypił, ale dlatego, że człowiek ów stał za kotarą. Oczywiście, gdyby mistrz się skupił, to być może doszedłby do wniosku, że gdzieś już słyszał ten głos, ale mistrz najprawdopodobniej w ciągu swojego długiego życia słyszał głosy wszystkich mieszkańców tego kraju, tyle że niewiele z nich udało mu się zarejestrować w pamięci.

Człowiek ów miał głos groźny i nieprzystępny.

Wyglądało na to, że człowiekowi za kotarą się nie odmawia.

Dziewczyna zbladła i poszła.

Mistrz siedział nad stygnącą kawą i palił papierosa.

To umiał robić. To robił wyśmienicie. W każdej sytuacji.

Odwrócił się i zerknął na wnętrze lokalu. Ludzie spożywali, wchodzili, wychodzili, korzystali z toalety, mówili.

Nie za wielu tych ludzi.

Nigdy nie było tu zbyt wielu ludzi.

Miejscowość była wszak mała, lokalsów najczęściej nie było stać najadanie w restauracji, a przejezdni mieli tak blisko do Krakowa, że nie było sensu się tu już zatrzymywać na posiłek.

A jednak z tego, co mistrz wiedział, a i czego mógłby się domyślić, wnioskuje z niemodnego wystroju, Stylowa istniała od wielu lat.

I od wielu lat nic szczególnego zapewne się tutaj nie wydarzyło. A i wydarzyć nie mogło. Prawdziwe życie toczy się w miastach albo w ładnie położonych miejscowościach turystycznych, tam wydarzają się pasjonujące historie.

Mistrz ziewnął.

Zgramolił się ze stołka barowego i powłókł do toalety.

\*

- Uwaga, teraz będę starym, lekarskim zwyczajem sikał do umywalki! - oświadczył Doktor. - Ty, drogi mój małomówny przyjacielu, nie jesteś w stanie doświadczyć tej przyjemności, bo umywalka jest umieszczona za wysoko jak na twój nikczemny wzrost.

Mistrz nie odpowiedział Doktorowi, cały czas czując w ustach posmak mezcalu, uśmiechnął się smutno i zamknął w kabinie.

A tam, na wysokości oczu sikającego mistrza, widniał bardzo wyraźny, najprawdopodobniej świeży napis: ZABIĆ MORALES!

- O Jezu, a jak Morales pomyśli, że to ja napisałem? - zmartwił się mistrz.

Klamka kabiny mistrza poruszyła się, a Doktor powiedział głośno:

- Proszę nie wchodzić do tamtej kabiny! Tam mój małomówny kolega próbuje się uporać z bardzo poważnym problemem fizjologicznym. Proszę mu nie przeszkadzać!

Mistrz uporał się nad podziw szybko. Doprowadził się do względnego porządku i wyszedł z kabiny.

Przed lustrem stał pan Wiesław i szczotkował włosy wielką, kolorową szczotką.

\*

Morales śpi ciężkim snem sprawiedliwego.

Mistrz wychodzi z toalety.

Pan Wiesław nadal starannie szczotkuje swe włosy.

Pan Grzesio wpatruje się w ekran swojej komórki.

Pani barmanka z opuszczoną głową słucha słów swego przełożonego, właściciela Stylowej.

Pani ze sklepu stoi samotnie przed sklepem, pali papierosa, patrzy na wiatr.

Zwłoki w szopie znajdują się niewzruszenie w tej samej pozycji.

Doktora nie ma.

\*

Pan Grzesio, pod nieobecność pana Wiesława, sprawdził swoją komórkę i okazało się, że oprócz innych niezmiernie istotnych, lecz

nieodebranych w ostatniej godzinie połączeń, otrzymał również wiadomość głosową od żony.

Żona powiedziała, że skoro pan Grzesio nie odbiera, to niech się pierdoli.

I że się już nie odezwie.

I żeby nie oddzwaniał, bo będzie zajęta.

Prosty, mocny przekaz.

Pan Grzesio wysłuchał tej wiadomości trzykrotnie, próbując doszukać się w niej czegoś jeszcze, ale niczego więcej się nie doszukał.

No, dramat. Dramat w rodzinie. Wprawdzie pan Grzesio martwiłby się bardziej, gdyby tak brzydko odniósł się do niego teść, ale przecież żona pana Grzesia była córką ukochanego teścia pana Grzesia, więc to wydarzenie także nie było nazbyt wesołe.

Wobec tego posmutniał i postanowił napić się alkoholu. To mogło mu w tym momencie pomóc.

Stanął przy barze. Barmanki nie było. Czekał cierpliwie. Barmanki nie było. Zastukał pięcioletówką. Barmanka nie nadchodziła. Głośno powiedział: „Halo!”.

Żadnego efektu.

W tym momencie pojawił się człowiek, na którego mówią mistrz, spojrzął w stronę pana Grzesia, zawahał się i usiadł przy stoliku.

Pan Grzesio z satysfakcją zauważył, że stoi przy niedopitej kawie mistrza. Pewnie dlatego, że właśnie w tym miejscu stoi, tamten nie zdecydował się tu podejść.

Wreszcie pojawiła się barmanka. Nie wyglądała z tej odległości tak dobrze, jak wydawało się wcześniej panu Grzesiowi. Owszem, młoda, ale to była chyba jej jedyna zaleta. Żadnego makijażu. Brak ręki stylisty.

Spojrzała na pana Grzesia trochę nieobecny wzrokiem i zapytała:

- Co panu podać?

- Akceptujecie tu karty?

- Nie, nie mamy zezwolenia na hazard - złośliwie zażartowała dziewczyna.

Pan Grzesio westchnął, wyjął portfelik, pogrzebał w nim i wyjął jakieś tam pieniądze.

- Daj mi małe piwo - powiedział.

I dodał:

- Tego właśnie potrzebują prawdziwi mężczyźni. Małego piwa. I red bulla.

\*

Na stoliku ktoś pozostawił egzemplarz tygodnika „Wprost”. Mistrz z obrzydzeniem odsunął go na drugi koniec stołu.

- Jeszcze ktoś pomyśli, że czytam takie rzeczy... - wzdrygnął się.

Po namyśle jeszcze raz wziął do ręki ten egzemplarz i położył na wolnym krześle.

Potem wstał i podłożył owo nieszczęsne „Wprost” na inny stolik.

Odetchnął z ulgą. Jego stolik był już w tym momencie nieskazitelny.

Uśmiechnął się do pani za barem, ona pomachała mu i po chwili podeszła. W dłoni trzymała kartkę.

- Czytaj - powiedziała i podała ją mistrzowi. - Coś zupełnie nowego! Mam to powiesić na drzwiach. Szef kazał.

- Czy ja widziałem kiedyś tego pani szefa, bo nie mogę sobie przypomnieć?

- Bo Przemek taki jest, prawie niewidzialny. Pojawia się tutaj bardzo rzadko, tylko w ważnych dla Stylowej momentach. Zazwyczaj siedzi w Krakowie. O, widzisz! Mógłbyś z nim kiedyś porozmawiać o Doktorze, bo się znali. Ale on nie lubi o nim rozmawiać.

- To może teraz, skoro już tu jest... - zaczął mistrz.

- Teraz lepiej nie, jest strasznie wkurwiony i nie wyjdzie zza kotary. Zresztą mówił, że za chwilę wsiada do swojego auta i jedzie do Krakowa. Wpadł tu tylko na chwilę. Czytaj kartkę, bo to są dopiero prawdziwe jaja.

Tekst był następujący:

„SZANOWNI KLIENCI NASZEGO LOKALU! Z ŻALEM MUSIMY OŚWIADCZYĆ, ŻE RESTAURACJA STYŁOWA W OSTATNIM DNIU TEGO MIESIĄCA KOŃCZY SWOJĄ WIELOLETNIĄ DZIAŁALNOŚĆ. NASTAŁY NOWE CZASY, CORAZ TRUDNIEJ BYŁO UTRZYMAĆ SIĘ NAM NA RYNKU GASTRONOMICZNYM, TOTEŻ ZDECYDOWALIŚMY, ŻE DALSZE ŚWIADCZENIE USŁUG LUDNOŚCI NIE JEST MOŻLIWE. DLATEGO TEŻ PRZYSTALIŚMY NA OFERTĘ NASZYCH CHIŃSKICH PRZYJACIÓŁ, KTÓRZY ZAPROPONOWALI NAM STWORZENIE W TYM MIEJSCU CHIŃSKIEGO MARKETU, KTÓRY ZAPEWNI WAM DOSTĘP DO WIELU DÓBR ODŻYŻOWYCH, SPOŻYWCZYCH, KOSMETYCZNYCH ORAZ AGD PO BARDZO PRZYSTĘPNYCH

CENACH. Z CAŁEGO SERCA POLECAJĄC USŁUGI CHIŃSKIEGO MARKETU ŻEGNAMY SIĘ Z WAMI, NASI MILI, WIELOLETNI KLIENCI, I DZIĘKUJEMY ZA WSPÓLNIE SPĘDZONE LATA. DYREKCJA I PERSONEL”.

- No pięknie - powiedział mistrz.

- I jak tu nie wyjechać do Meksyku? - zapytała dziewczyna. - A Doktor już dawno tu przewidział. Mówił mi, że Chińczyki tu do nas przyjdą i wszystko nam zabiorą. Ja to traktowałam jak typowe żarty Doktora. A tu - proszę bardzo! I jak tu nie wyjechać do Meksyku?

- No pięknie - powiedział mistrz. - Pięknie, pięknie. Chińczyki trzymają się mocno.

- Pójdę to powiesić - westchnęła i wyszła na wiatr.

\*

Mistrz zniecka postanowił wrócić do Krakowa.

Mierzył go już ten dzień, niczego nowego się nie dowiedział o Doktorze i mimo że tamten z odległej oddali domagał się pomszczenia swej śmierci i wyrównania krzywd, to mistrz nie czuł się najlepiej, nie był w tym momencie w stanie stanąć przeciwko złym mocom z podniesionym czołem, nie był w stanie uczynić niczego, nawet pić już nie mógł.

- To ciśnienie - pocieszał się. - To ciśnienie jest powodem mojej słabości. I ten wiatr. Nie mogę myśleć logicznie, kiedy tak wieje...

Doktor naturalnie powiedziałby, że to wina alkoholu chlupoczącego w trzewiach mistrza, ale Doktor wszystkie dolegliwości mistrza wszak w ten sposób tłumaczył. Ale to nie tylko alkohol, pocieszał się mistrz, nie tylko alkohol.

Wstał i wyszedł. Przy drzwiach, na wietrze, marszcząc zabawnie czoło, dziewczyna starannie przyklejała kartkę z obwieszczeniem.

- A dokąd to?

- A nic tu po mnie. Pojadę do mojej suki, pójdziemy spacerować. Nic tu po mnie, proszę pani - oświadczył.

- Wróć. Proszę cię, wróć jeszcze dzisiaj - powiedziała i zabrzmiało to nieoczekiwanie czule, nikt od dawna tak czule nie prosił o nic mistrza, nikt absolutnie nie przejawiał wobec mistrza żadnej czułości od dawna. Prócz suki, ma się rozumieć. Ale to inna sprawa. Nie odpowiedział.

Chrząknął i poszedł. W wielki wiatr. A wiatr wiał, brzmiał grobowo.

\*

Pani w sklepie spożywczym odłożyła książkę o śledztwie prowadzonym przez pannę Marple, wstała i ustawiła na półce kilka pudełek z czekoladkami, czekoladkami szalenie oryginalnymi, na pudełkach bowiem widniał słodki obrazek przedstawiający pызatego, rozmodlonego chłopczyka w komunijnym ubranku i napis: „Pamiętka Pierwszej Komunii Świętej”. Do okresu komunijnego było jeszcze daleko, ale już teraz przewidujący i sprytny producent wpuścił do obiegu te cudenka.

Zachichotała.

- O, jak ten miły pan, który codziennie przyjeżdża z Krakowa, tu jeszcze zajrzy, to mu pokażę te pudełka. A jeszcze pokażę mu to opakowanie z jakimś spożywczym świństwem, na którym napisano: „Promocja. Dołącz do przygodożerców i zgarnij wypas nagrody”. On to doceni. Nikt w tej okolicy by się nie uśmieiał z tych opakowań. Tylko on. Jak to jest? Dlaczego jakiś przyjezdny śmieje się z tych samych rzeczy co ja? A mój syn i moi sąsiedzi w ogóle? Czy oni kiedykolwiek się śmieją? No, śmieją się. Jak ktoś się przewróci albo z głupkowatych kabaretów w telewizji, albo co. Mój mąż nieboszczyk też się za młodu śmiał, ale potem mu to minęło...

Zerknęła przez okno, na zewnątrz pusto. Kury i wiatr. Powróciła do książki.

\*

Mistrz jednak nie pośmiał się z panią ze sklepu spożywczego. Albowiem nie zajrzał do sklepu spożywczego. Miał taki zamiar, ale kiedy zbliżał się do przystanku, znienacka pojawił się busik z napisem: KRAKÓW, mistrz wskoczył do niego i odjechał, niezauważony przez nikogo.

- Jałowe dni - myślał, siedząc na siedzeniu przy kierowcy, gdyż inne siedzenia były już zajęte. - Jałowe dni. Gadałem i gadałem ze wszystkimi chyba mieszkańcami o Doktorze, niektórzy go pamiętali, niektórzy wcale. Jedyna rzecz, jaką mogli powiedzieć, było to, że,

owszem, przyjeżdżał tutaj do swojego letniego domku, owszem, czasem pogadał, po-żartował. Ale żadnych konkretów. W powieściach kryminalnych w pewnym momencie musi się pojawić jakiś trop, jakiś podejrzany. A tu nic. Głucho, jałowo. Właściwie to tak naprawdę tylko dziewczyna ze Styłowej się z nim zadawała. Ale ona chyba już powiedziała wiele razy wszystko, co o nim wiedziała. Jej się nie da podejrzewać o otrucie Doktora. Ona go chyba, hm, kochała. Być może zabójca, o ile istniał jakiś zabójca, truciciel, był nie stąd, był z Krakowa - kombinował mistrz. -Ale jak w takim wielkim mieście znaleźć tego człowieka? O wiele łatwiej by było mieć na przykład jedenastu miejscowych podejrzanych i posługując się logiką i intuicją, wskazać mordercę. Atu nic. Naprawdę, żadna z osób tu mieszkających, na tym przedmieściu, nie miała motywu, żeby zrobić krzywdę Doktorowi. Tu nie ma takich ludzi. Poznałem ich chyba wszystkich. Jeśli nie w Styłowej, to w sklepie. Nie licząc kilku zahakanych babin, z którymi wprawdzie nie rozmawiałem, ale wstyd by je było podejrzewać. Aż tak podejrzliwy to ja nie jestem. Bo niby kto miał zabić Doktora? Morales? Pan Wiesio? Głupie żarty. Nikt tu nie jest podejrzany. Zło jest w mieście. Tutaj jest jałowo. Ani źle, ani dobrze. Nijak. Tu już niczego nowego się nie dowiem. Bo tu już nie ma nic.

Mistrz jechał i trzeźwił.

Przed suką stanął już zupełnie trzeźwy.

\*

Zanim wszedł do środka, zanim przekręcił klucz w zamku, już usłyszał dochodzący z przedpokoju chrobot jej łap.

Otworzył. Była tuż za drzwiami. Podskoczyła i oparła się o niego łapami, usiłując go pocałować.

- No i co? Co robiłaś? Spałaś? Patrzyłaś przez okno? - zapytał, a ona mu na swój suczy sposób odpowiedziała.

Pokazał jej obrożę ze smyczą.

- Spacererek?

Przytaknęła na swój, znany dobrze właścicielom bokserów, sposób.

Poszli Sienną.

Na Siennej wiało jakby mniej.

W ogóle w mieście mniej wiało.



Na którejś z mijanych przez mistrza rynien wisiała karteczka: CHŁOPCA NA KEBAB PRZYJMĘ. Mistrz zarechotał, wyobraziwszy sobie owego chłopca.

Taż sama ulica Sienna wślawiła się w pamięci mistrza tym, że kilka lat temu, dzień-dwa po śmierci Papieża, znajdujące się na wystawie sklepu z kosmetykami zdjęcie ślicznie uczesanej i wykosmetyczonej pani przecinała czarna żałobna wstążka.

Mistrz pomyślał sobie, czy aby nie zaszałec i nie kupić sobie pierogów na wynos w jadłodajni pani Kwaśniewskiej. Ale zrezygnował. Jeszcze nie dojrzał do spożywania posiłków. Przeszedł mimo. Obecność tej jadłodajni na ulicy Siennej wzruszała go niezmiernie. Była tu odkąd pamiętał. To, obok Wawelu i Sukiennic, i jeszcze kilku innych miejsc, był dowód, że niektóre wartości pozostają. A nie wszystkim wartościom było to dane. Póki jadłodajnia pani Kwaśniewskiej istnieje, świat ma jeszcze sens, pomyślał sobie mistrz.

Na tejże Siennej przed laty wieloma znajdowała się uroczą kawiarnia Fafik, gdzie mistrz wypijał pierwsze w swoim życiu kawy i alkohole, gdzie przeżywał pierwsze uniesienia miłosne i gdzie pierwsze poważne prowadził rozmowy. Ale to było miliony lat temu.

W tej chwili mistrz nie był pewien, w którym miejscu była ta kawiarnia. Albo tu, gdzie ten sklep. Albo tu. Trudno rozpoznać. Mistrz był już żywym trupem, jego przeszłość nie obchodziła nikogo, jego przeszłość nie miała żadnego znaczenia. Prawie wszystko się zmieniło, prawie wszystko przebudowane zostało, odmienione bezpowrotnie. Bezpowrotnie zmarnowane.

Suka szła ulicą Sienną bardzo grzecznie, szczęśliwa, że oto jej pan się pojawił i idą oto na Planty.

Przebili się przez gapowate, rozdziawione wycieczki, zagraniczne i krajowe, i wylądowali na trawniku.

Sikanie jest ważne.

Robienie kupy jest ważne.

Deszcz ze śniegiem.

I pomyślał sobie mistrz:

- Gdyby nie to wychodzenie z suką na spacer, mój pobyt tutaj byłby całkowicie zmarnowany. Tylko to ma sens. Tylko to. Oczywiście, gdybym wyjaśnił sobie i światu, czemu Doktor umarł, wszystko miałoby jeszcze trochę więcej sensu. Ale nie zanoszi się. Już na

nic się nie zanosì.

Odbyli rytuał.

W pewnym momencie mistrz zauważył kogoś.

Jakby znajomego trochę.

Ten ktoś stał i patrzył z wielkim napięciem, tak jakby oczekiwał, że mistrz mu się ukloni. Był ubrany w czerń, ale czerń elegancką, nie do porównania ze spraną, poszarzałą czernią mistrza.

Czekał wyraźnie na to, że mistrz mu się ukloni.

Lecz mistrz, na wszelki wypadek, nie uklonił się.

Człowiek jednak podszedł do mistrza i powiedział: „dzień dobry”, tak ludzie robią, kiedy się spotykają, tak jest tu, na Ziemi, przyjęte.

Mistrz mruknął coś w odpowiedzi, suka kilka razy poruszyła kikutem ogona, człowiek przyjrzał się twarzy mistrza z bliska i powiedział:

- Aha, nie pomyliłem się. To pan.

- To nie ja - powiedział mistrz.

- To pan, to pan. Musimy porozmawiać. O Doktorze. Odprowadzi pan pieska i przyjdzie tutaj, za róg, do tej knajpy o bardzo długiej nazwie na Stolarskiej.

Mistrz mruknął coś. Nie podobał mu się ten człowiek. Nie podobał mu się ten głos. Kojarzył mu się z czymś bardzo przykrym. Ale nie miał ochoty zastanawiać się, z czym.

Mruknął raz jeszcze, ni to potakując, ni to zaprzeczając, i odszedł.

\*

Czternasta pięćdziesiąt.

- Dlaczego z nim w ogóle gadasz? I o czym ty z nim gadasz? - molestował dziewczynę stojącą za barem pan Wiesław.

- O Doktorze.

- Ach, o tym... - zachnął się pan Wiesław.

To lekceważenie było udawane. W rzeczywistości pan Wiesław był bardzo uważnym obserwatorem związku dziewczyny z Doktorzem, bardzo uważnym. Ale to się przecież już definitywnie skończyło!

Pan Wiesław nie był psem na kobiety. To fakt. Ale to, że miejscowa dziewczyna zadawała się z jakimś typem z miasta, nie podobało mu się bardzo.

Doktor był typem może i elegancko, ale za to staroświecko ubranym, to także odrzucało pana Wiesława.

Doktor był również typem, który kilka razy postponował, można nawet powiedzieć: brutalnie obśmiewał, w obecności pana Wiesława, jego ukochane przejawy kultury alternatywnej. A to przekreślało go w oczach pana Wiesława całkowicie.

Tenże typ wręcz ośmielił się skrytykować boga pana Wiesława, czyli zagranicznego myśliciela Žižka, a także niepochlebnie wyrażał się o Derridzie, a za to naprawdę należał się wyrok śmierci.

Oj, dobrze, że to się skończyło tak, jak się skończyło.

Prawdę mówiąc, to tylko pan Wiesław i dziewczyna byli młodymi mieszkańcami w tej okolicy. Żadnej innej młodzieży. Żadnych zasmarkanych dzieciaków. Reszta stałych mieszkańców to ludzie raczej w podeszłym wieku. Wszyscy inni wynieśli się do miasta. Albo jeszcze dalej.

Nic dziwnego, że pan Wiesław czuł się odpowiedzialny za dziewczynę, jedyną prócz niego przedstawicielkę pokolenia Jana Pawła II w okolicy. No, była jeszcze zmienniczka barmanki, Jola, ale Jola zupełnie nie rozumiała pana Wiesława. Więc nie mogła być z jego pokolenia.

- Red buli. I bro. I do tego jeszcze jeden mały bro, kochana - zamówił pan Wiesław, barmanka naląła, a on zaniósł zamówione napoje panu Grzesiowi, który zaczytał się w znalezionym przed chwilą egzemplarzu tygodnika „Wprost”.

Trochę przygnębiony był pan Grzesio, a trochę rozbawiony. Walczyły w nim te dwa stany. Nie chciał tutaj zostawać, a jednocześnie nie chciał wracać. Jakiś taki marudny się zrobił.

Odłożył gazetę i zaczął mówić do pana Wiesława.

- Wiesz, Czeczenia, Irak, Afganistan - to już nie są dobre tematy dla naszych reporterów. Trochę się zbanalizowały. Nie wiem co teraz, może Gruzja, może Tybet? Ten cudowny, męczeński, pełen tajemnic Tybet i jego odwieczna walka z chińskim najeźdźcą? A może wręcz przeciwnie: skupić się na tym, co tu i teraz? Rzucić nowe światło na sprawę Ketmana, ujawnić wszystkich agentów, niech nie czują się bezkarni...

Zadzwońska komórka.

Pan Grzesio sprawdził: dzwonił Piotruś. Serdeczny kolega z konkurencyjnej stacji telewizyjnej. Telefon od Piotrusia nie był czymś niebezpiecznym, na pewno.

- Halo... - pan Grzesio zamruczał do telefonu zmysłowo, wiedząc, że zawsze rozśmiesza tym Piotrusia.

- Gdzie ty jesteś? - Piotruś coś przeżuwał, było to bardzo wyraźne, głośne przeżuwanie.

- Nie je się przy mówieniu! - skarcił Piotrusia pan Grzesio.

- A kiedy mam jeść? Teraz mam krótką przerwę. Strasznie jest dużo dzisiaj roboty, robimy z Juleczką Dobrowolską bardzo mocny projekt o ohydnych mordercach tego słodkiego niedźwiadka w Tatrach, taki ekologiczny program, ale z wątkiem kryminalnym, to ludzi kręci, wiesz... Widziałem tu kilku od was, ale ciebie nie było. Co jest? Gdzie jesteś?

- W dupie - zażartował finezyjnie pan Grzesio. Z Piotrusiem znali się od przedszkola, więc mógł sobie spokojnie pozwolić na takie abstrakcyjne żarty.

- W dupie?

- Dokładnie tak.

- Coś ty taki tajemniczy?

- Dokładnie tak. Tajemniczy.

- Słyszę, że pijesz. Wyraźnie słyszę - domyślił się Piotruś.

- A ja słyszę, że jesz. W czasie tej rozmowy zjadłeś już przynajmniej dwie kanapki.

- Mhh... Ale gdzie jesteś? Mam sprawę do ciebie. Ale nie na telefon.

- W dupie. Już mówiłem. Jestem w dupie, najdroższy.

Pan Wiesław spojrział z niepokojem na pana Grzesia.

Dlaczego pan Grzesio tak brzydko, a zarazem czule, mówi? I z kim rozmawia aż tak poufale?

Pan Wiesław już tak bardzo zaakceptował i polubił pana Grzesia, że nie mógł znieść tych czułości wypowiedzianych przez niego do jakiegoś innego człowieka.

Zrobiło mu się przykro.

Poróżował i odął się.

Nie mógł ścierpieć tej rozmowy, nie mógł ścierpieć tonu, jakim mówił pan Grzesio. Zachowywał się jak jakaś przegięta ciotonda. To było naprawdę niewybaczalne!

Wstał i wyszedł na zewnątrz.

Pan Grzesio długo jeszcze rozmawiał z panem Piotrusiem, a w tym czasie okrutny pan Wiesław wieszał na drzwiczkach samochodu

pana Grzesia karteczkę o treści: UWAŻAJ SŁONKO! W TYM AUCIE JEST BOMBA!

Gdyby uważnie słuchał nauk swojego ojca, mechanika samochodowego, prawdopodobnie nawet umiałby zepsuć podstępnie i mściwie to auto, ale nigdy nie słuchał ojca.

Nie nauczył się od ojca naprawiania aut, nie nauczył się nawet ich psucia.

Ale karteczka wystarczy na pewno, by zdenerwować pana Grzesia.

A niczego tak doskonale nie potrafił pan Wiesław, jak zepsuć ludziom dobry nastrój. Nic nie przynosiło mu tyle satysfakcji.

Był wszak postmodernista.

\*

Na kilka minut przed godziną piętnastą mistrz stał z suką przed lokalem Dym na ulicy Świętego Tomasza.

Usiłował zajrzeć przez szybę i zobaczyć, czy nie ma wewnątrz kogoś znajomego. Ale bezskutecznie.

Może i niektóre twarze wydawały się znajome, ale byli to wyłącznie ludzie, których po prostu od lat widywał mistrz na mieście. Z żadnym z nich nigdy najprawdopodobniej nie zamienił ani słowa. Do nikogo nie dałoby się przysiąc bez zbędnego gadania. Nikt z nich nie zrobiłby miejsca dla mistrza przy swoim stoliku.

A tym razem bardzo nie chciał mistrz siedzieć sam.

Już się nasiedział samotnie, pora teraz nadeszła taka, że dobrze by było usiąść z kimś.

Starł palcem literkę „S” z napisanego kredą na tabliczce ogłoszenia: SELF SERVICE i poszedł dalej.

A już na ulicy Świętego Jana posypały się uderzenia.

Jedno uderzenie w plecy mistrza.

Drugie w głowę.

Trzecie w brzuch.

Trzy uderzenia.

A potem naturalnie hejnał.

## rozdział czwarty

Szedł mistrz z suką i wspominał.

Jeszcze kilka lat temu można było w Dymie spotkać niezmiennie elegancko ubranego Profesora Jerzego Skarzyńskiego nad kieliszeczkiem alkoholu, z mentolowym papierosem w dłoni. Można było zapytać, czy wolno się przysiąść, otrzymać zgodę, usiąść, pogawędzić. Poobcować. Napić się spokojnej, kulturalnej wódki. Porozmawiać o rzeczach ponadczasowych: czarnych powieściach kryminalnych, muzyce, filmach, obrazach oraz mądrych i pięknych kobietach.

Profesor był przedstawicielem świata, który odszedł. Ten świat odszedł, a Profesor odszedł chwilę potem. Za swoim światem odszedł.

Natomiast Doktor był przedstawicielem obecnego świata. Odszedł, zanim jego świat przeminął. Odszedł w połowie zdania.

Życzliwą obecność Profesora w tej okolicy czuł mistrz jeszcze wiele razy po jego śmierci. Ale tego dnia nie było ani odrobiny emanacji Profesora.

Tego dnia wiał wielki, zimny wiatr. Tego dnia najsilniej emanował Doktor. I nieoczekiwanie nie była to życzliwa emanacja. Była to emanacja niecierpliwa, rozdrażniona, zła.

Mistrz przespacerował się z suką ulicą Świętego Jana. To tutaj była kultowa i magiczna knajpa Biuro. To było jeszcze za czasów Doktora, Manga Głowackiego i niejakiej Ćmy, kobiety upadłej, która wyjechała bezpowrotnie w wielki świat, zaginęła w nim tak bardzo, że aż wydaje się, że nigdy nie było żadnej Ćmy. Sama tego chciała. Nie podobało jej się uczestniczenie w tej historii, więc została z niej na własne życzenie wymazana. Jej problem. Pies z nią tańczył.

Tu było miejsce, w którym mistrz zakończył, zamknął definitywnie swoją młodość. Koniec z młodością, koniec z Mangiem

Głowackim, koniec z wieloma innymi koleżankami i kolegami, koniec z Doktorem. Wszystko umarło.

Mistrz spojrział w tamtą stronę. Teraz to są już tylko zabite dechami drzwi. A za zabitymi dechami drzwiami kłębiące się zmory. I nic prócz zmór.

\*

W jednej starej książce znaleźć można takie znamienne zdania:

„Nie potrafiłem nigdy w moich wędrówkach oderwać się od śródmieścia. Wszystkie preteksty znajdowałem w zasięgu okalających je bulwarów. Dziś też nie odważyłem się na naruszenie tego mojego zwyczaju. Ale główne ulice męczyły mnie gwarem i tłokiem”.

Mistrz przypomniał sobie ten cytat już po przyprowadzeniu suki do domu. Te kiedyś przeczytane zdania przychodzą nagle, w nieoczekiwanych momentach.

Wykonał wszelkie czynności, które winno się czynić po powrocie z suką do domu. Czyli: zdjął jej obrożę, nasypał suchej karmy do miski, dolał wody do drugiej miski.

Usiadł i zapalił.

Najpierw wsłuchał się w gruchot pożeranego pokarmu dobiegający z kuchni.

Potem włączył sobie płytę.

Czarną, trochę trzeszczącą płytę.

Bas, perkusja, gitara, ciemny wokal.

Trzy akordy. Darcie mordy. Jonathan Richman z zespołem Modern Lovers. Piosenka nazywała się paradoksalnie „I'm Straight”. A niby czemu nie?

Siedział i głąskał okładkę płyty.

Jonathan Richman potrafił zrymować słowo „Picasso” z „asshole”. Cudnie.

Czegoś mistrzowi jednak jeszcze brakowało do pełnego szczęścia. Co to mogłoby być?

Alkohol.

Wypił już tego dnia sporo. Ale minął jakiś czas i organizm mistrza powiedział znowu: „alkohol, alkohol, koniecznie”.

To nudne.

Stanął przy otwartym oknie. Wiatr wiał gdzie indziej.

- Czego bym tak naprawdę chciał? Czego bym chciał, żeby się wreszcie uspokoić? Może wcale żadnego alkoholu mi nie potrzeba, wiele razy już podkreślałem, że to wcale nie jest historia o alkoholu. Może wystarczyłoby udać się tam, gdzie jest większy spokój, niekoniecznie trzeba jechać aż do Mistrzejowic, to nazbyt wielka, nazbyt wyczerpująca była by wyprawa, może wystarczyłoby pójść na Kazimierz, na ulicę Podbrzezie, do sklepu z płytami nazywającego się High Fidelity? Ten sklep jeszcze istnieje, jeszcze nie zniknął, zniknął za to lokal obok, nazywający się Ósmy Dzień Tygodnia. Był i nie ma. Pójść więc do High Fidelity, usiąść sobie z którymś z właścicieli i włączyć jakiegoś analogę, i pogawędzić o jakimś dawno już rozwiązanym, przez mało kogo pamiętanym zespole. I stanąć w otwartych drzwiach, i zapalić papierosa z którymś z właścicieli? Może tego potrzebuję?

Ale mistrz nagle pojął, że nawet na Kazimierz było tego dnia upiornie daleko. I wiatr wiał przejmująco.

Więc nie, nie na Kazimierz.

Kto wie, być może nawet dzielnica Kazimierz przestała istnieć tego dnia, może nigdy takiej dzielnicy Krakowa nie było? Wszystko jest możliwe. Więc na pewno nie na Kazimierz.

- Zanim przejdziemy do bazyliki Mariackiej i zobaczycie najpiękniejszy ołtarz na świecie dłuta niezapomnianego mistrza Wita Stwosza, opowiem wam jeszcze o Małym Rynku - mówiła bardzo donośnym głosem pani przewodniczka do wycieczki dziecięcej. - Otóż powiem wam, co tu się, na Małym Rynku, znajdowało przed wiekami. Otóż znajdował się tu targ. Targ mięsny i rybny. Wyobraźcie sobie, jak tu musiało latem śmierdzieć!

Dzieci zarechotały i pozatykały sobie swoje dziecięce nosy.

Hałas za oknem był przeraźliwy.

W bramie łączącej Mały Rynek z placem Mariackim siedział człowiek z gitarą i wył, że kocha mistrza jak Irlandię. Dwóch meneli tańczyło przy nim wymyślny, menelski taniec.

Wycie pana z gitarą mieszało się z odgłosami wydawanymi przez kobiece trio smyczkowe, które, siedząc na jednej z ławek Małego Rynku, grało repertuar klasyczny połączony z tangami i pieśniami popularnymi. Mistrz znał tych wszystkich grajków znakomicie.



Wiedział, że nadejdzie przeraźliwy moment, kiedy jedna z dziewcząt z trisa denerwującym, afektowanym głosem odśpiewa piosenkę „Stand by Me” i będzie to apogeum. Zawsze, kiedy to śpiewała, pojawiała się u mistrza chęć natychmiastowej panicznej ucieczki. Choćby w niebyt.

Odszedł od okna. Pogłodził muzykę.

Stał na krześle, pogrzebał w walizce leżącej na szafie, miał tam wiele przeróżnych przedmiotów, a przede wszystkim stare papiery, jakieś listy, jakieś kserograficzne odbitki dokumentów, kiedyś bardzo interesował się takim krakowskim mordercą sprzed wielu lat, Karolem Kotem, podniósł teczkę z papierami właśnie z tą postacią związanymi, spod niej wyjął plik zdjęć.

Były najczęściej białoczarne, przeszłość niemal wyłącznie była białoczarna, lecz to wcale nie znaczy, że niewesoła. Wszyscy na zdjęciach byli młodzi, nawet mistrz.

Na kilku fotografiach odnalazł młodego Doktora. Doktor uśmiechający się ironicznie z butelką w dłoni. Doktor z gitarą. Doktor lepiący bałwanka. Doktor z którąś dziewczyną, którą? Doktor robiący rogi z palców za głową mistrza.

Ciekawe, że wszystkie zdjęcia były bardzo stare, sprzed wielu lat. Potem już nikt nie robił zwyczajnych zdjęć na papierze. Potem zdjęcia znalazły się w komputerach. Potem nikt żadnych zdjęć mistrzowi nie dawał. Nie było sensu, nie było potrzeby, nie było możliwości.

Mistrz popatrzył sobie na młodego, wesołego mistrza stojącego w oknie. To zdjęcie zrobione było jeszcze w starym mieszkaniu. W mieszkaniu, którego nie ma.

Popatrzył na inną fotografię, przedstawiającą młodego, wesołego Doktora. O, nawet jedno zdjęcie młodego, wesołego Manga Głowackiego się uchowało. Jeszcze z włosami. O, a tu nawet legendarna Ćma ubrana na czarno, z oczami wymalowanymi jeszcze bardziej niż Ewa Demarczyk.

Postawił sobie mistrz kilka pytań faustycznych i kilka dorianogrejowych. Tak się przejął, że aż zapalił papierosa. Jedyne lekarstwo na takie przejęcie.

Och, jest jeszcze drugie: alkohol, przypomniał sobie.

Przypomniał sobie, że tamten obcy, a jakby trochę znajomy człowiek mówił, że chce rozmawiać o Doktorze.

Przypomniał sobie, że tamten obcy, a jakby trochę znajomy człowiek powiedział, że będzie na niego czekać na Stolarskiej, w lokalu, który nazywał się Pierwszy lokal na Stolarskiej po lewej idąc od Małego Rynku, albo coś w tym stylu, nikt nie umiał tego spamiętać.

Mistrz i jego nieliczni znajomi mawiali na ten lokal o aż tak bardzo długiej i zawilej nazwie po prostu: u Księdza.

Właścicielem kawiarni był były dominikanin, stąd wziął się kryptonim tego miejsca.

Tak, u Księdza dawało się usiedzieć. Nie było tam najgorzej.

Muzyka nieinwazyjna.

Nieinwazyjna obsługa.

Alkohol.

Mistrz nie był do końca przekonany, czy chciałby jeszcze dziś rozmawiać o Doktorze, zwłaszcza z kimś, kto nie przypadł mu jakoś szczególnie do gustu.

Ale alkohol.

Ale prywatne śledztwo w sprawie śmierci Doktora.

Ale alkohol.

Jest pretekst.

Mistrz nie umiał pić bez pretekstu.

Myślał sobie zazwyczaj: „Skoro nie umiem pić bez pretekstu, to jeszcze nie jest tak źle”.

Myślał sobie zazwyczaj: „Skoro jeszcze nie jest tak źle, to mogę się napić”.

- Mogę się napić? - zapytał śpiącą już po obiedzie, zwiniętą w kłębek na tapczanie sukę.

Mruknęła coś przez sen.

Mistrz zinterpretował sobie to mruknięcie jako mruknięcie pozytywne i wyszedł.

\*

Pan Grzesio odważył się złożyć zamówienie. Trochę jednak zgłodniał. Tyle emocji. Tyle wrażeń.

- Menu - powiedział do dziewczyny.

- Życzy pan sobie jadłospis? - zapytała dziewczyna.

- Życzę sobie - odpowiedział pan Grzesio.

Otrzymał to, czego sobie życzył, i pilnie zgłębił treść zawartą na kilku stronicach.

Po dłuższej chwili milczenia, które musiało zapanować, albowiem pan Wiesław z szacunku dla skupienia pana Grzesia wyjątkowo nie zabierał głosu, pan Grzesio przywołał ponownie dziewczynę i stukając palcem w pozycję „Rosół z kury”, zadał pytanie:

- Jaka to kura?
- Zwyczajna.
- Jak to „zwyczajna”?
- No, drób.
- Gdzie kupiona?
- Nie wiem.
- Jak to „nie wiem”?
- Nie wiem. Jak pan sobie życzy, pójde zapytać panią z kuchni.
- Życzę sobie. A może ja lepiej pójde i zapytam.
- Klientom, bardzo pana przepraszam, wstęp do kuchni jest wzbroniony.

- W eleganckich restauracjach konsument może uczestniczyć w całym żmudnym procesie powstawania dania. Wiem, że nie jest to elegancka restauracja, ale chciałbym się dowiedzieć, co to za kura. Mam do tego pełne prawo. Czy wy nie macie świadomości, że ptasia grypa nadal szaleje? Tu nie ma żadnych żartów! Proszę zawołać tę kucharkę!

Dziewczyna westchnęła i poszła na zaplecze.

Pan Grzesio czekał w milczeniu, posępnie stukając palcem w menu.

Pan Wiesław trwał w niemym zachwycie.

- Bardzo męski, nieprzejednany typ z tego pana Grzesia! - stwierdził z podziwem. - Jak mogłem wcześniej tak brzydko o nim pomyśleć?

Dziewczyna wróciła, ale bez kucharki.

- Kucharka teraz nie może do pana wyjść. Ma tłuszcz na patelni. Ale prosiła, żeby przekazać, że kura jest tutejsza. Nie ze sklepu. Tutaj u nas jedna pani hoduje kury i czasem je nam dostarcza. A w okolicy nie było żadnych przypadków ptasiej grypy.

- Hm... - mruknął pan Grzesio. - To nie tylko oczywiście o ptasią grypę chodzi, tu chodzi o wiele różnych aspektów tej sprawy. A czy jadłaś ten rosół?

- Chyba jadłam... - widać było, że dziewczyna zaczęła tracić cierpliwość.

Za chwilę mogły się jej przytrafić dwie rzeczy - albo wybuch śmiechu, albo płaczu. Dziewczyna stała na granicy pomiędzy tymi dwoma stanami.

- Czy jest bardzo tłusty?

- Raczej nie - stan dziewczyny pogarszał się, ale pan Grzesio tego nie odczuwał. Patrzył na nią surowo.

- A makaron?

- Jest makaron.

- Jaki?

- Pójść zapytać?

- Tak.

Dziewczyna wyszła. Nie wracała długo.

W końcu pojawiła się z radosną informacją, że makaron jest osobiście, ekologicznie robiony przez kucharkę.

- Dobrze - powiedział pan Grzesio i zadygotał. ~ Dobrze, zaryzykuję. Tylko, błagam, żadnego koperku. Jestem uczulony na koperkę, nienawidzę koperku, brzydzę się koperkiem!

Dziewczyna poczerwieniała, nie odpowiedziała ani słowa, kiwnęła głową i pobiegła do kuchni.

- Ja bym na twoim miejscu naplula mu do rosolu - powiedziała kucharka, kiedy usłyszała całą historię tego zamówienia.

\*

- A byłeś ty kiedy w darkroomie? - zapytał pan Wiesław pana Grzesia, kiedy ten już skończył spożywać rosół z kury, bez koperku.

Pan Grzesio otarł serwetką z lekka zatłuszczone usta i odpowiedział półgębkiem, nie za bardzo wiedząc, o co panu Wiesławowi w tym momencie chodzi:

- Hm...

To „hm...” zabrzmiało raczej potwierdzająco niż przecząco. Pan Wiesław łypnął uważnie oczkiem na rozmówcę. No, ciekawe, ciekawe. Niby wygląda na heteryka, a tu, proszę bardzo, takie doświadczenie!

Wielkim marzeniem pana Wiesława było pójście do jakiegokolwiek lokalu gejowskiego, choćby najmniejszego, choćby najskromniejszego, naczytał się o tym, marzył o pójściu do Ciemni albo Cocona, ale niestety, nie miał śmiałości.

Jeszcze raz z podziwem spojrzął na pana Grzesia, mężczyznę światowego. I trochę pożałował, że aż tak okrutnie sobie z niego zażartował. Ale stało się. Trudno.

- Wiesz, pora na mnie. - Po chwili niezręcznego milczenia pan Grzesio wstał, ubrał się, schował do kieszeni płaszczyka komórkę. - Dzwonią i dzwonią z pracy, trzeba wracać. Bardzo miło się rozmawiało, jak będziecie w mieście, to tyrknij.

- W weekend będę na sto procent - powiedział pan Wiesław i podał mokrą łapkę panu Grzesiowi. - Zadzwoń na sto procent. Pójdziemy do Psa!

Pan Grzesio poszukał wzrokiem dziewczyny, ale chyba zniknęła na zapleczu, więc jeszcze raz uklonił się panu Wiesławowi i wyszedł. Wyszedł, by wrócić do prawdziwego świata.

Pan Wiesław spokojnie otworzył kolorowy tygodnik, który leżał na stole i spokojnie zaczął oczekiwać na powrót pana Grzesia, czytając o tym, co w Polsce i na świecie.

\*

Przyszedł mistrz do Księdza.

Lokal składał się z trzech sal. W pierwszej było trochę światła, dwie następne były ciemniejsze.

W pierwszej, przy oknie siedział ten, co mówił, że będzie siedział.

Mistrz nie wiedział, czy to dobrze czy źle. Ale skoro już przyszedł, to dosiadł się do niego.

Zapytał zaraz tego pana:

- Skąd my się, proszę pana, tak się zastanawiam, znamy?

A tamten uśmiechnął się tylko znacząco:

- Ano znamy się, proszę pana, znamy się.

Więcej nic na razie nie wyjaśniał. Uśmiechnął się serdecznie i zapytał:

- Co pan pije?

A mistrz powiedział, co pije:

- Stocka piję, pięćdziesiątkę - albo nie, setkę poproszę, colę z lodem i cytryną, i czarną kawę do tego jeszcze bym poprosił.

A tamten wstał i podszedł do baru, a mistrz nie wiedzieć czemu poszedł za nim i posłuchał jego zamówienia, zaznaczył, że nie chce tego stocka w dużym szkle, bardzo by prosił w małym, popatrzył jak barmanka nalewa, pomógł te wszystkie zamówione płyny przynieść do stolika, tamten wziął czystą wódkę i piwo, usiadł z powrotem i napili się, a muzyka wcale nie najgorsza była w głośnikach, dwie gitary, bas i perkusja, wokół niski, a nie wysoki, bardzo dobrze, przynajmniej to było dobre, przynajmniej to nie przeszkadzało, przynajmniej z tym było w porządku.

Dwa stoliki dalej siedział jeden prawie znajomy mistrza, ale z dziewczyną jakąś nową siedział, młodą, wesolutką, ładną, a że raczej niełatwo rówieśnikom mistrza spotkać młodą, wesolutką, ładną, więc pochłonięty na szczęście tą dziewczyną ten prawie znajomy był, więc nie zauważył mistrza, nie przywitał się wylewnie, nie mówił do niego, nie zwracał głowy historią swojego życia.

Niedużo ludzi, to jeszcze nie była pora na to, by ludzie zajęli wszystkie miejsca we wszystkich lokalach, tak działo się dopiero pod wieczór.

Zresztą za oknem, na ulicy Stolarskiej, trwał remont, hałas, bałagan, wesołe ludziki w pomarańczowych ubrankach, wyglądające jak zrobione z klocków lego, chodziły zaaferowane i dźwig tam stał, i koparka, więc to trochę musiało potencjalnych klientów lokalu odstraszać, ale mistrzowi tak naprawdę nic już straszne być nie mogło, tak.

- Zdrowie! - powiedział pan i stuknął się z mistrzem kieliszkiem.

Mistrz nigdy nie rozumiał celu i sensu toastów, nie znał się na stukaniu kieliszkiem o kieliszek, mistrz nie rozumiał obcych ludzi, którzy wyciągają ku człowiekowi swój kieliszek i stukają tym kieliszkiem w kieliszek człowieczy, przecież w ten sposób można uronić coś z cennego płynu, przecież w ten sposób nie można, to jakieś bezsensowne barbarzyństwo, nie lubił tego, ale stuknął się z fundatorem, jakoś w takich przypadkach nigdy nie był w stanie odmówić, nie wypadało, trudno.

- Naprawdę pan nie pamięta, skąd się znamy? - zapytał pan, a mistrz potwierdził, że nie pamięta skąd, bo nie pamiętał.

Jak miał pamiętać, jeśli nie pamiętał?

Nadeszli mieszkańcy Wysp Brytyjskich i jęli wrzeszczeć miarowe „Eeeeeeeej! Eeeeeeeej! Eeeeeeeej!”.

Szli w porozpinanych koszulach, w idiotycznych czapkach, wiał zimny wiatr, a oni wietrzyli swoje wypełnione piwem brzuchy.

Kilku weszło do środka i nie wiedziało, czego chcą.

Chcieli na pewno piwa, ale już chyba nie byli w stanie tego piwa wypić. Ani nawet zamówić.

Więc stali na środku lokalu, stali i dyszeli, tocząc przekrwionymi oczami.

W końcu wyszli.

Synowie Albionu.

Mistrz pomyślał sobie, że na pewno i on wielokrotnie tak samo jak oni stał na środku knajpy, nie umiejąc już niczego zamówić, kiwając się, patrząc w nieistniejący punkt, nie wiedząc, czego naprawdę chce.

Ale przynajmniej nie miał na głowie jednej z tych idiotycznych, błazeńskich czapeczek.

- Studiowaliśmy na jednym roku z Doktorem, a potem tak się złożyło, że razem pracowaliśmy w jednym szpitalu - powiedział pan, puszczając wreszcie farbę. - Aż do sprawy Żółwińskiego. Potem zająłem się czymś innym. Robię teraz w innej branży.

- Żółwińskiego? - zapytał mistrz. Chyba nic mu to nazwisko nie mówiło.

- Starego Żółwińskiego - uściślił pan.

Popatrzył badawczo w oczy mistrza i odnalazłszy tam tylko to, co można było w oczach mistrza odnaleźć, machnął ręką i napił się.

Faktycznie, mistrz przyjrzał mu się jeszcze raz i uświadomił sobie, że najprawdopodobniej na jakichś urodzinach Doktora widział tego pana i być może w pijanym widzie rozmawiali nawet o czymś, kto to wie, takie rzeczy mistrz raczej zapominał, z wieloma, bardzo wieloma ludźmi mistrz w swoim długim życiu rozmawiał, a jeśli nie były to rozmowy istotne, nie warto było pamiętać zarówno ich treści, jak i rozmówców.

Ale zdołał mistrz mniej więcej przypomnieć sobie imię tego pana. Coś jakby Gracjan... Fabian... Przemysław?

Mistrz drżącą trochę ręką uniósł stocka.

Przyjrzał się trochę uważniej temu człowiekowi.

Doktor Gracjan Fabian Przemysław mówił. Mówił o swojej przyjaźni z Doktorem.

Gracjan Fabian Przemysław chciał namówić mistrza na wspomnienie.

A przecież mistrz wspominał od rana.

Mistrz niczego innego nie robił ostatnio, tylko wspominał. Wiele dni spędził mistrz na wspomnianiu. Nie była to już żadna dla niego atrakcja, to wspomnianie. To był żmudny, chory obowiązek. Dlatego mistrz spał się, skurczył.

Skupił się na stocku.

Pił powoli, bardzo powoli.

Nie spieszył się już nigdzie.

Stąd, od Księdza, było bardzo blisko do domu i suki. Mógłby tu doczekać do wieczora. Wieczorem wyjść z nią na spacer, a potem przewrócić się i skamienieć. Koniecznie skamienieć. Bo nic innego mu nie pozostało.

Jakoś znosił obecność tego obcego, trochę tylko znajomego pana, ale nie za bardzo słyszał, co on mówi. Odpowiadał na jego pytania, ale nie do końca świadomie.

Nie pił dużo. Sączył. Nie wykroczył poza tę jedną setkę, kawę i colę, to mu zupełnie wystarczało, nie spieszył się.

Aż nagle usłyszał coś, co go poruszyło. Nie da się ukryć, że mistrz był trochę ksobny, nawet sam był tej swojej ksobności świadomy. Więc kiedy usłyszał, że doktor Gracjan Fabian Przemysław mówi o nim, o mistrzu, oczywiście zareagował. Skupił się bardziej na tym, co doktor Gracjan Fabian Przemysław mówił.

A mówił tak:

- Wiem o panu wszystko. Doktor bardzo lubił o panu opowiadać. Trochę się podśmiewał, ale mówił o panu z czułością.

- Hm... - powiedział ostrożnie mistrz.

- Z czułością - podkreślił pan.

- Niezasłużoną czułością- powiedział mistrz.

- I martwił się o pana.

- Niepotrzebnie się martwił.

- Martwił się, że nie ma pan dowodu osobistego, że nie ma pan ubezpieczenia, że nie ma pan nic. Że się pan sam ładuje w kłopoty. Mówił, że jak pan poważnie zachoruje, to niby ma pan jego, ale przecież to może nie wystarczyć... A jak tylko pojawiła się sprawa starego Żółwińskiego, to w ogóle posmutniał i już mniej o panu mówił. Prawie o niczym już nie mówił. Ale to może i z powodu tej dziewczyny...



Wyglądało na to, że doktor Gracjan Fabian Przemysław miał słabą głowę. Już teraz, po wypiciu tak nieznacznej ilości alkoholu, zaczynał sprawiać wrażenie niezbyt przytomnego.

Spojrzał w oczy mistrzowi.

Mistrz uciekł wzrokiem.

- Och, muszę pana o coś zapytać. Bo zapomnę. A to bardzo ważne - powiedział Gracjan Fabian Przemysław swoim jakby skądś znajomym mistrzowi głosem.

- Słucham.

- Czy Doktor przed śmiercią nie zostawił panu czegoś, hm..., na przechowanie? Jakichś papierów albo innych rzeczy?

Mistrz pomyślał.

- Chyba nie. Nie pamiętam. Ale raczej nie. Gdyby coś mi zostawił, to na pewno bym pamiętał. Nie, nie, niczego mi raczej nie zostawiał.

Rozmówca mistrza z uwagą zajął mu w oczy, ale zaraz wzrok ponownie mu zmętniał, po tej chwili skupienia znowu jego oczy stały się półprzytomne, napił się, zapalił i wyrzucił z siebie potok słów:

- A ta dziewczyna, skąd ona się wzięła, a niby nie mógł sobie znaleźć kogoś lepszego? Ja wiedziałem od razu, że to nic dobrego, ta dziewczyna była jak trucizna, mała, wstrętna materialistka, widziała tylko jego pieniądze, to ona go zmieniła, to ona zrobiła mu coś takiego, że popadł w przygnębienie, to na pewno przez nią się otruli, kiedyś powiedział mi, że ma kłopoty, siedzieliśmy u niego na dacy i chciał mi coś wyznać, to niekoniecznie miało związek ze starym Żółwińskim, to mogło i o nią chodzić, ale ona przyszła, więc umilkł, i nie wracał do tego przez cały wieczór, bo ona była ciągle obok, zniszczyła go, proszę pana, to ona go zniszczyła. A potem już nie mieliśmy okazji o tym rozmawiać, bo umarł. Ale coś musiało być na rzeczy, mówię panu. Zaraz po pogrzebie pokazywała wszystkim, mi też pokazywała, esemesa, którego Doktor do niej niby wysłał, że ktoś go otruli, ale to jakaś totalna bzdura, wymyśliła to sobie, na pewno spreparowała tego esemesa, żeby mieć czyste sumienie, bo, mówię panu, wiem, że to przez nią się Doktor zabił, nie tylko ja tak myślę, rozmawiałem z paroma osobami, one myślą podobnie. Czy pan ją znał? Musiał ją pan poznać. Ja o niej mało wiem. Doktor więcej mówił o panu niż o niej. Martwił się, że pan tak pije. On tylko na zewnątrz był taki beztroski. W środku cierpiał za cały świat.

Naprawdę: martwił się o pana. Ciągłe mówił, że źle pan skończy. Opowiadał mi, że pan już stoi na brzegu przepaści. I co? Pan już dawno powinien nie żyć, pan się już nażył, a jednak pan sobie tutaj wódeczkę pije, a jego nie ma. Ale pana przecież nie obwiniam o jego śmierć. Tylko ją. Nie myśli pan, że to właśnie ona była powodem tego wszystkiego?

- Eee - powiedział mistrz.
- Mówię panu. Tak było. Tak musiało być.
- Eee - powiedział mistrz. Ale ziarno zostało zasiane.

\*

Dziewczyna popatrzyła przez małe okienko na zapleczu Stylowej na domek i ogród Doktora widniejący w oddali, pod lasem. Nadal miała klucze do tego domku, ale wiedziała dobrze, że bezprawnie. Wiedziała, że to nie w porządku. Ale to z miłości. Z umarłej miłości.

Odziedziczył to wszystko na pewno ktoś z dalekiej rodziny Doktora, ale nie pojawił się jeszcze, ta daleka rodzina Doktora mieszkała na pewno w innym mieście, bardzo daleko. Zanim ktoś z nich się tu pojawi, minie wiele miesięcy, może lat.

Zresztą pewnie już Chińczycy dowiedzieli się od szefa, że ta działka jest niezamieszкана i pewnie z czasem ją kupią i zmieniana swój chiński sposób, zachińszczą definitywnie.

Tylko Chińczycy mogli zainteresować się tym miejscem. Tego miejsca prawdopodobnie nawet nie było już na mapie. Tych ludzi też właściwie nie było. Kilkuset mieszkańców, którzy większość dnia spędzali w Krakowie, puste przez większą część roku domki letnie pod lasem, ileś tam hurtowni, sklep. Tego tak naprawdę już nie było. Przyjdą Chińczycy i to zmienią. Zaludnią, użyzną.

Ogród zimą wyglądał fatalnie. Jakieś poskręcane, szare drzewka owocowe, jakieś badyle wystające chaotycznie z ziemi. Siódme nieszczęście. Dałoby się coś z tym zrobić, ale potrzeba do tego przekonania i serca.

Ale wtedy, kiedy była blisko Doktora, wydawało jej się, że to wszystko będzie zawsze istniało, że wszystko zawsze będzie wspólne.

Wszystko. Zawsze. Zawsze. Wszystko.

Był taki moment, kiedy myślała o tym ogrodzie: mój ogród. Był taki moment, kiedy miała do tego zapuszczonego ogrodu przekonanie

i serce. Nawet auto Doktora w pewnym momencie było niemal jej autem. Nawet stara szopa w ogrodzie była niemal jej szopą.

Była wtedy bardziej naiwna. Skończyło się.

Jeszcze trzy godziny i do domu. Oglądać telewizję, pisać esemesy. Czekać na wielką odmianę.

Nigdy już nie pokochać mężczyzny, który za najważniejszy prezent, jaki mógłby dać, uważa składankę własnoręcznie ułożoną ze swoich ukochanych piosenek.

Nigdy już nie pokochać mężczyzny, który pochłania. Który powoduje, że myśli się jak on, mówi się jak on.

Nigdy już nie pokochać mężczyzny, który śmieszny i rozczula.

Ci, którzy przerażają, są chyba pewniejsi. Chyba właśnie im warto by było zaufać.

\*

Jedenasty odcinek serialu „Mały mistrz na tropie” w streszczeniu wyglądał mniej więcej tak: najpierw była piosenka towarzysząca początkowym napisom, a potem dzielny, dwunastoletni detektyw w krótkich spodenkach, o niesłychanie chudych nóżkach i rezolutnym wyrazie buzi z domalowanymi piegami, budzi się. Od razu się myje, ubiera i wsiada na swój rowerek.

Pędzi na nim nieść pomoc ludziom.

Dzień jest jasny i słoneczny.

- A potem zniemacka wchodzi potwór. Gaśnie słońce. Zaczyna padać apokaliptyczny, stalowy deszcz. Mały mistrz jest przerażony. I wszystko jest czymś zupełnie innym niż się wydawało - podsumował te wspominki mistrz.

Szedł przez prostokąt Małego Rynku.

Wracał do domu.

Pan Gracjan Fabian Przemysław na koniec rozmowy zasnął na krześle. Mistrz obudził go delikatnie, a potem, kierowany solidarnością pijących, doprowadził do taksówek na Siennej.

Odprowadzany namawiał mistrza, żeby z nim koniecznie pojechał, ale mistrz stanowczo odmówił.

Następnie stanowczo odmówił umówienia się na wieczór, doktor Gracjan Fabian Przemysław bardzo nalegał, omal nie użył wobec

mistrza przemocy, ciągnął go za ramię i tarmosił, ale mistrz wyrwał się, powiedział, że bardzo przeprasza, nie może, ponieważ wieczorem ma zupełnie inne zajęcia niż picie i rozmawianie, bardzo, bardzo mu przykro.

Nie spodobała mu się serdeczność i wylewność lekarza. Takich ludzi wolał unikać. Z tego nigdy nic dobrego nie wynikało.

Ostrożność. Żadnych pijaństw z obcymi ludźmi.

A teraz wracał. W brudnym, zakurzonym oknie jednej z kamienic na Małym Rynku stała bokserka. Ciekawe, czy go zauważyła? Pomachał jej ręką.

Przez miasto należy chodzić tak, żeby nie wejść w oko aparatu fotograficznego. Cały czas trzeba się pilnować, żeby nie znaleźć się na jakimś zdjęciu. Cały czas człówek znajduje się w czymś kadrze. A to niedobre, a to niezdrowe.

Mistrz zauważył, że wszyscy obecni na Małym Rynku zajmowali się właśnie w tym momencie fotografowaniem.

A to fotografowali wieże mariackie, a to swoich współtowarzyszy i współtowarzyszki, a to byle co.

Gdyby nie sfotografowali, to by nie zapamiętali. Gdyby nie sfotografowali, to by nie zrozumieli. Pewnie tak.

Wszedł potwór i nie pozwolił mistrzowi wrócić do domu.

Pomachał więc jeszcze raz suce, ale tym razem pomachał pożegnalnie i odruchowo poszedł na przystanek busów, rozwożących pasażerów po podkrakowskich mieścinach.

Nie czekał wcale. Natychmiast przyjechał właściwy bus i natychmiast zawiózł go do oddalonego o jedenaście kilometrów miejsca. Żadnych korków, żadnych problemów, warunki, ma się rozumieć, komfortowe.

Podróż minęła błyskawicznie. Ani się mistrz nie obejrzał, a był znowu w szarej, wietrznej okolicy. Zrobiło się jeszcze chłodniej, jeszcze ciemniej. Wyglądało na to, że wieczór zapadnie rekordowo szybko. Wbrew prawom natury.

Postanowił wstąpić na chwilę do sklepu spożywczego, pogawędzić niezobowiązująco z panią sklepową, kupić na zapas jeszcze jedną paczkę papierosów, bo wprawdzie jeszcze ileś tam miał, ale uznał, że nie wystarczy mu tego do rana.

Lecz na drzwiach wisiała kartka: ZA CHWILĘ WRÓCĘ.

Mistrzowi chodziło o tę właśnie, a nie żadną inną chwilę, ta następna mogła w ogóle nie zaistnieć, nie miał czasu na czekanie, więc odwrócił się i odszedł.

Miał niejasne uczucie, że od pewnego czasu ktoś, jakiś cień, za nim idzie, patrzy mu na kark, więc zerknął dyskretnie za siebie, ale nikogo nie zauważył. Obserwowały go tylko kury, obserwowały go fruwające śmieci i targane wiatrem badyle.

Pusta, wsiowa droga.

\*

Pan Grzesio płakał.

Płakał rozpaczliwie.

Zawsze płakał, kiedy działo się coś niedobrego z jego samochodem, kiedy coś w ogóle się psuło, kiedy coś generalnie nie było po jego myśli. Nie mógł się w takich sytuacjach powstrzymać.

Płakał już od wielu minut, pan Wiesław pocieszał go jak mógł, kupił mu jeszcze jednego red bulla, jeszcze jedno małe piwo, ale to wcale nie pomagało.

Pan Wiesław zagadywał pana Grzesia jak mógł, próbował go zainteresować swoimi opowieściami, ale co jakiś czas pan Grzesio przypominał sobie o swoim nieszczęściu, co jakiś czas wybuchał na nowo płaczem.

- To może dlatego, że byłem dzisiaj świadkiem, jak kogoś okaleczyli, może nawet zabili... dzwonię na policję! To dlatego, że byłem świadkiem, tak! Chcieli się na mnie zemścić! Zaraz zadzwonię na policję, oni zrobią z tym porządek! A gdzie się w ogóle podział ten... Morales?

- A po co ci Morales? Zadzwon, zamiast na policję, do swojej telewizji! Pierwszorzędny materiał zrobią o zamachu na swojego pracownika - radził zaróżowiony pan Wiesław. - A i nasza okolica od razu będzie słynna... Mogę się wypowiedzieć przed kamerami, spoks. Zrobię to dla ciebie. Potem się zadzwoni na policję. Ale wiesz, podejrzewam, że to głupi dżołk. Z drugiej strony, kto wie? Ale na pewno nie dzwoń na policję, to bez sensu. Prawdziwa policja jest tylko w waszych programach, w rzeczywistości to przecież jej nie ma, a jeśli nawet jest, to nie żadna policja, to tylko banda przegiętych ciotek, nie dzwoń na policję. No co ty? Same kłopoty z tego by były, nie dzwoń do nich.

Pan Grzesio wykonał kilka telefonów, pochlipując dramatycznie. Telewizja obiecała, że przyjedzie, ale nie za szybko. Pan Grzegorz rozchlipał się znowu.

- Wrzucić na luz - pocieszał go pan Wiesław. - To, co teraz idzie z głośników, to „Serce matki”. Mieczysław Fogg, wyobraź sobie! Naturalnie: Mieczysław Fogg w moim remiksie. Jedna fundacja wsparła ten projekt i wyłożyła kasę, żebym zmiksował Fogga. I posłuchaj, posłuchaj uważnie jak to brzmi. Kiedyś Mietek był dla mnie żalną kwintesencją złego smaku, ale po zrobieniu tych remiksów bardzo go polubiłem, zwłaszcza cenię sobie jego zwierzęcą zmysłowość i elegancję. Skończył się czas zamykania się tylko w jednym gatunku muzyki, skończył się czas kolekcjonowania dyskografii ulubionych zespołów. Nie wystarczy konsumować muzykę, trzeba ją tworzyć, rozumiesz. Każdy powinien. I trzeba być otwartym - proszę bardzo, bezkompromisowo połączyłem to stare pudło, Fogga, z moim współczesnym brzmieniem. I jaki olśniewający efekt! Sam słyszysz. A co do auta, to wiesz, gdyby żył mój starszy, to by ci natychmiast coś poradził. Najpierw, w wojsku, był saperem, a potem, w cywilu, mechanikiem samochodowym. Na bombach i autach znał się doskonale. Był w tym wyśmienity. Niestety, tylko w tym był wyśmienity - powiedział pan Wiesław i westchnął.

Chwilę pomyślał, a potem zaproponował:

- Pozwól, że ci się zwierzę. Mój starszy był potworem. Rozumiał tylko bomby i samochody, mnie nie rozumiał, nie mógł pojąć moich aspiracji. Miałem z nim tak samo jak premier Tusk ze swoim ojcem - trochę ucieszyłem się na wiadomość o jego śmierci. A i z matką nie mam najlepiej. Ostatnio powiedziała, że mi odłączy internet. Że to niby za dużo kosztuje. Starsza jest tak tępa, że nie rozumie, że odłączając mi internet, odcina mnie nie tylko od świata, ale także od źródła zarobkowania. Postanowiłem wytoczyć jej proces. I wygram, normalnie wygram! Każdy sąd mnie zrozumie. A matka nie. Bo nie ma serca.

Pan Grzesio nie przejął się szczególnie zwierzeniami pana Wiesława. Okazał się wyjątkowo nieczuły. W ogóle nie skomentowawszy owych zwierzeń wykonał znowu kilka panicznych telefonów, płacząc w komórkę, jęcząc potępieńczo, zgrzytając zębami, pomstując. Wreszcie uzyskał jakieś konkretne obietnice.

Niby odetchnął z ulgą, ale nadal był wściekły i rozżalony, nie cierpiał chronicznie momentów, w których działy się takie rzeczy, takie rzeczy zdarzają się innym ludziom, takie rzeczy nie powinny się w ogóle przydarzać panu Grzesiowi. Nie cierpiał tego. Nie cierpiał.

Od razu miał ochotę procesować się ze wszystkimi: z tą restauracją, policją, pracownikami telewizji, mieszkańcami tej okolicy, producentami auta, sprzedawcami auta, wszystko jedno z kim, z kim popadnie, najlepiej ze wszystkimi, którzy stanęli na jego drodze, po prostu.

Pan Wiesław, niezrażony, perorował nadal:

- Ja nie wierzę, że jest tam prawdziwa bomba. To niemożliwe. U nas? Ale jest jeszcze jedna złota rączka, brat Moralesa, też Morales, on by temu też mógł się przyjrzeć. Ale coś go dzisiaj nie widziałem. A i Moralesa nie widzę, a przecież tu był, no nie ma kogo zapytać. Wiesz co? Jak i tak musisz tu czekać, to może chodźmy do mnie, mieszkam bardzo niedaleko i pokażę ci coś w moim kompiutku...

Pan Grzesio odmówił. Dość niegrzecznie.

Nie podobało się to panu Wiesławowi. Nie podobało.

Zacisnął pięści pod stołem i sapnął.

\*

Moralesowi śnił się potwór. Potwór wszedł i zabronił. Morales doskonale wiedział, że sprzeciwianie się potworowi może się bardzo źle skończyć. Można się nawet nie obudzić. Więc nie sprzeciwiał się potworowi i czynił to, co potwór nakazał mu we śnie. A nie czynił rzeczy dobrych. Lecz potwór miał władzę, był władzą, potwór miał wiedzę o rzeczach, o których się Moralesowi nawet nie śniło. Morales zabijał, hańbił i rzucał oszczerstwa we śnie, a potwór żądał więcej i więcej złych uczynków od nieszczęsnego Moralesa, był nienasycony.

Potwór nie był straszny sam z siebie. Morales nie był pewien, czy widział we śnie potwora. Ale jeśli go widział, jeśli go widział we śnie naprawdę, to potwór był postury raczej niewielkiej, brzydki był i całkiem niepozorny. Wyróżniał się potwór tylko tym, że podobno posiadał jedenaście palców u rąk i jedenaście palców u nóg. Tylko to było w potworze niepokojące. Ale jego straszność nie musiała wynikać ze strasznego wyglądu. Siłę miał potwór duchową. Przegromną. Wobec tej siły Morales małej był i bezradny.

Tak więc Morales był pod przemożnym wpływem potwora, wypełniał jego wolę i coraz mniejsze miał wyrzuty sumienia. Był zbrojną ręką potwora. Wiedział, że czyni źle, ale wiedział jednocześnie, że to złe, które czyni, w dobre się ostatecznie obróci.

Tak musiało być.

I koniec.

- Tak musi być! - powiedział i obudził się zlany zimnym potem w swoim zimnym, pustym mieszkaniu.

\*

- O, jesteś! Wiedziałam, że wrócisz! - ucieszyła się autentycznie dziewczyna.

- A ja wcale nie wiedziałem, że wrócę, proszę pani. Ale wróciłem.

- To już jest przed szesnastą. Za dwie godziny kończę - powiedziała.

- Aha - mruknął mistrz.

I pomyślał:

- Gdzie są te czasy, kiedy interesowało mnie bardzo to, o której dana barmanka kończy swój dyżur, kiedy dziewczęta zwierzały mi tę tajemnicę i rumieniły się? Gdzie są te czasy, kiedy było to bardzo istotne?

Tak sobie pomyślał, a powiedział tak:

- Pięćdziesiątkę stocka poproszę, ale nie w takim dużym, dobrze? W czymś niniejszym bardzo poproszę. W takim dużym pięćdziesiątka wygląda naprawdę szalenie niepoważnie.

- Tyle razy już mi to mówiłeś...

- Ale pani zawsze sięga po to duże...

Wzruszyła ramionami.

- Lubię jak coś się powtarza. Jest się czego trzymać. W te dni, jak cię tu nie ma, czuję się dziwnie.

Nie odpowiedział.

Patrzył jak wybiera mu starannie niewielkie, szklane naczynie, patrzył jak ogląda je pod światło, patrzył jak ogrzewa je w parze z ekspresu, patrzył jak nalewa.

To działo się po raz któryś z kolei.

On także lubił, kiedy się coś powtarzało. Dlatego tak go do niej ciągnęło. To pewnie był główny powód. Lubili to samo. Oraz pamiętali o Doktorze.



- I życzysz sobie czegoś jeszcze?

Mistrz uśmiechnął się.

- Och, życzyłbym sobie czegoś jeszcze, ale pani pozwoli, że się powstrzymam.

- Wypowiedź bardzo w stylu Doktora - uśmiechnęła się dziewczyna.

Pomilczeli chwilę.

- A nie denerwowała cię jego miłość do Franka Sinatry? - zapytała dziewczyna i włączyła natychmiast płytę Franka Sinatry.

- Wcale - powiedział mistrz. - Elegancki mężczyzna ma prawo cenić płyty eleganckiego mężczyzny.

Umilkli. Patrzyli na siebie z pełnym zrozumieniem. Sinatra z pasją, elegancją i uczuciem śpiewał nieśmiertelną piosenkę pod tytułem „My Way”, a oni uśmiechali się do siebie.

Mistrz napił się.

- Kochana, wyłącz to badziewie, błagam! - wrzasnął od swojego stolika pan Wiesław.

Wstał, podszedł do baru i ignorując obecność mistrza, zwrócił się do dziewczyny:

- Wyobraź sobie, kochana, że na samochodzie tego chłopca, co ze mną siedzi, ktoś przyczepił karteczkę, że w samochodzie jest bomba. No, popatrz, jaki roztrzęsiony tam siedzi. Nie denerwujmy go. Tutaj zaraz przyjedzie telewizja. Bo on pracuje w tiwi, wiesz? Nalej nam jeszcze po red bullu, bardzo jesteśmy zdenerwowani. I wyłącz to, błagam!

Dziewczyna wzruszyła ramionami i nie wyłączyła. A kiedy pan Wiesław odszedł do swojego stolika, wymieniła z mistrzem porozumiewawcze spojrzenie.

- Powiem ci, że on wcale nie jest żadnym pedałem. On tylko do tego aspiruje - szepnęła.

\*

Wytoczył się na drogę.

Wiało, ale nie czuł tego wiania nazbyt dotkliwie, gdyż był pijany, nie poczułby nawet mrozu, w takim był stanie. Ale nie było mrozu, ani śniegu, wszędzie tylko czarne śmieci, wszędzie błoto, wszędzie

wiał wiatr, więc tylko coraz bardziej go zawiewało, więc szedł miotany wiatrem i alkoholem, dookoła ciemniało, chmurzyło się, wiało, szedł, szedł, szedł, aż doszedł gdzieś wreszcie.

- Szopa - powiedział do siebie.

- Szopa - odpowiedział sobie.

- Chwileczkę, chwileczkę, chwileczkę... - zabełkotał. Wszedł do środka i zobaczył.

Krew, dużo krwi.

W kącie nienaturalnie poskręcany ludzki kształt.

Więc zaczął krzyczeć.

A potem wybiegł z szopy, jeśli można to chaotyczne poruszanie wszystkimi kończynami nazwać wybiegnięciem, i wrzasnął: „Lu-uudzieeee!” i pobiegł przed siebie.

Biegł przez wiatr, biegł przez błoto i krzyczał.

I wydawało mu się, że biegnie po pomoc.

\*

- Ciągłe mówimy o Doktorze, porozmawiajmy trochę o tobie - zaproponowała dziewczyna.

Informacja o bombie w samochodzie i przyjeździe telewizji ani na niej, ani na mistrzu nie zrobiła żadnego wrażenia.

- Właściwie wiem o tobie tyle, ile on mi powiedział. Ty niewiele o sobie mówisz. Powiedz: nigdy nie rzucałeś picia?

- Co pani mi takie pytania zadaje?

- Doktor pewnie by pochwalił to, że rzucasz.

- Doktorowi był potrzebny ktoś taki jak ja, żeby potwierdzać jego doskonałość. Może i mówił, że nie powinienem pić, ale z drugiej strony, podejrzewam, że wcale by mu nie było na rękę, gdybym przestał pić...

- Nie gadaj tak!

- Tak myślę. A przepraszam bardzo, czy nie było tak, że w szkole najbardziej kolegowała się pani z brzydszą i głupszą od siebie koleżanką?

Nie odezwała się.

Nie zaprotestowała.

Więc pewnie mistrz miał rację.

\*

Morales wyszedł przed dom.

Zdawało mu się, że usłyszał jakiś przeciągły krzyk, więc wyszedł, żeby sprawdzić co jest.

Coś było.

Przeżegnał się po chłopsku, zamaszycie.

Na polu już zaczynało powoli ciemnieć. To już prawie szesnasta była. Czas zimowy.

Rzeczywiście, ktoś krzyczał. Ale krzyk mocno był stłumiony przez wycie wiatru.

Krzyk się oddalał.

A potem ucichł.

Morales postanowił, że potraktuje ten krzyk jako dalszy ciąg snu. Postanowił, że się nim nie przejmie.

Umęczyły go te koszmary. Mimo że w tej chwili prawie wcale ich nie pamiętał. Niby już niczego nie pamiętał, ale jakaś senna zmora, jakaś strzyga ciągle jeszcze siedziała mu ciężko na sercu.

Wprawdzie dzięki tej drzemce nieco przetrzeźwiał, ale niestety czuł się fatalnie, był nieswój, był w bardzo złym stanie, był chory i rozbity. Oraz głodny.

Wrócił do domu.

Zajrzał do lodówki i nie znalazł tam niczego atrakcyjnego.

Jakieś słoiki z czymś podejrzanym.

Jakieś zapleśniałe cytryny.

Jedno jajko.

Westchnął, włożył kapotę, wyruszył w stronę Stylowej.

\*

Pan Wiesław, po dłuższych konsultacjach z nadal chlapiącym panem Grzesiem, dzielnie wgramolił się na krzesło i do nielicznych obecnych w lokalu zwrócił się w sposób następujący:

- Drodzy państwo. Proszę o chwilę uwagi! Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie! W jednym samochodzie stojącym przed Stylową może być bomba. Panujemy nad sytuacją, niedługo przyjedzie telewizja. Jeżeli ktoś ma słabe nerwy, prosimy go o opuszczenie terenu. Tylko bez paniki, bardzo prosimy!

Pan Wiesław miał oto właśnie swoje pięć minut. Mówił głosem donośnym, afektowanym. Wyglądał zupełnie jak prymus deklamujący wiersz na akademii szkolnej.

Rozległ się szum głosów. Kilka osób natychmiast wyszło, żeby spojrzeć na samochód. Ale szybko powrócili.

Rozsiedli się, nawet ci, którzy nie planowali zbyt długiego siedzenia w Styłowej, postanowili pozostać i poczekać na telewizję. Nie mogli stracić takiego spektaklu. Być może miał to być najważniejszy dzień w ich życiu.

Ktoś z obecnych w lokalu, siedzący przy jakimś odległym stoliku, powiedział głośno:

- Żółwiński.

A mistrz pomyślał sobie, że już dzisiaj słyszał to nazwisko, wszak o jakimś Żółwińskim mówił u Księdza ten lekarz, kolega Doktora z pracy.

- Kto to jest ten Żółwiński? Już ktoś dzisiaj użył przy mnie tego nazwiska. Kto to jest? - zapytał.

Ale ona go nie usłyszała, rozmawiała bowiem w tej chwili przez swoją komórkę. Wnosząc z wielkiego skupienia, postawy i poważnego tonu rozmawiała z kimś szczególnie ważnym, najprawdopodobniej z kierownictwem Styłowej.

Rozmowa musiała być istotna, bowiem machnęła dłonią w stronę mistrza, czyniąc znak oznaczający: „Nie przeszkadzaj!”.

Więc mistrz dopił to, co miał do dopicia.

Więc mistrz zapalił papierosa i poszedł do toalety, którą wypełniało zimne, białe światło.

Zgasił papierosa, klęknął przed sedesem i wetknąwszy dwa palce w usta, przymusił się do wymiotowania.

Wymiotował śliną, żółcią i powietrzem.

- Ładnie, ładnie! - powiedział Doktor.

## rozdział piąty

- Ładnie, ładnie! - powiedział Doktor, stojąc w otwartych drzwiach toalety. Mistrz podniósł się z kłeczek, odwrócił się do Doktora i uśmiechnął przepraszająco.

- Czy to aby nie jest tak, że mój małomówny, introwertyczny kolega wypił już za dużo? Przecież to, co się z tobą stało, było prze-rażające. Przecież nie było cię tu z nami. Odplynęłaś. Czy to aby nie jest tak, że powinieneś już wracać do domu i odespać te szaleń-stwa? - zapytał troskliwym głosem Doktor. - Bo nie wyglądasz mi, drogi kolego, na szczególnie kwitnącego, oj, nie. Mówię ci to jako lekarz.

Mistrz podszedł do Doktora i chciał coś mu powiedzieć, ale Dok-tor delikatnie pchnął go ku umywalce.

- Najpierw myjemy ręczki i buzię. Higiena osobista nade wszystkim!

Mistrz posłusznie umył ręczki i buzię.

- Wypadałoby coś zjeść - zaproponował Doktor. - Dopiero szesnasta, a ty, drogi kolego, jesteś pijany tak, jakby to już nad ranem było. Coś musisz zjeść!

- Nic nie przełknę. Wybacz, Doktorze, ale nic nie przełknę. No, zlitujże się. Nie jestem w stanie - zaproponował mistrz.

- Jakąs zupinę należałoby jednakowoż zjeść. Albo kotlecik. Po-słuchaj rady doświadczonego lekarza. Jeżeli koniecznie chcesz się jeszcze dzisiaj bawić, to musisz coś zjeść. Musisz! - Doktor ujął mistrza za ramię i wyprowadził z toalety.

Znajdowali się w Biurze, lokalu na ulicy Świętego Jana w Kra-kowie. Kultowym, magicznym lokalu, miejscu wielu wzlotów i upadków.

Był dzień, mało klientów, tylko jakaś przestraszona młodzież, ja-cyś pojedynczy stali bywalcy, nikogo więcej.

Za barem stał Mango Głowacki. Osławiony Mango Głowacki, opisywany w wielu przewodnikach jako najbardziej magiczny i kultowy restaurator w tym mieście. A jego lokal opisywano jako jeden z jaśniejszych punktów na klubowej mapie Krakowa.

Nienagannie wygolona czaszka Głowackiego lśniła. Głębokie bliźny były niezmiernie twarzowe. W dłoni jego pienilo się kufłowe piwo. Uniósł kufel i uśmiechnął się szeroko.

- O, widzę, że mistrz powrócił do żywych.

- Trzeba mu dać coś do jedzenia - oświadczył Doktor. - Pójdziemy gdzieś i przymuszę go, żeby coś zjadł.

- Po co macie chodzić? Zadzwońię po pizzę i już.

Mistrz zaprotestował. Wizja jakiegoś płaskiego twardego placka umazanego ohydny ketchupem przeraziła go okropnie. Wstrząsnął nim zimny dreszcz. Spostrzegłszy to, Mango Głowacki bez słowa nalał mu kieliszek wódki.

- Piwo z red bullem! - powiedział jakiś chłopiec zza pleców mistrza.

- Chwila! Gdyby pan poprosił ładnie, to może bym i panu podał, ale pan nie powiedział: „Czy mógłbym poprosić o piwo z red bullem?” Pan się zachował nieelegancko, to i ja się wobec pana zachowam nieelegancko - uniósł ostrzegawczo palec restaurator. - Przyjdzie barmanka, to pana obsłuży. Ja nie jestem tu po to, żeby pana obsługiwać. Ja obsługuję tylko ludzi eleganckich, czyli moich kolegów. Czego się szanowny Doktor napije?

Przeżony młody człowiek wycofał się, a Doktor zamówił białą kawę, Głowacki ową kawę przygotował z namaszczeniem, zabrał swoje piwo i usiedli we trzech przy stoliku.

- I jak ci tam było w tych zaświatach? - zapytał Doktor mistrza.

- Jak to w zaświatach - odpowiedział enigmatycznie mistrz. Nie mógł sobie niczego konkretnego przypomnieć, pamiętał jedynie jakieś ponure barwy, wiatr.

Za barem pojawiła się barmanka.

- Masz coś do zjedzenia, córuś? - krzyknął w jej stronę Mango, a ona miała, miała dwie kanapki, jedną z nich podzieliła się z mistrzem, choć oponował.

Nienaruszona kanapka leżała na stole, a oni napili się tego, co tam każdy z nich miał.

- Zakąszamy! - zwrócił się do mistrza Doktor.

Ale mistrz nie zakąsił. Nie był w stanie. Przyjrzał się tylko kanapce. I tyle.

- O, Kochany. Nie urośniesz, jak nie będziesz jadł - powiedział Mango Głowacki.

- Umrzesz niechybnie, drogi kolego, jak nie będziesz jadł - dopowiedział Doktor.

Obydwaj spojrzeli na niego hipnotycznie, więc mistrz westchnął i spróbował ugryźć kawałek kanapki. Ten jeden kęs urósł mu w ustach tak dalece, że musiał pospiesznie ponownie udać się do toalety.

Tym razem miał czym wymiotować.

Kiedy powrócił, ujrzał obrazek następujący:

Mango stał przy barze, nachylił się do barmanki, trochę z nią poszeptał, a ona po chwili przyniosła im do stolika tackę z wieloma kieliszczykami ze spirytusem.

Mango uśmiechnął się sardonicznie, podpalił spirytus, pchnął w ich stronę dwa płonące kieliszki i zacytował:

- Pamiętacie? Wódka u Rudego? Haneczka? Kossobudzki? Et caetera?

- My żyjemy! - oświadczył Doktor, a mistrz zarechotał.

- Ty się nie śmieję, ty długo nie pożyjesz, jak nie będziesz jadł - uczepił się poprzedniego tematu rozmowy Mango i zgasił płomień.

Wypili po kieliszku spirytusu.

Otrząsnęli się.

Wypili po następnym kieliszku.

- Już mi lepiej - powiedział mistrz.

- A jeszcze chwilę temu myśleliśmy, że umarłeś - oświadczył Mango. - Prawie zupełnie przestałeś oddychać, dobrze że Doktor był na miejscu.

- Ja zawsze jestem na miejscu. Zawsze niosę pomoc potrzebującym, zawsze pamiętając o moich obowiązkach lekarskich i przysiędze tego tam, jak mu było? - mruknął Doktor. - Ale powiedz nam, drogi kolego, jak tam było w zaświatach? Poinformuj łaskawie kolegów, nie bądź taki!

A mistrz i tym razem nie odpowiedział, tylko westchnął. W zaświatach chyba nie było przyjemnie. W zaświatach było groźnie. Ale

wcale nie chciał dzielić się tą wiedzą z kolegami. Wolał wychylić jeszcze jeden mały kieliszczyk spirytusu i spojrzeć przez okno.

A za oknem auta jeździły tyłem, a za oknem był piękny, bezwietrzny dzień, a za oknem był sklep z luksusowymi ubraniami, gdzie pracowała luksusowa blondynka. Mistrz oczywiście nie gustował szczególnie w luksusowych blondynkach, ale na tę akurat bardzo przyjemnie było popatrzeć. Dużo lepiej było ją widzieć z sąsiadującego z Biurem lokalu Piękny Pies, ale tam postanowili przenieść się później.

Na razie siedzieli w Biurze, włączyli sobie taką jedną, dość wesołą piosenkę, „Who Killed Bambi?” Pistolsów, pili spirytus w małych kieliszczykach, palili papierosy i świętowali powrót mistrza pomiędzy żywych.

Potem włączyli sobie, mimo protestów Manga Głowackiego, płytę jazzową.

- Czymże byłby świat bez flecika Erica Dolphy'ego? - zadał retyoryczne pytanie Doktor, a potem po raz trzeci zapytał mistrza:

- I jak ci tam było w zaświatach? Widocznie nurtowało go to niezmiernie.

- Sam pan sprawdź - burknął mistrz.

Mistrz nie mógł pojąć, skąd nagle to światło, skąd ten biały dzień, skąd tu się zniemacka wziął? I gdzie, w jakich zaświatach do tej pory był? Bo że był w jakichś zaświatach, to pewne. Ale nie pamiętał zbyt wiele, jakieś cienie, jakieś rozmowy, coś tam w tych zaświatach się działo, ale co? Nie wiadomo dokładnie, wszystko mu się pomieszało.

Kolejni klienci wchodzili, robiło się coraz tłoczniej, pojawił się już magiczny i kultowy ochroniarz, Misio Wteklocki, który niby swój dyżur zaczynał później, ale widocznie nie miał co ze sobą zrobić tego pięknego dnia, więc przyszedł już teraz.

Usiadł z nimi.

Głowacki i Doktor, coraz częściej zerkający na zegarek, opowiedzieli Wteklockiemu o tym, jak mistrzowi mało co się nie umarło.

Zadziwił się bardzo Misio Wteklocki i natychmiast opowiedział niezwykłą i wypełnioną wieloma prześmiesznymi perypetiami historię o tym, jak to jego kuzyn umarł na własnym weselu.



Doktor jeszcze raz zerknął na zegarek i posmutniał. Percepcja mistrza poprawiła się po tych kilku małych kieliszczykach spirytusu i nagle spostrzegł, że Doktor jest jakby inny niż zazwyczaj.

- No to chodźmy do Psa - zaproponował Mango. - Trzeba się przespacerować, dobrze nam to zrobi.

- Ja tu zostanę - powiedział Misio i wyjął książkę pod tytułem „Sto lat samotności”. - Bardzo ciekawe, jakiś klient zostawił, znacie to?

Spojrzeli po sobie.

- Hohoho! - powiedział mistrz.

- Aha, żebym nie zapomniał, Cma ma od wczorajszej nocy czerwoną kartkę - poinformował Wteklockiego kierownik lokalu.

- Co znowu przeskrobała?

- Wolalibyś nie wiedzieć. W każdym razie ma czerwoną kartkę. Nie ma tu wstępu. I koniec.

Wteklocki kiwnął swoją okrągłą, ogoloną głową, poślinił palec i zaczął przewracać kartki.

A oni wyszli.

Poszli kilkanaście kroków dalej ulicą Świętego Jana, poszli do sąsiedniej knajpy, do Pięknego Psa.

W Pięknym Psie, jak to w Pięknym Psie. Były pewne wartości, które nie ulegały przemianom. Piękny Pies na ulicy Świętego Jana należał do tego rodzaju wartości zdecydowanie.

Usiedli przy oknie, zamówili alkohol i wtedy zadzwoniła komórka Doktora.

Doktor wyszedł na ulicę, chodził, rozmawiał gestykulując, złościł się o coś, zbladł bardzo, nie była to zwyczajna rozmowa. Mistrz i Mango widzieli, że to nie przelewki, była to rozmowa ewidentnie nerwowa, tak spiętego i zdenerwowanego Doktora najprawdopodobniej nie widzieli nigdy, patrzyli na niego z niepokojem, a Doktor chodził, machał ręką, kręcił głową, złościł się.

Oj, niepokoiło ich to.

Toteż kiedy błady ze złości Doktor powrócił do stolika, Mango zapytał:

- Jakież kłopoty, Doktorze?

A Doktor nie odpowiedział. Napił się. Powiedział bez przekonania jakiś żarcik.

Zapadło milczenie.

- Nie podoba mi się tutaj - powiedział mistrz. - Może byśmy się tak przenieśli do Pięknego Psa?

\*

Porechotali sobie z bardzo typowego przeżyczenia mistrza i udali się na Rynek, do Zwisu.

Usiedli na zewnątrz, w ogródku.

Doktor niby rechotał jak i oni, ale tak jakby półgębkiem, jakby mniej. Ciągle pisał jakieś esemesy.

Dzień był piękny, najprawdopodobniej majowy.

Ludzie chodzili.

Przeszła pani z psem.

- No bo gdybym miał jakiegoś psa - mówił mistrz - to coś by mi przecież organizowało życie. Teraz bym mógł wstać, podziękować wam za towarzystwo, pójść do domu i zabrać psa na spacer. I byłoby normalnie...

- No pewnie - mruknął Doktor. - Tylko zmarnowałbyś, drogi sentymentalny kolego, to nieszczęsne zwierzę. Umarłoby z głodu i pragnienia. Kobitę byś sobie lepiej znalazł. Sana świecie takie, które nie dałyby ci się zmarnować. A jeszcze z tobą porządek by zrobiły.

- E - powiedział powątpiewająco mistrz i zamknął się. Miał już w życiu kilka kobiet. Kilkanaście kobiet. Kilkadziesiąt kobiet. Za niektórymi tęsknił, za niektórymi bardzo nie.

Podeszła do nich pani Zosia, zaszukana pracownica krakowskiej gastronomii, powitała serdecznie, na takich jak oni mówiła „nasi panowie”.

Zebrała zamówienia.

- I tak się pewnie pomyli - powiedział Mango.

Kto by to wszystko spamiętał.

W Zwisie był tłum. A tylko jedna pani Zosia.

W Zwisie trwała stypa po jakimś świeżo zmarłym kliencie, tutaj zawsze była jakaś stypa, zawsze ktoś niedawno zmarł, starzy koledzy zmarłego zajęli kilka stolików i jak to prawdziwi żałobnicy: śpiewali, krzyczeli, rozrabiali.

Przeszedł Szajbus, figurant terenowy, ale tym razem nikogo nie zaczepiał, wykonał tylko kilka agresywnych gestów, uniósł do ust manifestacyjnie ćwiartkę wiśniówki, upił porządny łyk i powędrował dalej. Widocznie on też miał tym razem czerwoną kartkę.

Siedzieli, patrzyli.

Szła młoda para z wózcikiem. Do wózcicka przymocowany był zielony balonik. Dziecko rwało się do chodzenia, więc ojciec wyciągnął je z wózcicka i zaczął, trzymając pociechę za rękę, powoli spacerować. Mistrza zawsze fascynowało przyciąganie ziemskie i jego dziwne oddziaływanie na dopiero uczące się chodzić dzieci, więc z pasją przyglądał się owemu stworzeniu i jego wędrowce.

Matka robiła dziecku i ojcu zdjęcia. Trzeba koniecznie dokumentować, wszystko trzeba dokumentować, bo potem przecież starość i śmierć nadchodzą, a takie zdjęcia pochodzące z beztrzęsłego, bezwietrznego, słonecznego dnia z przeszłości są jedynym argumentem przeciw starości i śmierci.

Tak pewnie podświadomie kombinowała ta młoda, obserwowana przez mistrza matka, chodziła i pstrykała, pstrykała, pstrykała.

A zielony balonik nagle oderwał się od wózka i powoli odfrunął, bardzo powoli, bardzo nisko.

Mistrz już chciał wstać, uchwycić balonik, oddać go szczęśliwej rodzinie, ale znienacka balonik wylądował przed zupełnie innym dzieckiem, troszkę tylko większym od prawowitego właściciela balonika. Znalazca uśmiechnął się, uchwycił balonik i powędrował z nim przed siebie. Jego rodzice nawet tego nie zauważyli, szli, rozmawiali. Dziecko uszczęśliwione dreptało, dumnie dzierżąc balonik.

Lecz przyszedł moment, kiedy fotografująca zauważyła brak balonika. Powiedziała coś gwałtownie do męża. Wsadziła pociechę do wózka, zaczęli się nerwowo rozglądać, wreszcie w oddali zobaczyli zielony balonik.

Wystartowali. Dopadli tamtego dzieciaka. Odebrali mu balonik. Powiedzieli kilka zapewne przykrych zdań rodzicom dzieciaka. Szczęśliwy znalazca zielonego balonika przestał być szczęśliwym znalazcą. Ryknął płaczem.

Mistrz przestał się przyglądać tej historii. Stała się brzydka i okrutna. Taka jak wszystko. A wszak dzień był ładny, takie historie

nie nadawały się na taki dzień. Zapraǳnął czegoś czystego, prostego. Więc napił się.

Znowu zadzwoniła komórka Doktora.

Doktor sprawdził, kto dzwoni, zbladł i tym razem nie odszedł od stolika. Nacisnął właściwy guziczek i warknął:

- Dzisiaj już nie chcę o tym rozmawiać. Zegnam!

Nacisnął inny odpowiedni guziczek i w ten oto sposób zakończył rozmowę.

- Zawracanie głowy - oświadczył i zaśmiał się, trochę nieszczerze, trochę sztucznie. - Nie dają posiedzieć z kolegami i na dziewczęta z balonami

popatrzeć spokojnie. Co za ludzie!

Komórka zadzwoniła ponownie.

Tym razem Doktor jednak wstał i oddalił się od nich. Chodził i gestykulował, rozmawiając.

\*

- No już. Stało się - powiedział Mango Głowacki, odprowadzwszy wzrokiem jakąś pannicę.

- Co takiego? - ocknął się z zadumy mistrz.

- Teraz już tylko interesują mnie młodsze ode mnie dziewczęta. Myślałem, że nigdy się do tego nie zniżę, a już się zaczynam zniżać. I w ogóle nie uważam, że się zniżam. Wręcz jestem tym zachwycony. Tym zniżaniem. Och, jakbym chętnie się dzisiaj pozniżał! - w tym momencie Mango Głowacki oblizwał wargi nadzwyczaj lubieżnie.

- Ależ proszę bardzo - zgodnie przytaknął mistrz.

- Nasze rówieśnice przestały być jakąkolwiek atrakcją. No co ja zrobię, że przestały? One mówią: nie znasz się na kobietach, nie rozumiesz kobiet. Wyłącznie o tym mówią. I patrzą uważnie. I chcą rozmawiać wyłącznie o swojej pracy. A jak się napiją, to chcą rozmawiać o swoich frustracjach. A co ja jestem? Spowiednik? Nasze rówieśnice kojarzą mi się już teraz wyłącznie z pretensjami. Mówię ci: młoda dziewczyna to dla nas ratunek.

Mistrz pokiwał głową i nie powiedział nic.

- Co pani robi dziś wieczorem? - wrzasnął Mango w stronę jakiejś przechodzącej obok dzierlatki. Prychnęła wzgardliwie, nie zatrzymując się.

Niezrażony Głowacki pobiegł za nią. Nie wiadomo, co jej nagał, ale po chwili dosiadła się do nich.

Z bliska wyglądała na jeszcze młodszą. Z lekkim znudzeniem słuchała tokującego Głowackiego.

- A rozpoznaje pani tego pana? - Mango wskazał nagle na mistrza.

Wzruszyła ramionami.

Nie rozpoznawała.

Niby czemu miałyby rozpoznawać?

- To przecież jest nasza gwiazdeczka, bohater serialu „Mały mistrz na tropie”. Nie poznaje pani?

Mistrz się wściekł. Już kilka razy Mango usiłował zaczepiać kobiety, posiłkując się wątpliwą sławą mistrza. Ostatnio zawsze bezskutecznie. Ta metoda była skuteczna wiele lat temu.

- Daj spokój - mruknął.

Mango opowiedział panience, o co mniej więcej chodziło w tym serialu.

- Nie chce pani od niego autografu?

- Daj spokój - powiedział wkurzony mistrz, a panienska zerknęła na ekran swojej komórki, przeprosiła, zerwała się i odeszła.

- Niech pani przyśle tu jakąś koleżankę. Tak ładną jak pani, ale grzeczniejszą! - krzyknął za nią Mango Głowacki.

Mistrz spojrzął z wyrzutem na restauratora, ale ten nic sobie z tego nie robił. Popatrzył na ciągle jeszcze rozmawiającego przez komórkę, gestykulującego nerwowo Doktora.

- Co on taki dzisiaj? - zaniepokoił się Mango. - Co się w ogóle z wami, chłopaki, dzisiaj dzieje? Jeden zaczyna nagle umierać. Drugi jakiś spięty, ciągle gada przez telefon. Co jest? Nie tak się umawialiśmy. Miał być piękny, beztroski dzień. Mieliśmy się w kimś zakochać albo przynajmniej porządnie napić. Bezstresowo. Co wy się, chłopaki, jak jakieś dziody zaczynacie zachowywać? Co się dzieje?

Mistrz nie znał odpowiedzi, mruknął coś i pozostawił Manga kiwającego się nad piwem przy stoliku. Poszedł do kiosku, papierosy się pokończyły, a jakże pić wódkę bez towarzystwa papierosów, więc koniecznie natychmiast należało uzupełnić ten bolesny brak.

Obok kiosku stał Doktor, tyłem do mistrza. Nie zauważył go.

Mistrz wcale nie podsłuchiwał. Nie należał nigdy do podsłuchiwaczy. Ale słyszał. Chcąc nie chcąc. A że przy okienku kiosku marudził jakiś przemiły, sklerotyczny ksiądz-staruszek, mistrz musiał stać, czekać i słyszeć to, co mówił Doktor do swojej komórki.

A Doktor mówił rzeczy następujące: Ja wszystko rozumiem, wszystko, proszę pana, rozumiem, ale to przecież zbrodnia... Nie robi się takich rzeczy... Tak, oczywiście, ludzie robią takie rzeczy, ale ja nie robię... Dotąd nie robiłem... Wiem, wiem... Tylko że to jest, jakby to, proszę pana, ująć, nieetyczne. Z pana punktu widzenia jest bardzo etyczne, z mojego wcale. Prawie wcale... Nie, nie, ja nie chciałem pana urazić... O, nie, proszę pana, jeżeli nawet to zrobię, to nie dlatego, że mnie Żółwińscy naciskają, nie zrobię tego też dlatego, że pan mnie szantażuje... Zrobię to dla świętego spokoju... Jeżeli, oczywiście, zdecyduję się to zrobić... Słucham? Pan mnie obraża. Żadnych pieniędzy, proszę pana... Wie pan co? Zadzwoń do pana wieczorem, z domu, teraz naprawdę to nie jest miejsce i czas na takie rozmowy... Tak? Do usłyszenia.

Doktor skończył rozmowę, odwrócił się i zobaczył stojącego tuż obok mistrza.

- Słyszałeś coś? - zapytał ze zmienioną twarzą.
- Czy ja coś słyszałem? - zapytał sam siebie mistrz.
- Niczego nie słyszałeś! - powiedział stanowczo Doktor.
- Niczego nie słyszałem? - zapytał mistrz.
- Zapomnij - zażądał Doktor.
- Już zapomniałem - powiedział mistrz. I zapomniał. Naprawdę zapomniał.

\*

I zapomniał. Natomiast przypomniał sobie zniecka, że w walizce wypchanej papierzykami na szafie w swoim mieszkaniu miał taki oto kuriozalny liścik:

„Witam. Zwracam się do Pana z propozycją czy nie chciałby Pan napisać dla nas tekstu wpisującego się w debatę na temat Polski. Roboczo debatę nazwaliśmy »Dlaczego Polska nie jest sexy?«. Oczywiście w Pana oczach Polska może być bardzo pociągająca. Tezy nie narzucamy :) (choć do tej pory wszystkie głosy były bardzo pesymistyczne...). Chodzi nam o tekst będący bardzo osobistym widzeniem Polski. Żeby lepiej Pan zrozumiał, o co nam chodzi, przesyłam głosy, które częściowo już ukazały się na naszych łamach i które jeszcze pojawiają się. Wśród autorów jest Andrzej Stasiuk, Stefan Chwin, Wojciech

Kuczok, Manuela Gretkowska, Cezary Michalski, reżyser Krzysztof Krauze oraz Krystian Lupa. Chodzi nam o tekst od pięciu tysięcy do dziesięciu tysięcy znaków. Nasza proponowana cena to dwa tysiące złotych. Jedyne szkopuł w tym, że zależy nam na tekście na bardzo szybko czyli najlepiej do niedzieli-poniedziałku. Pozdrawiam serdecznie.”

Liścik naturalnie nie był kierowany do mistrza, bo któż by chciał zasięgać jego opinii w tak poważnej kwestii, mistrz go po prostu przypadkiem w jakimś lokalu przed kilku laty znalazł pod stołem.

Lecz wzruszył się i przejął jego zawartością. Dawno już minął declajn, dawno już minęły ta niedziela, ten poniedziałek. Dawno już intelektualne bożyszczka wypowiedziały się, dlaczego Polska nie jest sexy, w tekstach od pięciu tysięcy do dziesięciu tysięcy znaków za dwa tysiące złotych. To wszystko wydarzyło się kilka lat temu najprawdopodobniej, a wciąż i wciąż ta karteczka powodowała wiele refleksji u naszego bohatera. Smutnych i pogodnych.

Właśnie w tym momencie przypomniał sobie tę karteczkę i pomyślał, że gdyby dzisiaj zapytał o to, czy Polska jest sexy, takiego na przykład Moralesa, dostałby po prostu w zęby.

Nie mógł też o to zapytać barmanki, ani pani w sklepie. Obraziłyby się w najlepszym przypadku. Nie mógł ze zrozumiałych przyczyn zapytać o to Doktora.

Oczywiście: rozkoszny pan Wiesław i nie mniej rozkoszny pan Grzesio chętnie by odpowiedzieli na to pytanie, ale niezbyt ciekaw byłby mistrz ich wypowiedzi. Zresztą bardzo łatwo byłoby je przewidzieć.

Stał w ciemniejącym pejzażu i w wielkim wietrze przed restauracją Stylowa i patrzył na Polskę. I stawiał sobie zupełnie inne pytania.

\*

- Gramy dzisiaj, pani kierowniczo?

- Pan wie, że bardzo bym chciała pana posłuchać. Od razu weseliej by było. Ale pan poczeka, to przecież nie ja decyduję. Zadzwoń do szefa i zapytam, panie Waldemarze.

Przy barze stał pan klawiszowiec, mężczyzna doświadczony. Na jego twarzy widać było tyle wesel, tyle dancinów, tyle nieszczęśliwych białych misiów, tyle już mi niosą suknię z welonem, tyle kaczuszek!

Dziewczyna wyjęła komórkę, odbyła krótką rozmowę, rozjaśniła się i od razu wiadomo było, że jest zgoda.

- To ja tu się niedługo zainstaluję, pani kierowniczo. I gramy!
  - zapowiedział pan klawiszowiec. - Dziękuję!
- Strzelił sobie pięćdziesiątkę i poszedł.

\*

Pan Grzesio wykonał jeszcze jeden telefon.

- Będą za pięć minut! - poinformował pana Wiesława, a ten przeczesał się pospiesznie.

- Dzwoni kiedyś do mnie, wyobraź sobie, jeden frend i mówi: „jest kaska do wyjęcia”. I opowiada, że z okazji Roku Wyspiańskiego prezydent miasta może dofinansować różne projekty związane z tym całym Wyspiańskim. Ja już miałem wcześniej cynk, że się różne zespoły nasadziły na tego Staszka i zagrały koncert z piosenkami napisanymi do tych jego, pozał się Boże, wierszy. I że ma wyjść płyta z tymi piosenkami. Elegancko. No to, pomyślałem szybciotko, czemu ja nie mógłbym trochę z tej kaski uszczknąć? Ciach-ciach przygotowałem CV i aplikację wysmażyłem jak należy, że mam taki projekt, że zrobię awatary postaci z tej jego sztuki „Wesele” w sekondlajfie. I ciach-ciach prezydent dofinansował, ja te chochoły i Rachele zaprojektowałem, i chodzą po sekondlajfie i recytują co lepsze kawałki^ tego „Wesela”. Robota żadna, a trochę pieniążka rzeczywiście wpadło. Czasem jak jakiś ukraiński poeta na stypendium przyjedzie, to mogę spokojnie poprowadzić z nim spotkanie, oni najczęściej bardzo dobrze mówią po polsku, więc nie ma problemu. Że Ukraina do Europy. Że my się tu z nimi solidaryzujemy. Łatwizna. Nie myśl sobie, że nie potrafię sobie poradzić z poezją i poetami. Sam nie piszę, ale gdyby mi się tylko zechciało... Ja nawet umiałbym poprowadzić spotkanie w Lokatorze z tym cudownym, hermetycznym poetą z Warszawy, Andrzejem Sosnowskim. Wystarczy pięknie się dziwić, a ja to potrafię. Ja naprawdę kocham go nie rozumieć. Generalnie poezja nie jest po to, żeby ją rozumieć. Poezja to jest szerszy projekt. To bardzo pięknie, że nasze władze zaczynają to centralnie kumać i dofinansowują. Już nie tylko Warszawa, ale i Wrocław, i Gdynia. Może i w Krakowie coś się ruszy. Na takiej nagrodzie poetyckiej albo festiwalu poetyckim można sobie ukręcić całkiem niezłe lody, mówię ci, to jeszcze nie do końca



wyeksplotowany teren, trzeba mieć projekt, wizję, dotację - i już.

Pan Grzesio, uspokojony rychłym przyjazdem ekipy telewizyjnej, mógł z większą łatwością wsłuchiwać się w przekaz pana Wiesława, toteż skomentował jego wypowiedź następująco:

- Jeżeli o mnie chodzi, to największym poetą polskim jest dla mnie Artur Rojek z zespołu Myslovitz. Jego teksty są dla mnie nieustającą inspiracją. No i na drugim miejscu Zbigniew Herbert, oczywiście.

- Trochę oldskulowy, ale cię rozumiem. Uczestniczyłem już kiedyś w jednym projekcie, dla którego inspiracją był Herbert. A i w tym roku jest dziesiąta rocznica śmierci pana Zbigniewa, więc jako widzej na pewno zrobię jakąś wizualizację zainspirowaną jego projektami, trzeba tylko jakieś podanko do wydziału kultury urzędu miasta wyskrobać... - zapalił się pan Wiesław. - No, ale gdyby ich dwu przeświecić genderem, to zwycięża naturalnie Arturek. Ale najbardziej uwielbiam i mam pełny szacun i czapki z głów dla mnemotechnicznego projektu Lipszycy.

- Aha - powiedział pan Grzesio i spojrzął na swoją komórkę. Zbyt długo była bezczynna. To nienormalne. Chciał do kogoś zadzwonić, ale nie miał pomysłu do kogo. Może do żony? Może do teścia?

Ale pan Wiesław nie pozwolił mu się nudzić. Miał wszak do opowiedzenia mnóstwo fascynujących historii, nasyconych jego prawdziwie postlewicową wrażliwością.

Opowiadał i opowiadał.

- A wiesz, kiedyś robiłem wywiady dla gazety, której nazwy, wy bacz, nie mogę ci wymienić. Zbyt wiele bolesnych wspomnień... I kiedyś, z łaski, zapytałem tego całego mistrza, czy by mi nie dał wywiadu. Żeby opowiedział o tym, jak był dziecięcą gwiazdą telewizyjną. Żeby przypomniał ludziom o tych swoich piętnastu żalonych minutach sławy. A on, wyobraź sobie, mówi, że nie chce. Odmówił! Odmówił człowiekowi, który zrobił wywiady nawet ze Sławomirem Mrożkiem, nawet z Krzysztofem Vargą!

Pan Grzesio sprawdził godzinę. Na zewnątrz było już całkiem ciemno.

Ale nie aż tak ciemno jak w miejscu, w którym przebywał teraz Doktor.

\*

Mistrz wrócił do Stylowej. Tak jakby wyczuł, że właśnie jest obgadywany przez pana Wiesława.

Brzydkie elektryczne światła.

Trochę więcej klientów.

Powrócił także Morales i mistrz zobaczył go, jak z pasją pałaszował jakieś wielkie danie. Dużo mięsa, dużo ziemniaków, dużo kapusty.

W rogu sali starszy pan z kozią bródką rozstawiał instrument klawiszowy. Nie był to pan mistrzowi całkiem nieznamy.

O Jezu, już kiedyś mistrz miał przyjemność uczestniczyć w niby-dancingu w lokalu Stylowa i o ile tamtego dnia występ starszego pana i jego żony-wokalistki rozczulił go i rozśmieszył, wiązanka nieśmiertelnych melodii ukołysała na jakiś czas jego rozedrgane ego, to jednak dzisiaj powtórka tamtego niezapomnianego wieczoru byłaby niestosowna. O Jezu!

Podszedł do baru.

\*

- O, wrócił - powiedział pan Wiesław. - Wrócił. On zawsze wraca. Denerwuje mnie to. Mógłby wreszcie zniknąć, zapisać się na śmierć. Kiedyś, parę lat temu, wysiadywał w starym Pięknym Psie z Patrycją Twardowską. Coś tam jej mówił. Usiłował wziąć ją na swoje kombatanctwo. Z niej to jeszcze wtedy niezła laska była i przebieg miała mały. Młoda i niedoświadczona. To ją uratowałem. Zostawiłem jej w barze liścik, w którym jej wyjaśniłem, że niepotrzebnie się zadaje z takimi nierozwojowymi starymi grzybami. Że owszem, na początku kariery być może jest to przydatne, też kiedyś mi jeden starszy, elegancki instruktor z domu kultury trochę w życiu pomógł, ale bez przesady. Ona już nie była wtedy nikim, ona już była po tym słynnym performensie, kiedy uprała polską flagę w najlepszym wybielaczu, więc była naprawdę już kimś. Więc napisałem jej, żeby nie gadła z tym grzybem, żeby raczej skumplowała się ze mną, z gostkiem, który ma jakiś projekt, jakąś wizję, jakieś przesłanie.

- I skumplowała się? - zapytał pan Grzesio.

- No, ja się nie podpisałem, żeby ten list był bardziej tajemniczy, ale ona prawdopodobnie jednak odgadła, że to ja napisałem. Od czasu do czasu rzuciła mi uśmiezki, takie wiesz... Raz ją

próbowałem zagadnąć, ale była na jakichś narkotykach, czy czymś tam, nie rozpoznała mnie. A potem zaraz wyjechała za granicę. Widocznie pojęła wszystko i wzięła sobie do serca moje przesłanie. I bardzo dobrze. Trzeba się rozwijać. Wbrew tym starym grzybom, którzy rzucają nam kłody pod nogi.

- Aha! Przepraszam cię, ale już są. Już są! - powiedział pan Grzesio i zerwał się z krzesła, i wybiegł z lokalu.

Zobaczył bowiem przez okno znajome telewizyjne auto. Zaczynało się to, co pan Grzesio lubił najbardziej. Prawdziwe, telewizyjne życie.

\*

Mistrz, nie doczekawszy się pani barmanki, podszedł nieśmiało do Moralesa. Trochę się krępował, trochę się obawiał, że Morales nie będzie mu przychylny, doskonale pamiętał to legitymowanie przed Styłową, ale odważył się, nie miał do kogo się przysiąść, a ląknął w tym momencie towarzystwa, cóż począć.

- Można?

- A siadaj pan.

- Dziękuję.

Morales przełknął to, co miał do przełknięcia, i powiedział:

- Zły byłem, to warczałem na pana. Nie gniewaj się pan. Już mi trochę minęło. Pospałem sobie, uspokoiłem się.

Mistrz przetrwał te niby-przeprosiny i zmienił temat:

- A wie pan, co tu się, jak pana nie było, stało?

- A co takiego?

- Ten, co właśnie wyszedł, znalazł na swoim samochodzie kartkę, że w samochodzie jest bomba. Poważnie.

- Niemożliwe! Bomba u nas? Co pan gada?

- No ja też nie za bardzo w to wierzę.

- Dlaczego nikt mnie nie informuje o takich rzeczach? Co tu się dzieje?

Wzburzony Morales wstał, pozostawiając nadjedzony kotlet, smętny pagórek poczerniałych ziemniaków i całkiem jeszcze pokazną ilość kapusty na talerzu.

- Chodź pan. Zobaczmy jak to wygląda.

\*

Pan Grzesio wycalał się z członkami i członkiniami ekipy. - Nareszcie, kochani, nareszcie. Naczekałem się na was strasznie długo na tym wygwizdowie. Mówię wam, jak tu ponuro i strasznie. A gdzie reszta?

- Nikt więcej nie przyjedzie - odpowiedział dźwiękowiec, Bogusław.

- Jak to? Tylko wy troje?

- Czworo! - powiedział ciemny baryton z wnętrza telewizyjnego auta.

Chwilę potem z auta wysiadł niewielki człowieczek z wyjątkowo wielką głową, odziany w paramilitarne ubranie, obwieszony przeróżnymi, bardzo profesjonalnymi, niezwykle ciekawymi gadżetami.

- Witam! - huknął głosem kompletnie nieadekwatnym do swojej nie-wielkości i serdecznie uścisnął dłoń pana Grzesia. - Kapitan Bernard Czacha.

- Oj, słyszałem, słyszałem. To pan ma być tą nową gwiazdą naszego nowego projektu SUPERCZACHA! Pracowałem nad wczesną fazą tego projektu i cieszę się, że to pan, a nie ten pyszałkowaty detektyw Józef Maria Dyduch, wygrał casting.

- Ja też się cieszę, bardziej się nawet cieszę, ale przyzna pan, że to, jak ten Dyduch rozwiązał zagadkę trzeciej rękawiczki...

- Chwila, chwila! - krzyknęła redaktor Marzena Małgorzata Malinowska, kobieta ładna i bardzo duża, głównodowodząca większości telewizyjnych projektów. - Mam taki projekt: niech kapitan jeszcze raz wysiądzie z auta i jeszcze raz przedstawi się Grzesiowi, tak? To było bardzo dobre. Takie życiowe. Tylko błagam was, bądźcie naturalni! Chodź tu na chwilę, na stronę, Grzesiu.

Pan Grzesio zbliżył się do niej, a ona wyszeptła:

- Bardzo dobrze. We właściwym momencie znalazłeś ten temat. Nie mówiłam ci, ale było mnóstwo telefonów do szefa, że masz obniżenie identyfikacji z firmą. Ludzie uważnie ci się przyglądają. Już niedługo mógłbyś mieć poważne kłopoty, już na twoje miejsce czają się młodszy, bardziej niż ty zdesperowani. A wiesz, ty to raczej Tomaszu Lis nie jesteś i u konkurencji nie przyjmą cię z otwartymi ramionami, tak? Powiem ci szczerze: byłeś już na wylocie, a tu, proszę bardzo! Tak trzymaj!

- A ty włącz szybko kamerę, tak? - głośniejszym głosem zwróciła się do operatora.

- A ja nie mógłbym? - pozazdrościł operatorowi pan Grzesio, też chciałby się wykazać.

- No chyba oszalałeś, przecież to w twoim aucie jest bomba, to tobie ma pomóc nasz dzielny kapitan. Ty, Grzesiu, tym razem jesteś nam potrzebny na wizji, tak? Przedstaw się kapitanowi i opowiedz mu, jaki jest twój problem. No to do roboty!

- To może ja już włożę kominiarkę? - zapytał gorliwie kapitan. Redaktor Malinowska pochwaliła tę koncepcję.

Kapitan Bernard przeczesał się, włożył kominiarkę i wszedł do auta. Redaktor Malinowska dała znak. Kamera ruszyła.

\*

Mistrz i Morales patrzyli na te wszystkie dziwy z niepokojem. Stanęli sobie w pewnej odległości od pracowników telewizji, palili papierosy i patrzyli.

Wiatr wiał.

Obok nich przystanąła zablakana kura i też patrzyła.

- Sodoma i Gomora - warknął Morales. - Popatrz pan no tylko, jak ten pajac się przebrał!

- Widzę, widzę - mruknął mistrz.

Znał tę panią redaktor, która przyjechała z ekipą telewizyjną, pamiętał dobrze, że kiedyś wkroczyła z impetem w jego życie, nie kojarzyła mu się jednak nazbyt przyjemnie. Była przez jakiś krótki czas narzeczoną Manga Głowackiego. Uśmiechnął się wzgardliwie, przypomniał sobie, że którejś pijanej nocy wylądowała nawet w jego łóżku, ale na szczęście nie wydarzyło się między nimi nic szczególnego. Na szczęście.

Przesunął się w głębszy cień, aby nie zostać zauważonym.

Właśnie przedziwna mała postać z dużą głową w kominiarce powoli i z niesłychanym dostojeństwem zbliżała się z jakimś kosmicznym sprzętem do auta pana Grzesia.

Za nią sunęła odważnie kamera.

- Cyrk, panie. Cyrk! Oj, bo zaraz ich wszystkich wylegitymuję i zrobię z tym bajzłem porządek! - fuknął Morales.

I aż zatrzęsł się z oburzenia.

Ze Styłowej wyszli, przywołani hałasem i telewizyjnym światłami, wszyscy klienci, niektórzy nawet nie poubierali się jak należy, pozostawiając wierzchnie okrycia w lokalu. Na samym czelu zgromadzenia znajdował się podekscytowany pan Wiesław.

Stali zgodnie na wielkim wietrze, półgłosem wymieniali uwagi. Nawet barmanka, nawet kucharka pojawiły się w drzwiach lokalu i przyglądały się z przejęciem akcji dzielnego kapitana Czachy.

A ten, posapując z przejęcia, badał auto swoimi niesłychanie profesjonalnymi urządzeniami. Trwało to już dość długo, a przecież w telewizji nic nie może trwać nazbyt długo, więc redaktor Malinowska podjęła decyzję.

- Teraz kamera na mnie! Szybciućko, kamera na mnie! - zażądała.

Zaczęła mówić do kamery, zmieniając swój głos na bardzo telewizyjny:

- Witam! Marzena Małgorzata Malinowska. Jesteśmy w małej podkrakowskiej miejscowości, która do tej pory nie zasłynęła niczym, nie zapisała się w żaden sposób w historii naszego kraju. Zwykła, podmiejska miejscowość, jak wiele innych. Dzisiejszy dzień jednak zmienił jej oblicze na zawsze. Nasza ekipa otrzymała dosłownie przed chwilą poufną informację o podłożeniu ładunku wybuchowego w aucie naszego pracownika, pana Grzegorza J. Czy jest to owoc zemsty za nasze bezkompromisowe dziennikarstwo śledcze? Czyżby i tutaj sięgały macki mafii? Kapitan Bernard Czacha, niestrudzony tropiciel zbrodni i przemocy, wkracza do akcji. Czy po raz kolejny udowodni swoją przewagę nad siłami zła? Czy uda mu się rozbroić groźny ładunek?

Na jej znak oko kamery ponownie przeniosło się na profesjonalną krzątaninę kapitana. Dwoił się i troił dzielny funkcjonariusz przy aucie pana Grzesia, przesuwał ostrożnie swoje tajemnicze, lśniące przyrządy, bacznie przyglądał się wszystkim elementom auta.

Redaktor Malinowska podeszła do kapitana.

- Co już wiemy, kapitanie? - zapytała.

- Jeszcze nic - odpowiedział kapitan. - Ale się dowiemy. Przyrzekam. Ładunek zostanie odnaleziony i rozbrojony. Nie ma innego wyjścia.

- To straszne! - bardzo głośno powiedział stojący nieopodal pan Wiesław i zakrył dłonią oczy.

Pani redaktor Malinowska zareagowała natychmiast, wiedzona nieomylnym, śledczym instynktem. Wraz z kamerą zbliżyła się do grupki mieszkańców.

- Jak państwo się czujecie w tej chwili, znajdując się w tak bezpośrednim zagrożeniu?

Pan Wiesław już miał się wypowiedzieć, już witał się z gąską, gdy zaglądający pod samochód kapitan Czacha krzyknął:

- Jest! Znalazłem, znalazłem!

Kamera natychmiast powróciła do niego.

Kapitan bardzo ostrożnie pomajstrował przy podwoziu i pokazał do kamery niewielkie, prostokątne pudełeczko.

Objaśnił, posługując się wieloma bardzo fachowymi terminami, co to za ładunek wybuchowy i co z nim teraz zrobi.

Redaktor Malinowska zadała mu szereg szalenie interesujących pytań bardzo rosemocjonowanym głosem, kapitan odpowiedział na nie wyczerpująco.

Pan Grzesio położył rękę na sercu i jął bardzo ciężko oddychać.

Chwila doprawdy doniosła.

Kapitan, poprosiwszy, aby ludzie oddalili się jeszcze bardziej, począł grzebać przy bombie.

Kamerzysta, dźwiękowiec i pani redaktor z poświęceniem towarzyszyli jego działaniom. Napięcie narastało. Trwało to dłuższą chwilę.

Aż nagle w krąg telewizyjnych świateł wpadł jakiś człowiek.

- Luudzieeee! Na pomoc! Zabili! - krzyknął przeraźliwie brzydki, zaniedbany miejscowy pijaczek, zamachał rękami i usiadł na ziemi.

## rozdział szósty

- Zanikasz nam, mistrzu!

- Tracimy cię!

Mistrz otworzył oczy i uśmiechnął się. Dwie znajome buzie tuż obok. Nie wiedział, co powiedzieć, więc zapytał o godzinę.

- Siedemnasta zero jeden.

- Już siedemnasta zero jeden?

- Teraz już siedemnasta zero dwa.

Mistrz powrócił do kolegów.

Siedzieli nadal w Zwisie, żywi, spoceni, nadal świeciło słońce, nadal trwał wiosenny, leniwy dzień.

- Nie zaczynaj znowu nam tu umierać, bo to już nudne się zrobiło - zaproponował przyjaźnie Mango Głowacki. - Napijmy się! Mimo że zagłuszają!

Na Rynku panował duży hałas. Rynek zawsze był głośnym miejscem, ale w tym momencie natężenie dźwięku było nie do zniesienia.

Pod Ratuszem siedział długowłosey, uderzał w struny gitary i beczał w stronę mistrza donośnie: „W życiu piękne są tylko chwile...ee...”.

A dobry Prezydent Miasta Profesor Jacek Majchrowski patronował tego dnia popisom młodzieży na deskorolkach. Odtwarzano głośną muzykę mechaniczną, a młodzież w dziwnych spodniach i czapkach tłukła swoimi deskami, utrudniając nieco rozmowy ludziom nie zainteresowanym ich wygibasami, ale za to sprawiając niesłychaną frajdę krążącym z aparatami fotograficznymi starszym, przemiłym panom, a nawet jeden uroczy, zabłąkany ksiądz przyglądał się harcom młodzieży z ewidentnym rozrzewnieniem, błogosławiąc dobroć, wyrozumiałość i przenikliwość Prezydenta Miasta.



Doktor przestał się oszczędzać w tym hałasie, pił na potęgę, pił bez umiaru, poszedł do bankomatu, wrócił z plikiem banknotów i weszli dzięki temu w droższe alkohole, znaczy się jacka danielsa. Doktor z czterema kostkami, mistrz zjedna. Mango mieszał danielsa z colą, co było świętokradztwem i kazirodztwem, ale w tym momencie było im już wszystko jedno, nawet nie upomnieli Manga Głowackiego, nawet nie zaprotestowali, siedzieli nad swoimi szklaneeczkami i o czymś rozmawiali. O czymś tam. O inwazji kurew z Olkusza. O reaktywacji kultowego i magicznego zespołu Biały Kiel, w którym przed laty grali Doktor i Mango, a mistrz był owego zespołu admiratorem i powiernikiem. O tym, że nigdy nie będą tacy jak te tam o siedzące stare, zwisowe dziady, że lepiej umrzeć młodo niż pędzić taki jak oni żywot.

Komórka Doktora zadzwoniła po raz kolejny tego dnia. Jednak tym razem nie odebrał. Zacisnął ją w pięści i powiedział:

- Zobaczcie, co robię. O! - tu Doktor najzwyczajniej na świecie pierdolnął (inaczej, mniej brutalnie, nie da się tego, co uczynił Doktor, określić), najnormalniej pierdolnął komórką o bruk.

- Hohoho - powiedział mistrz. - Nie spodziewałbym się tego po tak przyzwyczajonym do dóbr materialnych koledze.

- A zobacz - powiedział Mango Głowacki. - Patrz uważnie! Zdjął z ręki swój zegarek i nadepnął go ciężkim buciozem. Coś chrupnęło.

Mistrz pomyślał, że obaj na pewno jutro kupią sobie nowe, lepsze modele, a Mango w tym czasie perorował:

- Widzisz? Nie tylko ty żyjesz w innym świecie, poza czasem. Poza dobrem, złem i społeczeństwem. My z Doktorem także potrafimy!

- Jak nam się zechce! - oświadczył Doktor. - A jak nam się nie chce, to żyjemy ze społeczeństwem. Bo, najserdeczniejszy ty nasz kolego, czasami nasze społeczeństwo jest wyjątkowo atrakcyjne. I warto z nim żyć. Zaraz ci zademonstruję.

Tu wstał i krzyknął na cały Zwis:

- Lola, pozwólże no tutaj do wujków!

I dziewczę, bardzo udatnie przebrane za kobietę, stukając wyraziście ciężkimi obcasikami, przybliżyło się do ich stolika.

- Panowie pozwolą że przedstawię: oto Lola. Kwiat młodzieży. Kwiat kwiatu młodzieży. Ma się rozumieć, nie jestem żadnym jej wujkiem, ale znam bardzo dobrze jej ojca, skończyliśmy to samo

prestżowe liceum, on oczywiście wcześniej, ale bardzo się kolegowaliśmy, byłem na jego ślubie, a potem zostałem ojcem chrzestnym tej oto panny i dumny jestem, że Lola i jej urocza siostra Julia mówią do mnie per wujku. Dumny jestem również z tego, że moi szkolni koledzy mają aż tak dobre geny. Zerknijcie proszę: oto jest krew z krwi, kość z kości, ciało z ciała mojego kolegi. Moja szkoła. Moja klasa. Cudne, naprawdę cudne geny.

Nawet mistrz wyprostował się na swoim krzeselku. Dziewczę przychodziło z zupełnie innego świata. To było jasne nawet dla mistrza, którym wszak wielokrotnie rzucało po różnych światach, który często świata od świata nie był w stanie odróżnić.

Doktor, świadomy wrażenia, jakie Lola zrobiła na jego kolegach, kontynuował z dumą:

- Zanim, Lolu, odezdziesz się do tych dwóch starszych panów, pozwól, że wprowadzę ich w twój dziewczęcy świat. Oni patrzą, a nie widzą. Oni nie rozróżniają szczegółów. Im trzeba tłumaczyć. Otóż drodzy koledzy, uruchomcie proszę wszystkie swoje zmysły. To, czym Lola pachnie, to landrynki albo krówki i karmel, to coś słodkiego, naiwno-dziewczęcego, ale jest to naturalnie zabieg zamierzony, w który wkłada mnóstwo ciężkiej pracy. Ubiera się też landrynkowo, lubi róż i czerwień albo jakieś lamparcie cętki, przezroczystości, skóry i tak dalej. Fasony ubrań zdecydowanie burdelowo-buduarowe. Pończoszki, gorseciki, krótkie spódniczki lub spodenki, dekolty, obcasiki, kozaczki i świecidełka. Jest to kicz, ale kontrolowany w miarę. Wszystko ma drogie i w dobrym gatunku, bo rodzice pieniądze mają i nie żalują ich na córcine zachcianki. Spójrzcie uważnie i zauważcie, że figurę ma Lola pełną, w typie Scarlett Johansson. Duży biust i duża pupa. Włosy kręcone blond, do ramion mniej więcej, oczy niebieskie, duże, nosek zadarty, usta pełne. Uszanujcie to dziewczę, uszanujcie jej dokonania w upiększaniu naszego świata, bardzo was proszę.

Mango uśmiechnął się szeroko. Na taki moment czekał cały dzień. Kto wie, może nawet całe życie?

- A czego się, córuś, napijesz? - zapytał i wyjął portfel. Ale nie otworzył go jeszcze. Cekał, patrząc z uwielbieniem na nosek Loli.

- Kolki z wódeczką, wujku, z takim cieniutkim plasterkiem cytrynki i dużą ilością lodu. I ze słomką. Jak jest różowa, to z różową - oświadczyła Lola i zachichotała.

Doktor zaoponował pospiesznie:

- Ale może nie za dużo tego lodu, dziecko. Powinnaś dbać o gardziółko. Pozwól, że osobiście będę nadzorował przyrządzanie twojego drinka.

Wstał i nie zważając na to, że Mango chciał być fundatorem, nie czekając na kelnerkę, panią Zosię, udał się do baru.

Zapadła cisza. Lola bawiła się biżuterią. Mistrz zaglądał do swojej szklanki, a Mango zatapiał spojrzenie w dekolcie Loli.

To nie jest tak, że nie mieli śmiałości do kobiet. Mango Głowacki miał legendarną, gigantyczną śmiałość do kobiet, lecz w tym momencie po prostu czaił się jako ten tygrys do skoku.

Natomiast mistrz miał śmiałość do kobiet, ale nie do takich kobiet jak Lola i nie w tej fazie upojenia alkoholowego.

Siedzieli więc sobie i milczeli.

Cisza nie trwała zbyt długo, bowiem bardzo szybko Doktor powrócił, postawił przed dziewczęciem szklankę zawierającą colę, wódkę, cytrynę, lód i czarną słómkę, i powiedział z emfazą:

- Wypadałoby was przedstawić, żeby sobie dziewczyna nie pomyślała, że z byle dziadami siedzi. Ten nieowłosiony pan to Mango Głowacki, przed laty klawiszowiec w zespole, w którym grywał również twój skromny wuj, kiedyś zapoznam cię z naszymi dokonaniami, choć wiem, że tobie w głowie tylko electro, smooth jazz, jakieś r'n'b i inne takie. Obecnie Mango jest restauratorem, może znasz taką oldskulową knajpę, co się nazywa Biuro... to jest bliżutko Pięknego Psa. Uważaj, to jest pies na kobiety, z nim nie ma żartów...

Lola zachichotała ponownie i przypatrywała się teraz Mangowi z o wiele większym zainteresowaniem. Poprawiła się na krześle i westchnęła, unosząc swój oszalałający biust.

A potem klasnęła w rączki. I kiwnęła główką. I przeniosła swe jasne spojrzenie na skulonego mistrza.

- A ten drugi jegomość - objaśniał Doktor - to nasz nieszczęsny, zagubiony, małomówny kolega, mistrz. Kiedyś był wybitnym aktorem dziecięcym, teraz jest największym abnegatem w tym mieście. Nie powiem, trochę uroku jeszcze w nim pozostało, ale przebywa obecnie w stanie katatonii. Jak jeszcze trochę się napije, może się ożywi i opowie ci jakąś historię o dawnych czasach. Na razie jednak skup się na nas dwóch.

Lola spoglądała na mistrza, szukając tego pozostałego uroku chwilunię jedynie. Widocznie nic nie znalazła, gdyż momentalnie przestała się nim interesować i z powrotem wlepiła błękitne oczęta w Manga.

- Skupiam się na panu - uśmiechnęła się do Manga rozkosznie i poprawiła spódniczkę.

A potem, nadal nie spuszczać oczu z oczu Manga, zaczęła opowiadać:

- Obudziłam się dzisiaj bardzo wcześnie rano...

- Ranny ptaszek! - wszedł jej w słowo rozanielony Mango.

- Jak ranny, to trzeba opatrzyć! - skomentował Doktor.

- Obudziłam się dzisiaj bardzo wcześnie rano - niezrażona powróciła do tematu Lola - i pomyślałam sobie, jak to by było miło cię spotkać, Doktorze... Jest taka piosenka, co wokalistka w kółko śpiewa „znajdę cię”. I proszę bardzo, było jak w tej piosence: znalazłam cię. Jak jakiś magnes mnie przyciągnął. Już miałam iść inną stroną Rynku, ale pomyślałam sobie: a może mój ulubiony lekarz siedzi w Zwisie?

- Och, to nie tylko Doktor, to także ja panią starałem się przyciągnąć, choć jeszcze pani nie znałem, jeszcze nie spodziewałem się, że pani istnieje, ale już przeczuwałem - Mango rozanielał się coraz bardziej.

- No ja właśnie zauważyłam, że mężczyźni bardzo lubią ze mną siadać. I nie tylko siadać, jeśli wiecie co mam na myśli - Lola uśmiechnęła się lobuzersko i powiodła wzrokiem po twarzach obecnych. - Tylko nie zawsze tak chętnie stawiają jak panowie. Bo panowie to mają klasę, nie to co ci moi koledzy. Gołodupce. Przepraszam za brzydkie słowo. Oni najpierw ode mnie pożyczają, a dopiero potem stawiają. A jak już postawią za te moje pieniądze, to nadymają się jak indory i od razu myślą, że ja z nimi zaraz hi hi do łóżka pójdę, kiedy ja na pierwszej randce to co najwyżej do buzi, no bo trzeba się szanować. Chociaż trochę, prawda?

Lola siorbnęła z wdziękiem z dna szklaneczki, potem wydłubała kostkę lodu i włożyła ją sobie do ust. Potem wyjęła, obejrzała, a potem znowu włożyła. Trzej mężczyźni nie odrywali od niej wzroku. Ale milczeli. Widać każdy szukał jakiejś błyskotliwej riposty.

- Powiedziałaś coś nie tak? - Lola przerwała ciszę.

Spojrzała na Doktora niepewnie niebieskimi, niewinnymi oczętami.

Doktor manifestacyjnie przeżegnał się. Mango poczerwieniał. Mistrz, rozbawiony całą tą sytuacją, niechcący przewrócił swoją

szklaneczkę. Nie za wiele tam już miał, ale jednakowoż trochę się wylało na stół i na spodnie mistrza, szkoda. Wielka szkoda.

Przeprosił towarzystwo i wybrał się do toalety. Przybytek ów mieścił się w bramie obok. Trzeba było wziąć kluczyk z baru. W barze nie było kluczyka.

- Ktoś tam pewnie jest - powiedział pan barman.

Mistrz udał się do bramy.

Zapukał w odrapane drzwi.

Nic.

Sprawdził: zamknięte.

Stał.

Czekał.

Nagle poczuł się tak, jakby był naprawdę śmiertelny. Takie bezsensowne czekanie nastraja do takich myśli.

Tam, w kawiarnianym ogródku, toczyło się wesołe, normalne życie. Koledzy flirtowali z młodym, świeżym i nieskażonym, uroczo wulgarnym dziewczęciem. Ludzie chodzili, robili sobie zdjęcia i różne przyjemności. Młodzież w odwróconych daszkami do tyłu czapkach czyniła przeróżne akrobacje na swoich deskach w rytm nieludzkiej muzyki.

A tu, za tymi drzwiami, być może stał jakiś anioł z mieczem płonącym albo też inna tego rodzaju apokaliptyczna istota, przygotowana, aby wymierzyć karę mistrzowi.

Mistrz oparł się o szorstką ścianę i czekał.

\*

A potem drzwi otworzyły się z cichym skrzypieniem same i wewnątrz nikogo nie było. Tylko szarobiła próżnia.

Mistrz postął przed sedesem, pomedytował, postął przed umywalką, zmoczył włosy zimną wodą.

Ochłonął.

Wszystko w porządku?

Żadnych potworów, żadnych upiornych zwierząt, żadnych olbrzymich owadów, żadnych groźnych aniołów, próżnia.

Próżnia też może być straszna i bolesna, ale próżnię mistrz miał już trochę opracowaną.

Zapałił papierosa, wyszedł z toalety i powrócił do towarzystwa.

\*

Do stolika podszedł pan w bieli.

Uklonił im się, puścił oko do Loli, ona zachichotała porozumiewawczo.

- No i co? A nie mówiłam, że uda mi się przytrzymać Doktora? Dobra jestem?

- Jesteś cudowna, Lolu - powiedział pan w bieli i ucałował jej rączkę, a Lola skromnie spuściła oczka.

Następnie pan w nieskazitelnej bieli bezceremonialnie dotknął ramienia osłupiałego Doktora.

- Bardzo przepraszam, ale muszę na chwilę porwać państwu tego pana. Pozwolą państwo?

Doktor wytrzeźwiał natychmiast.

- Nie dacie mi spokoju? Mówiłem przecież, że porozmawiamy w spokojniejszych warunkach.

- Bardzo pana proszę - powiedział pan, z naciskiem na „bardzo”. Żadnego sprzeciwu ze strony Doktora nie przewidywał.

Doktor jęknął, z żalem wstał i poszedł wraz z panem w bieli. Mistrz popatrzył z niepokojem na dwie oddalające się sylwetki. Jakiś taki intuicyjny niepokój. Nie wiadomo co.

Padł cień.

\*

Mistrz zniecka znalazł się w ciemnościach. Znał drogę. Nie wiadomo, skąd ją znał, lecz szedł pewnie. Ciemność była tak gęsta, że równie dobrze można by było iść z zamkniętymi oczami.

Błoto mlaskało pod stopami.

- Najprostsze wyjście - myślał mistrz - oszaleć. Przestać kontrolować sytuację. Położyć się na fali. Dać się ponieść. Stracić wszystko. Stracić resztki kręgosłupa, stracić wszystkie bezpieczniki. Zagłębić się w morzu alkoholu i już nie wrócić. Zamieszkać z potworami i aniołami. Wtedy już nie byłoby niczego, czego można by się bać. Wszystkie strachy związane są z tym tutaj światem. Z Polską. Z Ziemią. Wyzwolić się od tego. To byłoby bardzo wygodne.

Takie myślenie uspokoiło mistrza na chwilę. Bo, prawdę mówiąc, czuł lęk. Lęk ogromny.

Fala lęku cofnęła się, lecz za chwilę powróciła.  
Ktoś szedł wraz z mistrzem przez ciemność.  
Ktoś dyszał.  
Wiał wiatr.

\*

Doktor powiedział:

- Ale po co użył pan tej dziewczyny? Po co pan ją do tego mie-  
sza? Przecież mówiłem, że dzwoniemy się wieczorem.

Pan powiedział:

- Woląłem się zabezpieczyć. Czas płynie. A pan jeszcze nie  
udzielił odpowiedzi. Pan odsuwa ten moment. Pan się wymyka.  
Skąd mogę mieć pewność, że wieczorem nie wyłączy pan telefonu,  
tak jak wczoraj? Poprosiłem ją, żeby pana odnalazła i przytrzymała  
do momentu aż się zjawię. Bardzo grzeczna dziewczyna. Pojawiła  
się dzisiaj nie tylko dlatego, żeby pana zatrzymać, pojawiła się rów-  
nież po to, żeby miał pan świadomość, że wiemy o wszystkim, co  
pan z nią kilka miesięcy temu robił. Bardzo chętnie nam o tym  
opowiedziała. Bardzo śmieszne rzeczy opowiada. Ojciec chrzestny!  
A takie uroczę świństewka! To prawie kazirodztwo, prawda? I jak ją  
ładnie poprosimy, to jest w stanie opowiedzieć o tym wszystkim  
każdemu. A nie każdy chciałby o tym usłyszeć, prawda? Tak. I jak  
brzmi pana odpowiedź?

Doktor powiedział:

- Wie pan, że nie powinienem tego robić. Że to nieuczciwe.

Pan powiedział:

- Dla nas natomiast to jest bardzo uczciwe. Zrobi to pan. Sam  
pan wie, że może to i nie jest dla pana przyjemne, ale będzie panu  
jeszcze bardziej nieprzyjemnie, kiedy dojdziemy do władzy.

Doktor powiedział:

- Zrobię to. Chyba mnie pan przekonał. Nie podoba mi się to,  
ale to zrobię.

Zatrzymali się przy lodziarni. Pan stanął w krótkiej kolejce i ku-  
pił sobie loda. Doktor nie miał najmniejszej ochoty na lody, odmó-  
wił. Doktor miał ochotę wyłącznie na to, żeby ten pan sobie już  
poszedł.

Szli ulicą Sławkowską. Pan skupił się na lizaniu. Cały się temu  
lizaniu poświęcił, poniosło, pochłonęło go to lizanie. Zanim nie  
wyliział wszystkiego, nie odezwał się ani słowem.

Czy mogę dostać od pana na piśmie, że zrobi pan to, o co pana prosimy? - zapytał pan, wytarłszy ręce w białą chusteczkę.

- Dlaczego? - zapytał Doktor.

- Nie owijajmy w bawełnę - powiedział pan w bieli. - Cyrograf, proszę pana, cyrograf musi być. Po cóż by była cała ta zabawa, gdyby nie było cyrografu?

\*

A oni pozostali przy stoliku.

Mistrz zapadł się w siebie i alkohol.

Mango tokował, Lola rechotała.

Nie wydarzyło się już nic szczególnego.

Mistrz w pewnym momencie uznał, że bez Doktora nie ma zabawy. Mango znalazł już sobie nowy obiekt do zakochania, skupił się na owym obiekcie całkowicie, skończyło się leniwe siedzenie w słońcu i gawędzenie. Mango całym sobą wyrażał zainteresowanie Lolą, więc mistrz poczuł się kompletnie niepotrzebny w tym miejscu i w tym momencie, więc wstał i poszedł do domu.

- Kompletny brak wyczucia - myślał po drodze, lekko się zataczając, mistrz. - Kompletny brak wyczucia, przecież ta panienska zrobiła jakąś krzywdę Doktorowi, nasłała na niego człowieka, z którym Doktor nie chciał się spotkać. Kompletny brak wyczucia, jak ten Mango może się z taką zadawać?

Ale z drugiej strony, to nie była sprawa mistrza. Już niewiele na tym świecie było jego sprawą.

Wrócił do domu, przykrył się kocem i znieruchomiał. Miał otwarte oczy, lecz patrzył w nic. Patrzył w ciemność.

\*

Pani w sklepie spożywczym zamknęła się od środka. Pogasiła wszystkie światelka, prócz jednego, ponad kasą. Podliczyła gotówkę. Wszystko się zgadzało. Odetchnęła z ulgą.

Ktoś jeszcze przed chwilą dobijał się do drzwi sklepu, ale nie otworzyła, nie sprawdziła nawet, kto to i w jakiej sprawie stuka do drzwi.

Koniec na dzisiaj.

Jak koniec, to koniec.



Jak zawsze już po godzinie siedemnastej zaczynały się powolne przygotowania do nocy. To była przecież bardzo mała miejscowość. Tu wszystko było inaczej. Wszyscy, którzy mieli zrobić zakupy, już dawno je zrobili. Wszyscy, którzy mieli coś do zrobienia, już dawno to zrobili. Wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia, już to powiedzieli. Tutaj naprawdę o siedemnastej dzień chylił się ku końcowi, a kiedy nadchodziła godzina dziewiętnasta, wszyscy, oprócz kilku zaprzysięgłych bywalców Stylowej, byli w domach. Jedli kolację i przyglądali się prawdziwemu światu w telewizji. A potem szli spać. A kury szły spać razem z nimi.

Zamknęła szufladę kasy. Zgasiła światło. W półmroku doszła do drzwi wyjściowych, otworzyła je i krzyknęła.

Ktoś stał po drugiej stronie drzwi.

Ktoś groźny.

- Z powrotem do środka - odezwała się postać bardzo znajomo-głosem. - I nie zapalać światła!

\*

Szli, szli. Jak stado zombich. Przez ciemności, przez wiatr, przez czarne, błotniste ścieżki. Było ciemno, dopiero teraz można było stwierdzić, jak niewielu mieszkańców jest w tej chwili w tej okolicy, większość okien była ciemna. Gdzieś tam tylko jakieś słabe światło lub siny poblask telewizora.

Na przedzie szedł miejscowy pijaczyna, ten, który coś widział, jakieś zwłoki, a może tylko to zmyślił, ale mimo wszystko brzmiał bardzo przekonująco, więc poszli wraz z nim jako przewodnikiem w ciemność i wiatr.

Jako się rzekło: na czele pochodu zombich szedł pijaczyna, potem szli przedstawiciele telewizji komercyjnej, niosąc swój sprzęt, za nimi podskakiwał nerwowo kapitan Czacha, załamany tym, że odnalezienie przez niego ładunku wybuchowego w aucie pana Grzesia zostało zakłócone przez jakieś zwłoki, szedł trochę załamany, ale zarazem trochę podniecony nowymi możliwościami wykazania się, potem pan Grzesio i Marzena Małgorzata Malinowska szli, rozmawiając półgłosem, pochód zaś zamykała powiększająca się coraz bardziej grupka miejscowych, a na samym końcu leżli Morales i mistrz.

O dziwo, wędrówka wcale nie trwała tak długo, jak wydawało się wszystkim, jak się na to zanosilo.

Doszli za ledwie do domku letniego, należącego przed laty do Doktora, tam pijaczek zatrzymał się, zaszlochał, przeżegnał się i ręką pokazał stojącą za domkiem starą szopę:

- Tam, Jezusiemaryjo, to tam! Ja tam już nie wejść, ja tylko was tu przyprowadziłem, ja tam już nie chcę wchodzić! Ja już to widziałem, nie wejść tam za nic!

I jeszcze raz się przeżegnał i splunął.

\*

Mistrz w zadziwieniu patrzył na tę całą sytuację. Nie rozumiał niczego. Znajdowali się obok domu Doktora, a dom Doktora kojarzył mu się wyłącznie z Doktorem.

Czyżby znowu po kilku latach mieli odnaleźć tu jego zwłoki? Bo czyjeż zwłoki miałyby się tu znajdować?

Czyżby to koszmarny sen jakiś był?

Czyżby śmierć Doktora została zawieszona w czasie i miała się powtarzać ciągle?

Takie dziwaczne myśli błędziły uparcie po głowie mistrza. Na jego usprawiedliwienie należałoby wspomnieć, że umęczony był tym dniem niezwykle. Cały ten dzień nienormalny jakiś był. Poprzednie dni były zwykłe i monotonne, wypełnione alkoholem, wyprowadzaniem na spacerki suki, leniwymi rozmowami, z których nic nie wynikało, aż tu nagle nastąpiło anormalne przyspieszenie.

Mistrz razem z milczącym Moralem zatrzymali się w pewnej odległości od pozostałych. Zapalili po papierosie.

Tłumek gapiów zaszemrał.

Do szopy wpadli jako pierwsi redaktor Malinowska z operatorem i kapitanem.

Wydali szereg okrzyków.

Po chwili podekscytowany kapitan Bernard pojawił się w wejściu do szopy i patetycznie oświadczył, że rzeczywiście wewnątrz znajduje się nieżywy człowiek.

Poprosił ludzi o nieuleganie panice. Ale oni wcale nie byli spanikowani. Oni byli zaciekawieni.

Poprosił ludzi o rozejście się, ale nikt się nie rozszedł.

- A kto on jest, że tak się mądrzy? - zapytał ktoś mistrza, wskazując na znikającego ponownie w szopie kapitana.

Mistrz wzruszył ramionami.

Posępny Morales objaśnił pytającemu:

- A to jakiś buc z telewizji. Włożył ten dziwaczny mundurek i szpanuje.

- Ale czy on jest z policji?

- A kto go tam wie? - mruknął Morales. - Raczej mi na jakiegoś emerytowanego wojskowego wygląda.

Nadbiegł truchcikiem zaferowany pan Grzesio.

- Tam naprawdę są zwłoki! Coś straszego!

- Ale czyje? - zapytał ktoś z gapiów.

- No nie wiem, ludzkie - pisnął pan Grzesio i zwrócił się do Moralesa:

- Ale to przecież pan jest z policji! Niech pan pomoże kapitanowi w zabezpieczeniu miejsca zbrodni!

- Ja? Z policji? Co pan mi tu imputuje, panie! - oburzył się Morales.

Było to oburzenie niezaprzeczalnie święte.

- Kto panu nagadał takich świństw o mnie? Ja? Z policji? Pańtracie państwo, jak obrażają przyzwoitego rencistę! Jak ja bym był z policji, to by tu był porządek!

Pan Grzesio rozdziawił buzię.

Ktoś z obecnych powiedział półgłosem:

- Hm. Ormowiec to nie policjant.

- Który to powiedział? - rzucił się Morales.

Ktoś zachichotał.

A potem z oddali usłyszeli przybliżający się sygnał. Nadjeżdżała prawdziwa policja.

\*

Dziewczyna zapytała:

- A ty?

- Co ja?

- A ty spotkałeś kiedyś kogoś, o kim pomyślałeś od razu, że to właściwa osoba?

- E, nie.

- Szkoda. Przyjemnie by było teraz, na koniec dnia pracy, posłuchać jakiejś cudownej, miłosnej historii. Nie rozmawiajmy o tym

morderstwie, to okropne, wszyscy o tym pewnie w tej chwili rozmawiają. Za jakieś dziesięć minut przyjdzie moja zmienniczka, klientów oprócz ciebie nie ma żadnych, myślałam, że po tym kosztownym dniu usłyszę coś wzruszającego. Możesz nawet kłamać. Tak, tak. Wymyśl coś dla mnie. A ja cię w nagrodę...

Położyła palec na ustach.

Wszedł Morales.

Wielkimi krokami podszedł do baru i, nie patrząc nawet na mistrza, zamówił setkę czystej. Chwycił ją, wychylił, zapłacił, wyszedł.

- Przypomniałem sobie - powiedział mistrz. - Będzie prawdziwa historia. Ale dość długa.

- Tym lepiej.

- No i nie wiem, czy można ją nazwać miłosną.

- Opowiedz ją tak, żeby była miłosna.

- Oj, straszne ma pani wymagania - westchnął.

- Och, żebyś wiedział, jaka ja potrafię być wymagająca.

Mistrz rozłożył bezsilnie ręce.

Postawiła przed nim szklaneczkę z Jackiem danielsem.

- No, opowiadaj. Tylko żeby nie było w tej historii żadnych trupów!

- Ale smutna może trochę być? Ale i wesola?

- Ale nie przesadzaj z tym smutkiem.

- Postaram się.

Podsunęła mu jeszcze bliżej szklaneczkę:

- No, opowiadaj.

Chrząknął, napił się i zaczął:

- Oczywiście: działo się to bardzo dawno temu, hohoho, zaraz zastanowię się, w którym roku, no, to było w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym, na wiosnę. Niby wiosna, ale bardzo chłodny dzień, bardzo chłodny.

- Byłeś wtedy bardzo młody i bardzo przystojny?

- Hm.

- Powiedz, że byłeś szalenie przystojny, historie z przystojnymi bohaterami są o wiele ciekawsze.

- No, może, hm, w każdym razie byłem przystojniejszy niż teraz. Na pewno. Ale w tej historii występują przystojne osoby, więc niech się pani nie niecierpliwi.

- No dobrze. Opowiadaj, opowiadaj.  
- Wiosną tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, proszę pani, to ja poszedłem do wojska. I zadawałem się wyłącznie z mężczyznami.

- To będzie gejowska historia?

- No chyba pani oszalała. Wtedy nie było jeszcze w naszym kraju żadnych gejów. Zadawałem się z mężczyznami w sensie służenia ojczyźnie. Zasypiałem i budziłem się wśród mężczyzn w izbie żołnierskiej. Było to, droga pani, męczące i obrzydliwe. Mówić do mężczyzn, wykonywać rozkazy mężczyzn. To było chore. Ohyda, droga pani, ohyda. Pierwsze tygodnie w wojsku, jeszcze przed przysięgą, tak zwana unitarka. To było takie małe miasteczko na Mazurach, tam już nie ma tej jednostki, jacyś mili ludzie zrównali ją z ziemią. Żałuję, że mnie przy tym nie było. Ale do rzeczy. Proszę sobie wyobrazić mnie jako kanoniera - nie szeregowego, bo byłem w artylerii, w moździerzach, i tam na szeregowców mówi się kanonierzy, na starszych szeregowców bombardierzy, a na sierżanta mówi się ogniomistrz. Proszę mnie sobie wyobrazić, wymęczonego, wygłodzonego żołnierza. Jadłem mało, bo nie byłem nazbyt wysoki. Najwięcej jedli ci najwyżsi. Bo na posiłek szło się z kapralem na przedzie, za kapralem, czwórkami, najpierw szli ci najwyżsi, a ci najniżsi na końcu. I w takiej kolejności stawało się w kolejce po jedzenie. A kiedy kapral kończył swój posiłek, uderzał w stół i wydawał komendę wyjścia. Często nawet nie zdążałem zacząć jeść zupy. Tak było.

- Wyjątkowo miłosna historia - roześmiała się dziewczyna.

- Oj, chciałem nakreślić pani tło tej historii, bez tego się można obejść, ale trochę szkoda by było, przepraszam.

- Rozgadałeś się.

- Czasami się rozgaduję. Przepraszam.

- Nie przepraszaj, podoba mi się to, że tyle gadasz.

Mistrz napił się i zapalił papierosa. Zrobiło mu się trochę głupio.

- No! Opowiadaj! - zachęcała go.

- No więc byłem wtedy umęczony, wygłodniały, wygłodniały nie tylko z powodu niedojadania, ale też zgłodniały jakichkolwiek uczuć, czegokolwiek innego prócz wrzasku kaprali i starego wojska, absurdałnej bieżaniny, nauki strzelania z moździerza, człoganania się i maszerowania...

- Miałaś wtedy dziewczynę?  
- Hm. Niby miałam.  
- I nie odwiedzała cię?  
- Była daleko, miała do mnie żal, że poszedłem do wojska, jakby to była moja wina, zresztą rzadko w tym wojsku ktoś kogoś odwiedzał, chyba że z jakichś wyjątkowych powodów na to zezwalano, to były inne czasy, to nie było tak jakby sobie pani wyobrażała, to było prawie piekło, wcale nie przesadzam. No i któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że wychodzimy po raz pierwszy poza jednostkę, wychodzimy na zabawę taneczną, którą dziewczęta z miejscowego technikum krawieckiego zorganizowały w ramach sympatii do Ludowego Wojska Polskiego. Pewnie jakoś odgórnie nakazano im tę sympatię, bo niby skąd miałyby ją mieć? Wprawdzie ja nie dansior, ale taka okazja jak wyjście poza mury to było coś bardzo pociągającego. Wyszliśmy w kilkudziesięciu. Czworkami. Jeszcze nie nastął właściwy moment, jeszcze nie było odpowiedniego rozkazu, jeszcze nie ogłoszono sezonu wiosenno-letniego, więc musieliśmy maszerować w zimowych płaszczach. Zresztą może i dobrze, że w tych płaszczach, bo zaczął padać deszcz. Dowodził nami bażant. Bażant, czyli kapral podchorąży. Tak się mówiło na tych, co trafiali do wojska po studiach.

- To ty nie studiowałaś? Myślałam, że studiowałaś.  
- Hm. Troszeczkę. Ale szybko zrezygnowałam. Nie miałam serca do studiowania.  
- A do wojska miałaś serce?  
- Hm. To były inne czasy. Hm.  
- Nic nie rozumiem.  
- Och, długo by opowiadać. Już wiele razy usiłowałam wytłumaczyć osobom młodszym ode mnie rzeczy, które w tamtych czasach były oczywiste. Ja nie rozumiem wielu oczywistości z dzisiejszych czasów. Więc remis. Zmierzajmy do sedna tej historii, dobrze? Wyszliśmy z jednostki mniej więcej godzinę wcześniej, pięknie przyodziani w wyjściowe mundury, w pięknie wyczyszczonych butach. Dobry, wyrozumiały bażant pozwolił nam odwiedzić sklep, gdzie nabyliśmy alkohol. Pani chyba zauważyła, że nie pijam piwa. Więc i wtedy nie kupiłem sobie piwa jak inni żołnierze, kupiłem sobie pół litra wódki. Staliśmy przed tym sklepem, w strugach deszczu, i piliśmy. Wypiłem sam te pół litra, chyba nikt nie chciał

wódki, woleli wino i piwo. I od razu mnie ścięło. To z tego niedojadania, z tego przemęczenia. Kapral bażant zauważył, że mu jeden żołnierz słabuje, ale okazał się przyzwoitym człowiekiem i nie robił afery. Cudnie mi się potem maszerowało po tej wódce, oj, cudnie. Doszliśmy do tego miejsca potańcówki, tam już wystrojone ślicznie małomiasteczkowe dziewczęta czekały na nas, przygotowały jakiś poczęstunek: kawa, herbata, ciasteczka. Bo zabawa była, ma się rozumieć, bezalkoholowa. Ale ja już raczej do żadnej zabawy się nie nadawałem. Kapral, abym nie przyniósł wojsku wstydu, a jemu kłopotów, poprosił dziewczynę, która pełniła funkcję szatniarki, żeby się mną zajęła, ukryła gdzieś w tej szatni. I tu, proszę pani, zaczyna się właściwa historia. Ona była piękna! Tak piękna, że z lekka wytrzeźwiałem aż. Ona nie tylko była piękna, ale i mądra! Siedziałem razem z nią, wśród tych ciężkich, wilgotnych, wojskowych płaszczy, piłem z nią herbatę, rozmawiałem i coraz bardziej przekonywałem się co do jej piękna i mądrości. Oczywiście, mogło się zdarzyć, że byłem po prostu złakniętym kobiecej obecności wygłodniałym żołnierzem, ale na pewno nie pomyliłem się, tak się nią przejmując. Potwierdzały to tęskne spojrzenia moich współżołnierzy, którzy, gawędząc i tańcząc z uczennicami technikum krawieckiego, cały czas z zazdrością zerkali w stronę szatni.

- Jak wyglądała?

- Ja, proszę pani, nie mam pamięci do kobiet. Pamiętam tylko, że była piękna. I mądra. I ładnie pachniała. Nie pamiętam szczegółów, nie jestem detalistą. Wiem, że patrzenie na nią i jej słuchanie było dla mnie wielkim szczęściem. O Boże, używam wyrazu „szczęście”! Prawie nigdy go nie używałem. Ale w tym wypadku chyba mogę to zrobić. To jakieś takie odurzające, droga pani, było. Naprawdę.

- Nie przesadzaj. Mogę się założyć, że przesadzasz. Że nie tylko ten jeden raz byłeś w życiu szczęśliwy. Nie kłam.

- No może jeszcze raz, dzięki pewnemu barmanowi. Ale to zupełnie inna historia. Pijacka. No i jeszcze raz, rzeczywiście, dzięki pewnej kobiecie. Ale z tą kobietą, zdaje mi się, to było urojenie. Ale wróćmy do tej historii, dobrze? Bo to wcale nie było tak, że ona w tym pijanym, ostrzyżonym niemal na zero żołnierzem rozpoznała bohatera serialu z lat siedemdziesiątych. Nie, nie rozpoznała. Na pewno. Czasem zdarzało się, że kobiety zwracały na mnie uwagę wyłącznie dlatego, że im się z tą ohydą telewizją i z tym dziecięcym

wyglupem kojarzyłem. Ale na szczęście nie ona. Powiedziała, że zgłosiła się na ochotnika do tego siedzenia w szatni, bo wyobraziła sobie tych nieszczęsnych żołnierzy i obowiązek tańczenia z nimi, zrobiło jej się smutno i pomyślała, że to nie dla niej. Powiedziała, że strasznie dobrze się złożyło, że jej towarzyszę, bo inaczej czułaby tu się idiotycznie, a i ci nieszczęśni żołnierze na pewno by ją zaczepiali. Powiedziała, że czuje, że nie pasuje do tego świata. I że ja też nie pasuję. Piłem tę herbatę, trzeźwiałem w zastraszającym tempie i byłem szczęśliwy. Już nie czułem się żołnierzem, czułem się cywilem i ogarnęło mnie szczęście. Naprawdę.

- Cześć - powiedziała zmienniczka dziewczyny, pani Jola. - Jestem.

- Cześć - odpowiedziała dziewczyna. - Wiesz co, musimy jeszcze chwilę pogadać. Potem ci zdam kasę, w porządku? A my teraz przesiądźmy się do stolika - zwróciła się do mistrza. Patrzyła na niego jakby inaczej.

No to się przesiedli.

- No i co, no i co? - niecierpliwiła się.

- No i nic. Któryś z żołnierzy odważył się ją poprosić do tańca. Odmówiła. Wykręciła się szatnianymi obowiązkami. Potem jeszcze kilku usiłowało zawracać jej głowę, wtrącać się nam do rozmowy, ale ich spławiła. Dopiero jak ten obywatel bażant podchorąży poprosił ją do tańca, spojrzała na mnie przepaszająco i poszła. Ale kiedy tańczyła, to nie spuszczała ze mnie wzroku. To było niezwykle, cały czas patrzyła mi w oczy. Piosenka się skończyła, ktoś jeszcze chciał z nią tańczyć, jeszcze jakiś namolny kanonier złapał ją za rękę, ale wyrwała się, coś powiedziała, wróciła natychmiast do mnie. Koledzy żołnierze zaczęli mi pokazywać, że mam u nich przerażane, znacząco przesuwali palcami po szyjach, znacząco stukali się pięściami w podbródki. A ja nic. Ja szczęśliwy płynąłem i płynąłem. Wcale się nie obawiałem ich zemsty. Siedziałem w tej szatni i była tylko terażniejszość. Mówiliśmy i mówiliśmy. Patrzyliśmy na siebie i patrzyliśmy. Coraz zachłannie, bo mimo wszystko nie utraciliśmy świadomości, że impreza ma się skończyć o określonej godzinie, a ta godzina bardzo pospiesznie się zbliżała. Powiedziała, że jeżeli uda mi się dostać w niedzielę przepustkę, to pójdzie ze mną na prawdziwy spacer. Jak dziewczyna z chłopakiem. Nie jak dziewczyna z żołnierzem. W niedzielę, bo w sobotę nie, bo w soboty



pomagała siostrze w sklepie. Powiedziała mi, gdzie jest ten sklep. Ze zawsze w sobotę można ją tam znaleźć. W razie czego. Napisała mi na karteczce swój numer telefonu. W razie czego. Ale już umówiliśmy się, że w niedzielę w południe będzie czekała na mnie w parku, który był obok tego miejsca, gdzie właśnie byliśmy. W niedzielę!

- Czy mogę cię na chwilę poprosić? - krzyknęła od baru pani Jola. - Szef dzwoni!

- Przepraszam - powiedziała i dotknęła ręki mistrza. Wstała niechętnie i poszła na zaplecze.

\*

- Rzeczywiście się rozgadałem potwornie - pomyślał sobie mistrz, siedząc nad szklanką, w której była już tylko powoli topniejąca kostka lodu. - Po co ja jej to opowiadam? Nikogo raczej nie obchodzą takie historie, przecież to jakaś sentymentalna historyjka z czasów, które były złe i smutne. I jakie światło to na mnie rzuca? Wychodzę na rozczulającego się nad sobą palanta. Miałem kiedyś takiego znajomego, który wchodził do lokalu, dosiadał się i snuł takie rozbudowane, nikogo nie interesujące opowieści ze swojego życia. Sam przecież miałem serdecznie go dosyć. Oj, nie podoba mi się to. Może trzeba by było teraz wstać i wyjść? Zostawić ją tu bez pointy? Doktor także nie pozostawił nam żadnej pointy. Więc wyjść?

Ale nie ruszył się, nie wstał, nie wyszedł. Nie miał siły. A zresztą sam chciał poznać zakończenie tej historii. Nie miała ona żadnego związku z tym, co tu i teraz się działo, nie miała żadnego związku z niczym, była lirycznym przerywnikiem w tym ciągu piekielnych, ciężkich wydarzeń.

Nie czuł się dobrze. Fizycznie i psychicznie. Nie przyznawał się do tego sam przed sobą.

Pomyślał:

- A może to właśnie wtedy, tego dnia, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku, umarłem? I wszystko, co się wydarzyło potem, było tylko komentarzem, przypisem do mojego życia?

Nie odnalazł prawidłowej odpowiedzi.

Siedział w pustym lokalu, patrzył na topniejącą kostkę lodu. Wiedział, że jest to szalenie metaforyczna kostka lodu. Bał się.

Nie wiedział dokładnie, czego się boi. Wiedział natomiast, że boi się. I chyba nawet nie chciał rozpoznać źródła swojego strachu. Nie chciał stanąć oko w oko z tym, który stworzył, sprowokował ten strach.

Zbliżała się osiemnasta.

\*

- Muszę tu posiedzieć. Jeżeli chcesz, to idź do domu, zamknij mnie tu.

- Ale dlaczego?

- Nieważne.

Stali naprzeciwko siebie w ciemnościach.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi? Co to za fanaberie?

- Proszę cię, idź. Zdrzemnę się na podłodze, rano przyjdiesz i otworzysz sklep. I mnie wypuścisz.

- Ale...

- Proszę! PROSZĘ!

Wzruszyła ramionami, otworzyła drzwi, wyszła, zamknęła drzwi, poszła.

Koło domku Doktora świeciło się ostre światło, kręcili się ludzie.

Jakoś nie była ciekawa, co się tam dzieje.

Jakoś nie przejęła się tym faktem.

Podreptała do domu, nakarmiła rybki, usiadła przy stole i zaparzyła się w ścianę.

\*

Stała przed nim, już ubrana w płaszczyk, już przestała być pracownicą, już była zwyczajną, cywilną dziewczyną.

- Wiesz, odprowadź mnie do domu. Już wszystko tutaj skończyłam na dzisiaj, chętnie już bym sobie poszła, a ty przecież nie skończyłeś swojej historii. Muszę wiedzieć, co stało się potem. Opowiesz mi po drodze, dobrze? A potem dam ci nagrodę.

- Proszę bardzo.

Wyszli w mrok. Wiało. Szli obok siebie, byli jednakowego wzrostu. Szli jak chłopak i dziewczyna. Nie jak pijak i barmanka. Trudno mu było mówić na tym wietrze, ale mówił.

- I na czym to ja skończyłem? Na tym, że zabawa żołnierzy i młodych krawcowych dobiegała końca, a ja umówiłem się z nią na niedzielę. Jak rozstawaliśmy się, pocałowała mnie w policzek. Nie do końca jestem pewny, czy nie zmyśliłem sobie tego później, ale jakoś czuję do tej pory ten pocałunek w policzek, więc może był naprawdę?

- Takie rzeczy powinno się pamiętać!

- No więc trzymajmy się tego, że mnie pocałowała. Bażant wrzasnął, zrobił zbiórkę i okazało się, że brakuje trzech żołnierzy...

Właśnie mijali domek Doktora. Ciemne okna. Za domkiem, przy szopie kręcili się policjanci.

Dziewczyna złapała mistrza za rękę. Wiedział, że to ze zdenerwowania, ale mimo wszystko zrobiło mu się przyjemnie. Ale i niepokojąco zarazem.

Coś błysnęło w szybie, pewnie jakieś odbite światło, ale przez moment mistrz miał wrażenie, że to błysk zapalniczki wewnątrz.

- Widziała pani? Coś błysnęło tam w środku!

- Uspokój się. Jeszcze tylko duchów nam tu brakuje! Nic nie błysnęło!

- Ma pani przy sobie klucze do domku Doktora?

Odpowiedziała bardzo nerwowo:

- Nie, przy sobie nie mam. Gdzieś je zgubiłam. Nie wiem. Pewnie gdzieś są w moim domu, ale nie wiem gdzie. Po co ci teraz te klucze? Chodźmy stąd.

Puściła jego rękę.

Żal i ulga jednocześnie.

Dom i szopa pozostały za nimi.

Rozszczekały się psy na podwórku, które właśnie mijali. Inne psy podjęły to histeryczne szczekanie i za chwilę cała okolica szczekała. Brakowało jeszcze krakania wron i byłoby już kompletnie groźnie i demonicznie. A mistrz i dziewczyna szli jakiś czas w milczeniu, wreszcie dziewczyna odezwała się:

- Opowiadaj dalej...

Chrząknął i kontynuował:

- No więc brakowało trzech żołnierzy. Po dłuższych poszukiwaniach znaleźliśmy dwóch odważnych, którzy wymknęli się do parku i tam, w tym deszczu, odbywali, przepraszam, stosunki płciowe z krawcowymi. Tych dwóch się odnalazło, ale trzeci wsiąkł. Jak się

później okazało: wziął i zdezerterował. Z tej przyczyny wszyscy dostaliśmy zakaz opuszczania miejsca zakwaterowania na ileś tam, nie pamiętam już ile, tygodni.

- Nie rozumiem.

- Odpowiedzialność zbiorowa. Ma się rozumieć, na żadną przepustkę z tego powodu nie wyszedłem, usiłowałem się do niej dodzwonić, kilka razy, ale nie udało się, a później ta karteczka z numerem telefonu noszona przeze mnie wiele dni w kieszeni munduru polowego się zniszczyła, zatarła, ten numer zapisany był ołówkiem, nie dawało się go odczytać. Wie pani, nosi się te karteczki po kieszeniach i nagle przestają istnieć, nagle wszystko, co na nich było zapisane, odpływa, odchodzi w niebyt jakiś...

- Ja tak nie mam, ja przechowuję wszystkie ważne esemesy.

- ...no a potem mieliśmy przysięgę, potem rozesłali nas po różnych jednostkach, ja z tych Mazur miałem jechać nad morze, do niebieskich beretów, do obrony wybrzeża, szliśmy z kapralem i kilkoma żołnierzami na dworzec, mijaliśmy ten sklep, gdzie pracowała jej siostra, poprosiłem kaprała, żeby pozwolił na chwilę wejść do tego sklepu, nie pozwolił, bo niby dlaczego miałby mi na jakieś fanaberie pozwalać? No to nie wszedłem do tego sklepu, gdzie, przy odrobinie szczęścia, mogłem ją zastać i przynajmniej pożegnać się jak należy. No i tak to się skończyło.

- I nigdy jej już nie spotkałeś?

Mistrz nie powiedział nic. Stali już pod jej domem.

- A jak miała na imię?

Mistrz nie powiedział nic. Wtedy na pewno poznał jej imię, ale od dawna go nie pamiętał. Jej imię zostało wypłukane z jego pamięci.

- A nie mogłeś pojechać tam po wyjściu z wojska?

Mistrz nie powiedział nic. Pewnie mógł tam pojechać. Ale nie pojechał.

- To strasznie smutna historia. Nie wiem, czy to dobrze, że mi ją opowiedziałeś. Nie wiem, czy powinnam dać ci obiecaną nagrodę

- powiedziała dziewczyna.

Drżała.

Mistrz nie powiedział nic. Nie wiedział, co mógłby jeszcze powiedzieć.

A ona przekreśliła klucz w zamku, odwróciła się do niego i, patrząc gdzieś w bok, powiedziała:

- Jak chcesz, to chodź do mnie na kawę. Jakoś trudno mi się dzisiaj z tobą rozstawać. Porozmawiamy jeszcze o Doktorze.

\*

Do Stylowej wkroczył Morales.

Nie wyglądał zwyczajnie. Wyglądał jak upiór.

Szedł przez salę krokiem zdecydowanym, ale jednocześnie chwiejnym.

Klienci umilkli. Klawiszowiec przestał obsługiwać elektryczne klawisze. Wszyscy patrzyli w napięciu na Moralesa.

A on stanął przy barze, nieswoim głosem poprosił panią Jolę o setkę wódki, a zanim naląła, ryknął na cały lokal:

- Brata jedynego mi zabili!

## rozdział siódmy

- Ale przecież istnieje! - upierał się mistrz. - Wiem, że istnieje!
- Nie istnieje, mój naiwny kolego - oświadczył Doktor, uśmiechając się najpobłaźliwiej jak tylko potrafił.
- Jak to: nie istnieje, skoro wiem?
- To brzmi jak jakaś kwestia teologiczna, mój drogi. Ty wiesz, więc istnieje? A przecież ja nie wiem. Czy to aby nie jest dowód na to, że nie istnieje?
- Dla mnie istnieje. Ja słyszałem. Pan, Doktorze, nie słyszałeś, ale czy nie mógłbyś mi uwierzyć, że istnieje?
- Póki sam nie sprawdzę, póki nie dotknę, nie usłyszę, nie powącham, nie posmakuję, poty nie wierzę.
- Są jeszcze inne sposoby na poznanie.
- Ale nie uwierzenie na słowo. Uspokój się! Ja ci nie wierzę na słowo, więc nie istnieje. Musiałbyś mnie wyeliminować, zabić. Może wtedy zaistnieje.
- Chętnie bym się z tobą, Doktorze, założył, że istnieje. Ale nie mam możliwości udowodnienia tego.
- Więc nie istnieje.
- Istnieje! - mruknął mistrz. - Na pewno istnieje, nikt mi nie odbierze tego wspomnienia, nawet ty, cyniczny i okrutny przedstawicielu medycyny. To było tuż przed moją maturą, w kwietniu albo już nawet w maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Włączyłem radio, a tam jakiś miły pan powiedział, że będą nieznane piosenki Beatlesów. Nerwowo zacząłem szukać wolnej kasyty, znalazłem, chyba nie zdążyłem nagrać wszystkiego od początku. Ale tę piosenkę nagrałem. Pamiętam nawet kolor tej kasyty. Niebieska dziewięćdziesiątka. Jak Boga kocham...

Tu Doktor prychnął pogardliwie. A rozegzaltowany mistrz tłumaczył:

- Pamiętam ją wyraźnie. Ale nie potrafię zanucić. Ale gdybym ją usłyszał, od razu bym wiedział, że to ta. Raczej brzmienie jak z sześćdziesiątego ósmego, chyba George Harrison ją śpiewał, ballada, gitara akustyczna, ale i inne, dyskretne instrumenty. Ta kasetka potem przepadła, wszystko gdzieś przepada, ale ta piosenka istnieje. Potem poznałem lwią większość bootlegów, jakichś wygłupów w studiu, jakichś alternatywnych wersji, ale tej piosenki nie odnalazłem. Ale istnieje. Śniła mi się kilka razy.

- Nie wszystko, co się śni, istnieje. Nie w mówisz mi tego - rzekł Doktor i popukał się w czoło.

\*

Kilkanaście minut po osiemnastej.

Mistrz z namolnym biało-czarnym kotem na kolanach czekał, aż dziewczyna wróci z kuchni. Jego czarne spodnie coraz bardziej pokrywały się kocią sierścią.

Już zdążył się przedstawić jej przemilej, lecz przygłuchej babci, która podreptała po prezentacji do swojego pokoju. Trochę poogłądać telewizję. A potem spać.

Siedział i miał refleksję: otóż po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy był w domu, u ludzi. Kiedyś, owszem, bywał, ale przestał, ponieważ miał podejrzenie, że istnieje stare ludowe porzekadło: „Mistrza do domu zaprosić - nieszczęście murowane”. Podejrzewał, że wszyscy znają to porzekadło, a jeżeli go nawet zapraszają, to w duchu modlą się, by odmówił.

Bardzo dawno tego nie zaznał. Raczej nikt go do siebie nie zapraszał, a jeśli nawet się to przydarzało, to mistrz odmawiał, wykręcał się.

A dziś jakoś nie odmówił. Pewnie ze zmęczenia. Z ciekawości. Coś jakby resztką ciekawości jednak tliło się w nim gdzieś głęboko.

W tym domu mieszkali bardzo ludzcy ludzie, mieli tu swoje ludzkie przedmioty, swoje ludzkie życie.

Jego dom nie był domem ludzkim. Tylko suka sprawiała, że istniało tam jakieś życie i ruch.

A tutaj był prawdziwy dom.

Z kuchni pachniało kawą. Z pokoju babci dochodziły śmiechy i muzyka z bardzo głośno nastawionego telewizora. Kot się wdzięczył. Na ścianie wisiał święty obrazek!

Święty obrazek!

Oj, bardzo dawno nie był mistrz w pomieszczeniu ze świętym obrazkiem wiszącym na ścianie.

Było ciepło i sennie.

Siedząc więc w tym fotelu i od niechęcia odpierając kocie zaloty, pomyślał sobie, że oto, po wielu trudach i bezładnych wędrówkach, jego dusza dotarła do miejsca, w którym, umęczona, będzie mogła odpocząć.

Rozczulił się nad sobą tak dalece, że zapomniał o wszystkim, dokładnie o wszystkim zapomniał, nawet o śmierci Doktora, o tym, że musi się dowiedzieć, dlaczego Doktor umarł, bo inaczej nic nie będzie miało sensu.

Poddał się. W kocie bulgotało, w kocie poruszało się coś, wewnątrz kotów na pewno znajduje się coś dodatkowego, jakiś niewielki, ruchliwy demon.

Mistrz siedział i patrzył na przedmioty wypełniające pokój.

I czuł, że mógłby tu zostać. I czuł, że nigdzie już nie musi uciekać, przed niczym nie musi się ukrywać.

To Nic, które ścigało go od dawna, nie miało po prostu dostępu do tego miejsca. Nie miało prawa tu wtargnąć.

Różnie to Nic mistrz sobie nazywał. Albo Świat, albo Polska, albo Ludzie, albo Społeczeństwo, albo Szatan, albo Urząd.

Albo Złe.

To Nic w tym momencie nie istniało.

Było ciepło i sennie.

\*

- I niczego już nie ma w moim aucie? Niczego nie ma na pewno? - pan Grzesio po raz któryś z kolei zadawał to pytanie kapitanowi Bernardowi Czasze. Lubił mieć pewność co do własnego bezpieczeństwa.

- Mówiłem już. Nie ma. Niebezpieczeństwo minęło. Nic więcej nie ma, sprawdziłem, ładunek rozbroiłem, na sto procent. Ma pan do czynienia z fachowcem, proszę pana - uspokajał pana Grzesik kapitan.



- I mogę wsiąść i pojechać? I nic się nie stanie? Wie pan, bardzo się denerwuję. Na pewno nic tam nie ma?

- Gwarantuję - oświadczył kapitan, przykładając rękę do serca.

Pan Grzesio rozejrzył się za panem Wiesławem, lecz nigdzie go nie dostrzegł. Przed restauracją nie było widać jego charakterystycznej sylwetki. Ani śladu po jego szalenie interesującej fryzurze i barwnym wdzianku.

Zajrzał więc jeszcze do wnętrza Stylowej, zobaczył Moralesa siedzącego przy barze, jakichś innych klientów, jakąś nową dziewczynę za barem, ale pana Wiesława tam nie było.

- Właściwie to się już pożegnaliśmy - pomyślał pan Grzesio. – Miły człowiek o wielkiej wiedzy i kulturze. Ale przecież mam jego numer komórki, a on ma mój. Jeszcze się w życiu na pewno spotkamy. Trzeba wracać - machnął ręką i wyszedł z restauracji w mrok i wiatr.

Pracownicy telewizji zostali przesłuchani, a potem im podziękowano i poproszono grzecznie o opuszczenie terenu. Nie uszczęśliwiło ich to wcale, o nie.

Zwłaszcza redaktor Malinowska bardzo aktywnie i widowiskowo protestowała, usiłowała grozić, wydzwaniała do swojego przełożonego, pana Edwina, człowieka znanego, wpływowego i potężnego, nawet oddała swoją komórkę policjantom, żeby porozmawiali z szefem 66TV, olbrzymem Edwinem, ale polecenie policji nie uległo zmianie.

Policjanci zaparli się, nie chcieli udzielić żadnych informacji, nie chcieli współpracować z telewizją. A w dodatku naśmiewali się bezczelnie z kapitana Bernarda Czachy.

Naturalnie: zazdrościli mu sprzętu i kariery telewizyjnej, więc odreagowywali śmiechem.

Wzburzeni pracownicy telewizji opuścili miejsce zbrodni. Postanowiono wracać do Krakowa. Trudno. Skoro policja nie chciała współpracować, to nie było sensu zostawać w tym miejscu.

Zwłaszcza że coś tam we wnętrzu szopy zarejestrowali swoją kamerką, policja na szczęście nie pomyślała o tym, by im ją odebrać, a to, co zdobyli, wystarczy na pewno na jakiś elektryzujący news.

Znalazca zwłok, miejscowy pijaczek, został zatrzymany przez policję na dłużej.

Przesłuchano również Moralesa i kilku innych miejscowych. Ty-le zdążyła dostrzec pani redaktor.

- Jeszcze sami do nas przyjdą prosić o pomoc. Jeszcze pożałują - mruknęła.

- No to co, pani Marzenko, jedziemy? - zapytał dźwiękowiec.

- Jedziemy - westchnęła.

I pojechali.

Pan Grzesio z lękiem uruchomił auto. Nie do końca wierzył zapewnieniom kapitana. Ale na szczęście nie było żadnego wybuchu. Otarł pot z czoła.

Ruszył powoli za telewizyjnym pojazdem. W stronę wielkiego, rozświetlonego miasta.

Zadzwoiła jego komórka, przełączył rozmowę na zestaw głośnomówiący.

- Uratowałam ci dupę, tak? Należy mi się od ciebie elegancka kolacja - powiedziała Marzena Małgorzata Malinowska.

- Ty? To przecież kapitan Czacha mnie uratował!

- A ty sobie myślisz, że było tam coś? Nic nie było! Od razu wiedzieliśmy, że nie ma żadnej bomby, że chcesz zwrócić na siebie uwagę. To wymyśliśmy, że jednak bomba będzie. Materiał z tego wyjdzie całkiem przyzwoity, ty masz uratowaną dupę, kapitan Czacha się wykazał i był dzisiaj całkiem wiarygodny, więc my na tym też trochę skorzystamy, udało mi się poznać nazwisko tego, którego zabili, więc mamy na dzisiaj, jeżeli się uda zdążyć, dwa materiały, a z tego szukania bomby w twoim aucie może się zrobić i coś większego, wszystko jest jak należy, mam u ciebie kolację, sam widzisz, że uratowałam ci dupę, tak?

Pan Grzesio bezgłośnie, bezradnie załkał i wyłączył komórkę.

Nic się nie wydarzyło.

Nic szczególnego się nie stało.

Zwyczajne życie.

\*

Osiemnasta dwadzieścia jeden.

Mistrz zasnął w fotelu. Nie śni.

Dziewczyna wchodzi z kawą, widzi śpiącego mistrza, siada naprzeciwko niego, zapach kawy nie budzi go, dziewczyna patrzy na mistrza.

Zdaje się, że mistrz wcale nie wygląda nazbyt estetycznie. Ale przecież nie ma takiego obowiązku.

Pan Grzesio, jadąc tuż za samochodem telewizyjnym, wjeżdża już do Krakowa. Płacze, bez łez. Płacze całym sobą.

Pracownicy telewizji w telewizyjnym aucie opowiadają sobie przeróżne telewizyjne anegdoty.

Tylko kapitan Czacha się nie śmieje. „Jak było, pani Marzenko, jak wypadłem?” - dopytuje się ciągle i żadna z odpowiedzi go nie satysfakcjonuje.

Pan Wiesław jest skupiony na jednej, jedynej myśli. Siedzi w kącie, gryzie paznokcie.

Pani ze sklepu spożywczego siedzi nieruchomo i patrzy w ścianę, od wielu minut nie zmieniła pozycji.

Suka staje przy oknie. Opiera się przednimi łapami o parapet i patrzy.

Morales wlewa w siebie kolejną wódkę, za barem już nie stoi pani Jola, pani Jola krąży z tacą po sali, do restauracji przybyło więcej gości, pojawiło się kilku policjantów, którzy przyszli się posiłnić i rozgrzać, reszta wykonuje swoje powinności, ale część zrobiła już swoje, więc przyszła tu, za barem stoi kierownik restauracji Stylowa, przed chwilą właśnie się pojawił, przyjechał z Krakowa, to on teraz obsługuje Moralesa, to on z nim rozmawia o tragedii, która się wydarzyła w szopie przy domku Doktora.

Morderca czuje się bezkarny.

\*

- Rano powiedział: „Jadę”. Jeszcze spałem. Popiliśmy wczoraj. Poważnie popiliśmy. Była okazja. Był powód. Takeśmy popili, że nie miał siły iść do siebie, spał u mnie. Powiedział: „Jadę”. „Gdzie jedziesz?” - zapytałem. Nawet nie otworzyłem oczu. Łeb mi pękał, światło dzienne raziło. „Jadę” - odpowiedział. I usłyszałem, jak drzwi się otwierają i zamykają. I znowu zasnąłem. A jak się obudziłem, to nie byłem pewny, czy to było naprawdę, czy naprawdę powiedział, że jedzie. Gdzie on chciał jechać? Pan go zna, panie kierowniku, pan go zna bardzo dobrze, pan wie, że nic z niego się nie daje wyciągnąć, że nic z niego się nie dawało wyciągnąć. Jak się zaparł, to nic nie powiedział. Czasem tylko, jak się już poważnie napił, to coś powiedział, do czegoś się przyznał... A że mnie, panie kierowniku, nic nie tknęło? Że mu nie powiedziałem: „Nigdzie nie jedź, zostań”?

Zadzwoniła komórka kierownika. Kierownik uśmiechnął się przepraszająco. Odebrał. Przeszedł, rozmawiając po angielsku, na zaplecze.

Morales pogrzył się w rozpacz i rozmyślaniach. Pił, pił i pił. Ale nie był nietrzeźwy. Świadomość tego, co się wydarzyło, utrzy-  
mywała go w pionie.

Spojrzał na policjantów. Młode, rumiane, niepoważne chłopaki. Spokojnie spożywali zamówione potrawy. Niektórzy zamówili sobie nawet piwo. Jak mogą pić piwo w takiej sytuacji? Tam leżą zwłoki młodego Moralesa, brata starszego Moralesa, a oni piją. Piwo. Na służbie?

Już chciał zwrócić im uwagę, kiedy jeden uchwycił jego spojrzenie i sam podszedł do baru.

Uśmiechnął się nieśmiało i zadał dziwne pytanie:

- To na pana i na pana zmarłego brata mówią Morales?

Morales kiwnął głową.

- Pan pójdzie ze mną! Coś muszę panu pokazać! - powiedział policjant.

Wprowadził zadziwionego Moralesa do męskiej toalety i w jednej z kabin wskazał napis nawołujący do tego, by zabić Moralesa.

- Może pan rozpoznaje ten charakter pisma?

- Nie - powiedział Morales. - Jak się drapie gwoździem po ścianie, to nie ma się charakteru pisma.

I nagle nie wytrzymał. Ścisnął wpół zaskoczonego policjanta i zaryczał:

- Co mi pan tu jakieś bzdury, jakieś napisy w kiblu pokazuje? Nie rozumie pan, że sierotą zostałem? Tatusia i mamusię mi odebrali, a teraz brata! Sam jeden na tym świecie! Co będzie? Jak teraz żyć?

Policjant wydobył się z trudem z objęć Moralesa. Stał i patrzył na tego wielkiego, oszalałego chłopca i nie za bardzo wiedział, co powiedzieć. Tego akurat go nie nauczono.

\*

- Wiesz, obiecałam ci nagrodę. Ale jeszcze nie wiem, czy zasłużyłeś - ktoś zaszeptał prosto w jego ucho. - Naprawdę nie wiem. A ty nie śpisz. Myślę, że udajesz. A ja mam coraz mniej czasu. A mnie

jutro już tu nie będzie, wiesz? Jutro będę już bardzo daleko stąd. Zostawię wszystko. Nie mówiłam ci o tym, bo nie wiedziałam, czy to ma sens. Ale jednak chciałabym jakoś ładnie się z tobą pożegnać. Bo to już najwyższy czas na pożegnanie. Ale jeszcze nie wiem, czy to zrobię. Spisz czy nie śpisz?

Nie był przekonany, czy dzieje się to rzeczywiście czy we śnie. Nie był przekonany, czy jeszcze śpi czy może już się obudził, a może nigdy nie zasnął. Nie wiedział niczego.

Nie otwierał oczu.

Nie spał już. Na pewno już nie spał. Ale jeszcze nie otwierał oczu.

Ona siedziała bardzo blisko, jej włosy łaskotały go w policzek, pachniała czymś, czego nie umiałby nazwać, siedział więc sztywno, nie spał, nie chciał otwierać oczu, nie chciał.

Ale po chwili zrobiło mu się trochę niewygodnie.

Poruszył się.

Ona odsunęła się od niego. Siedziała nadal blisko niego, ale już nie tak blisko.

- Zasnąłeś. A ja ci zrobiłam kawę. Bez sensu.

- Przepraszam. Na moment przymknąłem oczy. I chyba rzeczywiście zasnąłem.

- W tym hałasie? - wskazała dłonią w stronę pokoju babci, skąd wydobywał się potężny ryk telewizora.

- Och, żeby pani usłyszała to, co się dzieje za moim oknem. To, co tutaj słyhać, to nie jest, proszę pani, żaden hałas - oświadczył, gorączkowo usiłując zrozumieć to, co jeszcze przed chwilą szeptała mu do ucha.

Ale nie dawała po sobie poznać, że siedziała przed chwilą przy nim nieprzyzwoicie blisko, że szeptała mu coś do ucha, a to nie było na pewno czymś zwyczajnym i bez znaczenia, o nie.

Wstała.

Nalała z dzbanka kawy do dwóch filiżanek.

- A może jesteś głodny? Powinieneś coś zjeść!

- A może o jakiś, przepraszam, alkohol poproszę?

- Chyba nic takiego nie mam w domu - zastanowiła się. - Już nie umiesz sobie bez tego poradzić?

- Umiem - mężnie odpowiedział mistrz. - Pewnie, że umiem.

Siedziała już teraz po drugiej stronie stołu, naprzeciwko niego, i przyglądała mu się uważnie.

- Doktor też kiedyś siedział w tym miejscu. Nie był tutaj za często, raczej widywaliśmy się u niego. Ale kilka razy tu był i siedział tam, gdzie teraz ty. Dziwnie się czuję, kiedy tak na ciebie patrzę.

- Mogę zmienić miejsce - zaproponował mistrz. Było mu kompletnie wszystko jedno, gdzie siedzi.

- Nie, nie, nie trzeba - odparła z roztargnieniem i dołała mu jeszcze kawy.

- Aha. Pamiętam dokładnie. Doktor siedział w tym miejscu, co ty, było lato, był w bardzo eleganckiej, białej koszuli. Chodziłeś kiedyś w białych koszulach?

- Oj, chyba tylko raz miałem coś takiego na sobie. W czasie Komunii Świętej. Straszna męczarnia.

- A Doktor potrafił się ubrać jak należy. I wcale go to nie męczyło. Siedział tutaj, pił białą kawę, palił zagranicznego papierosa i śmialiśmy się z Moralesów.

- A cóż takiego zrobili?

- Nie zauważyłeś? Młodszy Morales może mniej, ale starszy do tej pory bez przerwy się do mnie zaleca. Dziad jeden. Strasznie żałośnie. Ubzdurał sobie, że ma do mnie jakieś prawa.

- Nie zauważyłem.

- Ty w ogóle bardzo mało zauważasz. Starszy Morales przyszedł kiedyś do mnie do pracy i tłumaczył mi, że z takim miastowym to lepiej się nie zadawać, że on jest wielkim grzesznikiem, a tam, w tym mieście, to tylko zło i zepsucie. Mówił to jak ksiądz. W natchnieniu. Obydwaj Moralesowie to mają, że czasem zaczynają gadać jak na kazaniu. Wyobraziłam sobie starszego Moralesa w sutannie. Staralam się być poważna, ale w tym momencie nie wytrzymałam i zachichotałam. No bo ileż można? A on się obraził. Tak jakoś psio popatrzył. No i później siedzieliśmy tu z Doktorem i wyobrażaliśmy sobie, że Morales naprawdę jest księdzem. Doktor udawał Moralesa i starał się mówić jak on. A potem zaczął udawać drugiego Moralesa jako wikarego. A potem odegrał rozmowę między jednym Moralesem a drugim. Ale się wtedy uśmiełam!

Dziewczyna uśmiechnęła się do mistrza, jasne było, że ten uśmiech był przeznaczony dla Doktora, ale mistrz spróbował go odzwajemnić.

- Boże, ile ja się w tamtych czasach śmiałam! Wszystko było wtedy jaśniejsze i ciekawsze. Dzięki Doktorowi oczywiście.

- Pojedź pani do Meksyku i będzie się tam pani mnóstwo śmiała.

- Mam nadzieję - westchnęła. - Mam nadzieję, że wszystko się uda. To nie tylko zależy ode mnie, ale też od człowieka, z którym wyjeżdżam.

Kot przeszedł na jej kolana.

Mistrz nie miał ochoty rozmawiać o człowieku, z którym dziewczyna miała zamiar wyjechać.

Jakoś nie pociągała go tego rodzaju rozmowa, jakoś nie chciał się niczego na ten temat dowiadywać.

No to wrócił do poprzedniego tematu:

- Jak to jest z tymi Moralesami? Właściwie to niewiele o nich wiem. Młodszego widziałem kilka razy, starszego widuję niemal za każdym razem, kiedy tu jestem, mówi do mnie dużo, ale tak naprawdę to nie wiem, kto to jest...

Uśmiechnęła się.

- Opowiedzieć ci o Moralesach?

- Opowiedzieć.

- Wyobraź sobie, że jesteś małą dziewczynką.

Teraz on się uśmiechnął.

- No chyba nie jestem w stanie tego sobie wyobrazić.

- Spróbuj. Jesteś małą dziewczynką w małej miejscowości. Masz tatę i mamę, którzy jeżdżą do wielkiego miasta Krakowa do pracy. Marzą o wyjeździe do Ameryki i tylko o tym właściwie mówią, ty jesteś czymś w rodzaju przeszkody w tym wyjeździe. Masz też babcię, która bez przerwy ogląda telewizję lub się modli. I masz Moralesów.

- Jak to: „masz Moralesów”?

- Oni byli zawsze przy mnie. Od dzieciństwa. Sąsiedzi. Ale chyba więcej niż sąsiedzi. Budzisz się, patrzysz przez okno: a tu Morales. Wchodzisz napić się czegoś do kuchni, a tu z babcią siedzi drugi Morales. Idziesz do łazienki, a tu nie można wejść, bo akurat młodszemu Morales, złota rączka, coś tam naprawia. Chcesz obejrzeć telewizję, a tu śnieży, ponieważ obydwaj są na dachu i robią jakieś ulepszenia w naszej antenie. Wtrącali się do wszystkiego. Niby gdzieś tam pracowali, ale jak nie jeden to drugi zawsze w pobliżu

musiał być. Dwa wielkie, sękaty chłopcy, mądrzyli się, chcieli wszystkim rządzić, wszystko wiedzieli lepiej, chcieli osądzać, co jest dobre, a co złe. Bardziej się ich bałam niż nauczycielek, bardziej niż katechety. Wszystko wiedzieli lepiej.

- Tego to rzeczywiście doświadczyłem, ma się rozumieć - mruknął mistrz, przypomniawszy sobie przeróżne porady udzielone mu przez Moralesa, choćby dzisiaj. Rzeczywiście, nie chciałby ich wysłuchiwać codziennie, to byłoby ponad jego siły. Rzeczywiście.

- Sam widzisz. Rodzice mnie nimi straszili: „Jak będziesz niegrzeczna, to cię oddamy Moralesom”. A kiedy zasypiałam, to wyobrażałam sobie, że przez okno wchodzi obydwa i krzyczą na mnie. Nic mi nie robią, tylko strasznie krzyczą. O, przez tamto okno. Nie tylko ja się ich bałam, chyba wszyscy czuli w stosunku do nich respekt połączony ze strachem. Wydaje mi się, że nawet moi rodzice się ich trochę bali. Byli w tym samym mniej więcej wieku co oni, chyba nawet ojciec chodził ze starszym Moralesem do jednej klasy w podstawówce. Ale zawsze było tak, że Moralesi robili wrażenie szefów całej okolicy. Przychodzili i mówili rodzicom, że nie powinni nigdzie wyjeżdżać, że nie rzucim ziemi skąd nasz ród i że groby przodków i tak dalej. Wydawało się, że Moralesi byli tutaj od zawsze. Teraz mi się to wydaje śmieszne, ale jak byłam młodsza, to mnie to naprawdę przerażało. Wkładałam jakąś tam sukienkę i wychodziłam z domu z lękiem, że spotkam Moralesów, a oni obśmieją albo skrytykują tę sukienkę. I niemal zawsze któregoś spotykałam albo i dwóch na raz, i niemal zawsze obśmiewali moje sukienki, moje buty, moje włosy. Tak było. Ledwo się wyszło z domu, to czekał któryś Morales. Koszmar. A kiedy rodzice jednak wyjechali do Ameryki i zostałam tylko z babcią, nie pojechałam z nimi, bo jeszcze się wtedy uczyłam, wtedy obydwa Moralesi uznali, że mnie będą wychowywać. Pouczali mnie bez przerwy, to był jakiś koszmar. Nawet jak już poszłam na studia.

- Czy mnie się wydaje, czy starszy Morales kiedyś był żonaty? - zapytał mistrz.

- Nadal jest żonaty. Ale zdręczył tę biedną żonę. Razem z bratem ją zdręczyli. Uciekła. Nadal jest jego żoną, bo Morales uważa, że to, co Bóg złączył i tak dalej. Ale ona gdzieś tam, daleko, mieszka i nie ma ochoty wracać. Wcale jej się nie dziwię. A obydwa, zwłaszcza



młodszy, jeszcze bardziej dziwaczni zrobili się po śmierci ich ojca, który był tak samo wielki i sękaty jak oni. Umarł kilka lat temu.

- Hohoho - mruknął mistrz. - Nie wiedziałem tylu rzeczy. Wydawało mi się, że to dosyć miłe, nieszkodliwe chłopiska.

- No bo tak jest. Żaden z nich muchy by nie skrzywdził. Ale jak byłam młoda, to nie rozumiałam tego. Wydawali mi się obydwaj potworami. Teraz to już wiem, że żadne z nich potwory, starszy głędzi, poucza, ale nikt go tak naprawdę nie słucha, a młodszy ma jakieś tam swoje obsesje, ciągle gada o śmierci ojca, ciągle marudzi, jak to stary kawaler. I tyle. Już się ich nie boję.

- Kolegowali się z Doktorem, prawda? Morales coś mi tam o tym wspominał...

- Starszy z nim pijał alkohol i dyskutował, młodszy kolegował się z Doktorem mniej, bo młodszy mniej pije i jest mniej towarzyski, sam chyba zauważyłeś. No ale starszy był zazdrosny o Doktora, parę razy to powiedział dosłownie. No to raczej nie kolegował się z nim za bardzo. Pijał z nim tylko alkohol. Pojawiał się bardzo często, jak Doktora tu nie było. I gadał o nim nieprzyjemne rzeczy. Ale to już mnie raczej śmieszyło, a nie przerażało. Dorosłam. Doktor sprawił, że dorosłam. Wprawdzie czasem traktował mnie jak dziecko, ale nie z pobłażaniem, raczej traktował mnie jak bardzo cenne, szczególnie dziecko, jak jakąś następczynię tronu, rozumiesz?

- Hm - powiedział mistrz.

I zniecka pomyślała o suce, która w ciemnym pokoju czekała na niego i na wieczorne wyjście na spacer. No, może jeszcze nie w tej chwili, ale już niebawem.

Tak, tak, wyjechać stąd, wyprowadzić sukę, zasnąć.

Nie łaźć już po mieście, nie ma po co, odpowiednia dawka alkoholu już prawdopodobnie została wchłonięta, nie ma sensu liczyć na to, że spotka się kogoś przyjaznego, wszyscy umarli, a te żyjące niedobitki sympatyczne są tylko przez chwilę, potem następuje pospieszne wlewanie w siebie alkoholu, zapadanie się w siebie, różne nieprzyjemności się zaczynają, zawiści, brednie, pretensje, przemądrzalstwa.

Wszyscy, którzy nadawali się na współników w picciu i normalnej rozmowie, albo umarli, albo zniknęli, albo pić przestali.

Reszta jest na krawędzi.

A mistrz najprawdopodobniej zaszedł najdalej. Stoi na najbardziej wysuniętym na północ cyplu. Tak.

I słucha oniemiały zagubionej piosenki Beatlesów z sześćdziesiątego ósmego.

\*

Morales ochłonął po długim, wyczerpującym ataku szlochów połączonych z czkawką.

Nadal siedział przy barze, ale tym razem za barem stała pani Jola, właściciel Stylowej ponownie zniknął, prawdopodobnie wrócił do Krakowa, naoddychał się atmosferą sensacji i pojechał do zwyczajnego życia.

Pani Jola usiłowała pocieszyć Moralesa. Nie szło jej to za dobrze.

Policjanci jeszcze nie wyjechali, siedzieli przy stolikach, co jakiś czas wchodzili następni.

Niemal wszyscy już opuścili miejsce zbrodni. Zrobili sobie centrum operacyjne w Stylowej. Tu było zdecydowanie cieplej.

Pan klawiszowiec, człowiek o twarzy wyrażającej jakąś wewnętrzną chorobę, nie grał już żadnych niezapomnianych melodii, bo nie wypadało grać wesołych melodii w obliczu śmierci. A smutnych melodii niestety nie miał w repertuarze. Siedział samotnie przy stoliku i patrzył nieruchomym wzrokiem w stronę Moralesa.

Wreszcie odważył się i podszedł do baru.

- Dosiądźże się pan do mnie, nie ma co tak siedzieć samemu. Napijemy się. Pani Jolu, butelkę wyborowej poproszę i dwa kieliszki! No, chodźże pan, ja bardzo proszę i nalegam!

Morales westchnął i uległ.

Usiedli przy stoliku, klawiszowiec nalął, wypili.

- To pan został teraz sam na tym świecie!

- Ano niby tak - potwierdził Morales.

- Ale co to się stało? Kto by mógł mu taką krzywdę zrobić?

Przecież wszyscy tu się znamy, szanujemy i lubimy, panie Morales, dobrze mówię?

Morales westchnął.

A pan klawiszowiec zapatrzył się w ogorzałą twarz Moralesa i zniżonym głosem powiedział:

- A dzisiaj sklepowa mówiła, żeście wczoraj mocno z bratem popili i coś jakby słyszała, żeście się pokłócili, ale to chyba nieprawda, co? - łypnął chytrze oczkiem.

- Niech ona lepiej pilnuje swojej rodziny! Niech ona się nad swoim życiem lepiej zastanowi! - wściekł się nie na żarty Morales. - Wścibska baba.

- Ale piliście?

- Piliśmy. Okazja była, to piliśmy. Co komu do tego? A pan, co pan robi, pan z tymi pana wrzodami też pije! A nie powinien pan!

Klawiszowiec w milczeniu nalał do kieliszków. Wypili. Następnie klawiszowiec wyraził w kilku konwencjonalnych zdaniach kondolencje.

Później Morales chrząknął, siąknął nosem, powiedział, że idzie. I poszedł w mrok.

\*

- Ty to dziwny jesteś...

- Czemu dziwny?

- Ludzie tacy nie są.

- Nie są. Ale czasami żałuję, że nie jestem taki jak ludzie.

- A ja myślę, że to dobrze, że jesteś taki dziwaczny.

- E.

- No ale przecież nie jest z tobą aż tak źle. Przecież zrobiłeś coś w życiu, prawda? Tylko, że potem to zmarnowałaś...

- Wie pani, ludzie potrafią doskonale celebrować to, co w życiu zrobili. Znałem takich, którzy napisali jedną lub dwie cieniutkie książki z wierszami i od razu wkładali laurowe wieńce, od razu domagali się świadczeń, stypendiów od ministrów kultury, wyjazdów z odczytami na amerykańskie uniwersytety. Znam takich, którzy, spłodzwszy dziecko z dwiema rękami i dwiema nogami, uważali, że należy się im i ich dziecku od tego momentu wszystko. Ja tego nie umiem. Nie umiem wcale pielęgnować swojego ego. Mam taki defekt.

Chyba nie słuchała. Zmarszczyła czoło, myślała o czymś innym. Nagle stuknęła się w głowę.

- Wiesz, przypomniałam sobie, przecież ja mam alkohol! I to ten od młodszego Moralesa, mówiłam ci już chyba, kiedyś skądś

zdobył ileś tam butelek jacka danielsa, bardzo tanio to sprzedawał, dwie odkupił nasz szef, coś tam Doktor i ja jedną przecież też, sama nie wiem po co, ale mam ją, wiem, już wiem, gdzie ją schowałam! Szczęki i trzaski z kuchni.

- O, jest! Proszę bardzo!

Wróciła, tryumfalnie trzymając butelkę.

- Widzisz? Mam. Jak mogłam o niej zapomnieć? Kupiłam ją pewnie na wszelki wypadek, gdyby Doktor poprosił kiedyś o alkohol. Ale nie poprosił. Jakoś się nie zdarzyło.

Nalała mu do szklanki.

- Przepraszam, nie mam lodu.

- Nie szkodzi. Wcale się nie upieram, żeby był lód.

Bursztynowy płyn stał przed nim, powąchał go, ale nie ruszył jeszcze szklanki, postanowił odczekać jakąś odpowiednio długą chwilę.

- Można zapalić? Strasznie przepraszam, ale muszę zapalić. Można?

- Można... - powiedziała z wahaniem. - Zaraz ci znajdę popielniczkę, w ogóle nie byłam przygotowana na męską, przepraszam, wizytę. Nikt mnie tutaj nie odwiedza.

Znowu zniknęła w kuchni.

Mistrz spojrział w oczy kota i zapytał:

- No i jak się bawisz na tej imprezie u ludzi?

Kot nie odpowiedział.

Dziewczyna nie wracała długo.

Mistrz zaniepokoił się, nie wiadomo dlaczego, i wstał, i poszedł do kuchni.

Była tam, bo niby gdzie miała być?

Stała w jaskrawym świetle, odwrócona do niego wzruszająco szczupłymi plecami i ściszym głosem rozmawiała przez komórkę. Wycofał się dyskretnie i wrócił na swoje miejsce.

- Ci ludzie telefonują i telefonują. Czemu to robią? Czy dlatego, że mają tyle do powiedzenia? Oni podkreślają być może więź, która między nimi istnieje. Muszą tę więź podkreślać, bo inaczej zaniknie. Czy jest ktoś, do kogo w tej chwili bym chętnie zatelefonował? Nie ma. Na pewno nie ma. No, w zasadzie jest. Suka. Zadzwoiłbym i obiecał, że wrócę, że pójde z nią na spacer. Ale ona o tym wie. Ona nie potrzebuje zapewnień - tak myślał sobie mistrz.

- Ale tej to ty mi nie ruszaj, szanowny kolego - powiedział Doktor.

Mistrz, mimo że w pijanej mgłę, od razu pojął, o co chodzi Doktorowi.

- Nie mam najmniejszego zamiaru, Doktorze. Niech Doktor się nie martwi. Nie śmiałybym.

- No bo, rozumiesz, to jest zupełnie coś innego. Nawet ciebie nie potrzebuję jako przyzwoitki. Z innymi kobietami to jest tak, że jak mnie któraś zmęczy, to ty jesteś dla mnie czymś w rodzaju bezpiecznika. Zawsze można powiedzieć, że muszę zająć się moim pijanym kolegą, i ją spławić. A w tym przypadku do niczego nie jesteś mi potrzebny. Ponieważ nie chcę jej spławić, rozumiesz?

- Bardzo okrutne jest to, co mówisz, Doktorze.

Doktor wzruszył ramionami i zaczął pisać esemesa.

\*

Morales zapukał w okno. Był wściekły.

Gdyby nikt nie zareagował na to pukanie, byłby w stanie wybić tę szybę, podpalić ten dom, nasikać na zgliszcza.

Po dłuższej chwili w oknie pojawiła się zaleźniona twarz.

- Otwieraj - powiedział. - Otwieraj, bo pożałujesz!

\*

- A przecież mogło coś z ciebie być - powiedziała dziewczyna.

Mistrz uniósł pytająco brwi. Nie podobał mu się jej ton. Wiadomo było, że zaraz powie coś przykrego. Nawet najmilszy pozornie ludzie od czasu do czasu lubią mówić rzeczy przykre, tak się przyjęło.

- Mogłoby coś z ciebie być. Widziałam twoje zdjęcia z młodości, Doktor mi pokazywał. Byłeś interesujący, pewnie niegłupi. Dlaczego się tak zaniedbałeś?

- Świat mnie zaniedbał, proszę pani. Świat.

- Nie wygaduj głupot. Spotykałeś ciekawych ludzi, uczestniczyłeś w ważnych wydarzeniach. Co się z tobą stało?

- Należałoby zapytać raczej, co się ze światem stało, proszę pani, co się stało ze światem?

- Tak możemy rozmawiać w kółko. To bez sensu. To nie będzie miało końca.

- To zawsze ma jakiś koniec - powiedział mistrz i koniec nastąpił natychmiast.

\*

Otworzyły się z hukiem drzwi od pokoju babci, buchnęły jeszcze głośniejszą dźwiękiem z telewizora.

- Chodźta, chodźta! - zawołała babcia. - Chodźta, coś zobaczyta!

Dziewczyna wstała i kiwnęła na mistrza. Odstawił szklankę, troszkę niechętnie się podniósł, ale poszedł z nią do pokoju babci.

Babcia stała. Opierała się o stół i wskazywała laską ekran.

A tam, w telewizorze, widać było szopę przy domku letnim Doktora. A potem wewnątrz szopy.

Kamera przez moment przejechała po jakimś dziwnie ułożonym, poskręcany kształcie. Na szczęście nie zatrzymała się na nim na dłużej. Na szczęście oszczędzono publiczności telewizyjnej zbyt drastycznych widoków.

A potem na ekranie pojawiła się poważna, kompetentna i bardzo skupiona redaktor Marzena Małgorzata Malinowska. Powiedziała tak:

- Nasza ekipa przybyła tu oczywiście wcześniej niż policja. Jak stwierdziliśmy, zamordowany Piotr Ż., lat czterdzieści dziewięć, był mieszkańcem tej miejscowości... Dalsze szczegóły poznacie państwo w głównym wydaniu, po godzinie dwudziestej pierwszej.

- Jezus Maria! Widzita? - wykrzyknęła staruszka. - Młodszego Żółwińskiego zabiły!

- Żółwińskiego?

- Młodszego Moralesa - objaśniła dziewczyna.

Mistrz zaniemówił na chwilę.

W telewizorze pojawiły się reklamy, babcia połknęła kilka kolorowych pigułek, wymienili z nią parę uspokajających zdań, wrócili do pokoju dziewczyny, mistrz znowu usiadł na miejscu Doktora.

- Nie wiedziałem, że oni tak mają na nazwisko. Dzisiaj kilka razy słyszałem to nazwisko, nawet w Krakowie, nie wiedziałem, że to o nich chodzi.

- A bo nikt tu na nich nie mówi po nazwisku. No, najwyżej na ich ojca się mówiło: stary Żółwiński. Umarł parę lat temu, mówiłam ci już. Ale kto mógł to zrobić młodszemu Moralesowi? I dlaczego? Tak mi jakoś teraz głupio, że go obgadywałam...

- Paskudny dzień. Kompletnie bez sensu - powiedział mistrz.

Powinien w tym momencie zadać jeszcze wiele pytań dziewczynie.

Ale ich nie zadał. Odłożył je na później.

Niby powoli wszystko stawało się bardziej jasne, ale dręczyło go coś.

Bo było coś jeszcze. Było jeszcze coś ważnego, coś, o czym powinien pamiętać.

Pomyślał, że jeśli napije się jeszcze odrobinę, to pamięć powróci.

Więc się napił. Więc się skupił. Więc spróbował uruchomić jakieś odległe wspomnienia, połączyć ze sobą jakieś elementy układanki, coś na horyzoncie zaczęło mu majaczyć, może niezbyt jeszcze wyraźnie, ale poczuł, że jest na właściwym tropie, poczuł, że już niedługo zrozumie.

Należało tylko przypomnieć sobie.

## rozdział ósmy

Bo mistrz zapomniał. Zapomniał o tym na śmierć. Wiele rzeczy mistrz zapomniał, wiele rzeczy gdzieś tam pałętało się po jego mózgu, ale właściwej drogi jeszcze jakoś nie mogło odnaleźć.

Ciepły, bezwietrzny, letni dzień, bardziej sierpniowy niż lipcowy, kilka lat wcześniej. Późnym wieczorem.

Mistrz przesiedział w swoim mieszkaniu cały ten dzień, nie chciało mu się włączyć po rozpalonym, pełnym turystów Krakowie.

Obudził się w południe, nikt go wcześniej nie budził, ponieważ suka jeszcze nie istniała w jego życiu, suka pojawiła się jesienią, większość miłości w życiu mistrza pojawiała się jesienią lub wiosną. Ale jesienią częściej.

Za oknem na Małym Rynku był jeszcze parking, istniało wtedy jeszcze wiele rzeczy, które w tej chwili nie istnieją” Istniał na przykład Doktor.

- Halo!

Mistrz wychylił się przez okno, rzeczywiście, to wołał Doktor, nie chciało mu się wchodzić na górę. Może i dobrze, bo z niesmakiem spojrzalby i nie omieszkał skomentować bałaganu panującego w mieszkaniu mistrza.

- Co jest? - zapytał mistrz.

- Zejdź, mój ty domatorku, pójdźmy w tę upalną noc. Sprawdźmy, jakie atrakcje dla nas przygotowała.

- Zaraz schodzę - oświadczył mistrz. Do nikogo innego by nie wyszedł, jedynie Doktor był w stanie zmusić go do wyjścia, jedynie dla Doktora warto było wychodzić.

Włożył sandały, zabrał ze sobą, nie wiadomo po co, ciemne okulary. Wołał pić w ciemnych okularach, wtedy miał pewność, że nikt



nie widzi jego zmaconego wzroku, czuł się pewniej w tych ciemnych okularach, bez nich czuł się niepewny, niekompletny, nagi.

Doktor podał mistrzowi rękę na powitanie. Bardzo rzadko witali się, podając sobie ręce. W tym momencie nastąpiło odstępstwo od reguły. Od razu mistrz poczuł, że coś nie gra.

- Dokąd pójdziemy? Do Biura?

- Najpierw na ławkę - tu Doktor pokazał, że w teczce ma przepiękne i budzące wielki respekt dwie butelki jacka danielsa. - Wypijemy to, a później się zastanowimy.

- Proszę bardzo - powiedział mistrz, troszeczkę zadziwiony imponującą ilością alkoholu, ale nie protestując, gdyż nie było po co protestować, absolutnie nie było po co.

Poszli na Planty, usiedli na ławce w okolicach Gródka, zapalili. Mistrz czekał, aż Doktor powie, co to za okazja. Wypili, z plastikowych kubeczków.

- Przepraszam, że w taki sposób, ale nie chciałem zabierać z domu rodowych szkieł, poszłyby na zmarnowanie, a przecież trzeba coś po sobie przysłym pokoleniom zostawić. Tobie tak naprawdę jest wszystko jedno, a ja dzisiaj to nawet i ciepłego, słodkiego, taniego wina prosto z butelki bym się napił, tak mój stan, drogi kolego, obecnie się przedstawia.

Mistrz uczynił uspokajający gest. I czekał aż Doktor wyzna, co mu leży na wątrobie, lecz Doktor nie wyznał.

Dosiadł się do nich, bez pytania, pijaczek. Coś zabełkotał. O coś poprosił, a może nawet czegoś zażądał.

- Odejdź pan. Po dobroci proszę, odejdź pan! - Doktor zniecierpliwiał się z lekka.

Pijaczek zabełkotał ponownie. Chwycił Doktora za rękaw koszuli.

- Ha! Ta karczma Rzym się nazywa! Ty uważaj... - powiedział znieścacka bardzo wyraźnie pijaczek, zbliżając twarz do twarzy Doktora. - Ty uważaj! Ty nie myśl sobie, że się wykręcisz z tego, co obiecałeś!

Doktor zbladł.

I nie odpowiedział.

A pijaczek wstał i bardzo trzeźwym krokiem oddalił się.

- Co to było? - zapytał mistrz, a Doktor wcale nie odpowiedział, posiedział chwilę w osłupieniu, a potem uzupełnił alkoholem plastikowe kubeczki.

Po jakimś czasie zaczęli rozmowę o rzeczach mało istotnych, znowu się napili, zapalili, napili się, coraz ciemniej się robiło, ale ruch na Plantach nie malał wcale, szły grupki młodzieży, szli obco-krajowcy, szły psy z właścicielami. Szli wszyscy w niewiadomym kierunku. Gdzieś tam.

Lato.

Lato 2004. Najprawdopodobniej. Tak, tak, 2004. Ani później, ani wcześniej.

Długo siedzieli, aż Doktor zaproponował, żeby zmienić lokal, choć alkohol wcale się nie skończył, wysączyli zaledwie jedną z butelek do końca, drugą natomiast Doktor sprezentował mistrzowi.

Wpadli na moment do mistrza, aby mistrz mógł pozostawić prezent w domu. Żeby go nie zgubić.

- I tak tę butelkę następnym razem wypijemy we dwóch - powiedział mistrz, lecz nie było to prawdą, oj nie.

Tę butelkę mistrz wypił wiele miesięcy później, już po śmierci Doktora, znalazłszy ją w swojej kuchni. Tak się złożyło.

Nie umiał pić sam, w domu. Taka ciekawa przypadłość.

- Pamiętasz ten dyktafon, który ci dałem na urodziny w zeszłym roku? - zapytał zniecka Doktor.

- Yhm, pamiętam - potwierdził mistrz. - Sugerował mi pan, Doktorze, że powinienem na niego nagrywać wspomnienia z młodości, ale niczego jeszcze nie nagrałem, przepraszam. Z powodów technicznych. Sam pan wiesz. Umieć doskonale zapalać światło i gasić światło. Umieć posługiwać się gramofonem, pralką i lodówką. Lata doświadczeń. Z trudem opanowałem zasady posługiwania się odtwarzaczem do płyt kompaktowych, ale się udało i to jest moje największe osiągnięcie. Jeszcze nie przeczytałem instrukcji do tego dyktafonu, pan się nie gniewaj. Ale opanuję tę sztukę, obiecuję!

- Pożyczysz mi ten dyktafon na kilka dni? - zapytał Doktor.

- Ależ proszę bardzo. Nawet pamiętam, gdzie leży - odpowiedział ochoczo mistrz, pogrzebał w szufladzie, przetrząsnął stos bezużytecznych przedmiotów niewiadomego przeznaczenia (mistrz nie wyrzucał ich, ponieważ czuł z nimi silną wspólnotę) i wydobył fabrycznie jeszcze opakowany dyktafon.

Wręczył go Doktorowi, rad, że się wreszcie na coś przydaje.

Tymczasem trwała piękna noc, noc sierpniowa najprawdopodobniej, wyszli z mieszkania mistrzowego w ciemny Mały Rynek, wypełniony samochodami.

Pod ścianą kościoła św. Barbary nieruchomo sterczał samotny człowiek. Patrzył na nich. Ale oni go nie zauważyli. Odprowadził ich wzrokiem.

Udali się do Biura.

Była to epoka, kiedy mistrz, chcąc nie chcąc, każdego dnia spędzał kilka godzin w tym przybytku. Nie ma większego zagrożenia niż knajpa, której właścicielem jest kolega. To czasami jest bardzo przydatne, ale z drugiej strony: najgorsze, co może się człowiekowi przytrafić.

Mijali lokal Dym.

- O, Mango! - mistrz zauważył przy jednym z ogródkowych stolików charakterystyczną, wygoloną głowę.

- Rzeczywiście - przytaknął Doktor.

Dosiedli się do niego i do jakiegoś średnio im znajomego towarzystwa. Omawiano właśnie pałacy problem Kościoła, czyli czy komunია święta do buzi czy do rączki.

- A wy, kurwa, zdradzacie mnie! - zatopił pijane spojrzenie w twarzach nowo przybyłych Mango Głowacki. - Zdradzacie mnie, do mojego lokalu wam już się nie chce chodzić, wolicie do jakiegoś pieprzonego Dymu?

Nie było sensu tłumaczyć mu, że właśnie szli do Biura, a usiedli tutaj, bo go zauważyli. Jak mogą chodzić do jego lokalu, skoro on, jego właściciel, przesiaduje w Dymie? Nie warto było tłumaczyć, ale usiłowali to uczynić. Na nic to się zdało, Mango powtórzył z uporem swoje zarzuty, a następnie wspaniałomyślnie zebrał zamówienia od całego towarzystwa.

- A ty czego byś się napiła? - pytał siedzącą po jego lewej ręce panią.

- Ja bym poprosiła o podwójne białe martini z cytryną i trzema kostkami lodu.

- A ty? - pytał pana po prawej.

- Ja bym chciał setkę stocka z kostką lodu.

- A państwo? - przerwał całowanie siedzącej wraz z nimi parze.

A oni też powiedzieli, jakie jest ich, zakochanych, alkoholowe marzenie.

- A wy, wieśniaki? - dobrodusznie zwrócił się do zdradliwych kolegów, mistrza i Doktora.

- Jakby był daniels, to dwa razy danielsa - zaordynował Doktor.  
- Nie będziemy mieszać. Raz z jedną kostką, raz z czterema.

Mango chwiejnym krokiem udał się do baru, przeszło kilku figurantów terenowych, między innymi gruby pan, który tonem wykluczającym sprzeciw zawsze żądał dwóch złotych, a co ciekawe, umiał to robić również w języku angielskim. Przeszedł również pan, który zawsze chciał papierosa, ale jeżeli wyciągnęło się do niego paczkę, to wyjmował kilka.

Odmówili wszystkim. Przyszła również upiorna dziewczynka handlująca kwiatami, dziewczynka o manierach starej kurwy.

- Bardzo panów przepraszam... - zaczęła.

- My też cię bardzo przepraszamy - powiedział Doktor.

Znali na wylot tych, którzy chodzą od stolika do stolika i chcą. Siedzieli przy tych stolikach wiele razy, wiele razy te same osoby podchodziły do nich z tym samym tekstem. Honorowali tylko tych wyludzaczy, którzy potrafili powiedzieć coś nowego, coś oryginalnego.

Mistrz zawsze w takich chwilach usiłował wyobrazić sobie siebie jako żebraka. Wszak przyjąć może taki dzień. Że ani domu, ani pieniędzy. Przecież zmierzał w tę stronę. Skupiał się i nie mógł sobie siebie w takiej sytuacji wyobrazić. Nie miał, no, nie miał takich umiejętności. Nie miał tej bezczelnej desperacji. I nie podejrzewał, żeby kiedykolwiek udało mu się ją osiągnąć. Trudno.

Wrócił Mango. Przyniósł piwo tylko dla siebie. Usiadł i uśmiechnął się szeroko.

Na zdziwione spojrzenia pozostałych zareagował chichocząc:

- O co wam chodzi? Ja tylko chciałem poznać wasze największe marzenia!

Mistrz westchnął, zebrał pieniądze od całego stolika i udał się do baru, gdzie zamówił co należy, a kiedy wrócił, to na jego krzesło siedział pan w białym ubraniu i szeptał coś do Doktora. Wydawało się mistrzowi, że już kiedyś widział tego pana, że to jakiś kolega Doktora jest.

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi - powiedział, kiedy pan chciał odstąpić krzesło jemu, prawowitemu właścicielowi tego krzesła. - Nic nie szkodzi, pójdę jeszcze do toalety, a potem znajdę sobie jakieś krzeselko. Pan się nie przejmuj.

Doktor spojrział na mistrza zimnym wzrokiem. Powinno go to zaalarmować, ale nie zaalarmowało.

Powłókł się do toalety, toaleta była zajęta, stał w kolejce z jakimś dziewczętami i słuchał ich paplaniny. Traktował to jako zwykłą paplaninę, ponieważ nie był uświadomiony dostatecznie, ponieważ, oczywiście, nie miał pojęcia o tym, że kobiety dopiero teraz, u zarania dwudziestego pierwszego wieku powoli odzyskiwały dumę, godność i świadomość, coraz bardziej potrzebowały reprezentacji w rządzie, by mówić o dostępności i dopłatach państwa do środków antykoncepcyjnych, o prawie do usuwania ciąży, dotacjach do in vitro, o równych prawach kobiet i mężczyzn, równej płacy za równą pracę i tak dalej. No, nie miał pojęcia. W tym sensie był kompletnie nieczuły i ciemny. Stał, słuchał tej paplaniny i nie zdobył się na żadną refleksję.

A potem była jego kolejka i wykorzystał to.

Bez żadnych skrupułów. Mimo że jedna z dziewcząt usiłowała wepchnąć się przed niego.

A kiedy powrócił do stolika, Doktora przy nim nie było. Zniknął wraz z panem w białym, letnim ubraniu. Pozostały po nich dwa wolne krzeselka i niedopity alkohol.

- O, poszedł już Doktor? - zapytał mistrz Manga, a Mango odpowiedział wieloznacznie, zupełnie niejasno, lecz w zasadzie twierdząco.

- Szkoda - mruknął mistrz i oddał się katatonii.

A kiedy po kilkudziesięciu minutach szli, zataczając się groteskowo, w stronę Biura razem z Mangiem Głowackim - wielki i łysy z mniejszym z włosami - tuż za kościołem zobaczyli Doktora.

Stał nadal z białą odzianym człowiekiem i prowadził poważną rozmowę.

- Nie pierdolcież, chłopaki. Ileż można? Chodźcież do Biura! - Mango usiłował zagarnąć obu swoimi łapami, jednak pan w bieli uchylił się i ramiona Manga dosięgły tylko Doktora.

- W zasadzie skończyliśmy, tak? - zapytał pan.

A Doktor nie odpowiedział.

- Dobranoc - powiedział pan i udał się w stronę Rynku.

Więc poszli we trzech do Biura: pierwszy, wielki i łysy, drugi, średni, tylko leciutko łysiejący, oraz trzeci, najmniejszy, z włosami.

Szli powoli przez krakowską letnią noc, noc pod nieustającym, życzliwym patronatem Prezydenta Miasta Profesora Jacka Majchrowskiego.

Dla przypomnienia: prezydentem Polski podówczas był człowiek o nazwisku Kwaśniewski. Później prezydentem Polski został człowiek o nazwisku Kaczyński. Takie ciekawe, rozczulająco śmieszne rzeczy się wtedy przydarzały, a teraz powoli nikną w mroku dziejów...

Nie było daleko, więc doszli bez trudu. W Biurze było pełno.

Mango, jako kultowy i magiczny właściciel, wypłoszył jednym ruchem ręki towarzystwo okupujące ich ulubiony stolik.

- Idźcie dzieci na kebaba albo na coś, co tam sobie winszujecie, dajcie starym odpocząć! - oświadczył w stronę zmykających.

Zaraz też przyniósł z baru omszałe lodem butelki z czystą wodką, zaraz też zmienił muzykę na jakiś ckliwy rosyjski romans, zaraz też zakochał się w jakiejś naburmuszonej pannicy siedzącej przy sąsiednim stoliku, zaraz też odciągnął naburmuszoną pannę od jej towarzystwa, zaraz też z zainteresowaniem godnym lepszej sprawy wypytał ją o to, gdzie studiuje i jaki ma znak zodiaku, zaraz też zatańczył z nią.

- O Jezu - powiedział Doktor. - Doigrałeś się.

Mistrz nie zrozumiał.

- Ja? Doigrałem się?

- Ty. Doigrałeś się.

- Nie rozumiem. Czego się doigrałem?

- Naprawdę, mówiłem ci przecież, że nie powinieneś tak żyć. Na granicy prawa. Nie płacąc podatków. Bez dowodu osobistego, pracy, zameldowania, bez ubezpieczenia, bez tego wszystkiego, co normalni ludzie mają. Potrzeba było tylko małego wysiłku - i byłbyś normalny. Ale nie. Ty musiałeś odwrotnie. No to się doigrałeś!

- Nie rozumiem - powiedział mistrz, bo rzeczywiście nic nie rozumiał.

Doktor napił się i powiedział:

- I ja muszę teraz świecić za ciebie oczami. Ja teraz muszę świecić oczami za was wszystkich. To ja będę ponosił konsekwencje.

- Nie rozumiem - powiedział powtórnie mistrz. - Nie rozumiem, dlaczego tak pan mówi?

A Doktor nie odpowiedział, klepnął mistrza dość boleśnie w głowę i umilkł na dłużej.

Do stolika powrócił Mango z zupełnie już nienaburmuszoną pannicą.

- Co wy takie miny macie, koledzy wy moi najmilsi? Ledwośmy z Marzenką odeszli od stolika, to wy zaczynacie mi ponurzyć? Napijmy się, zdrowie Marzenki!

Za szybą pojawił się człowiek w bieli. Pierwszy zauważył go mistrz, od razu pomyślał, że to nie wróży niczego dobrego. Potem zobaczył go Doktor, zadygotał nerwowo.

Tamten nie wchodził, stał i patrzył na Doktora, na mistrza, na Manga, nawet na Marzenkę, która właśnie opowiadała towarzystwu o swoich zainteresowaniach.

A nagle uśmiechnął się i jednak wszedł.

Przecisnął się pomiędzy tańczącą młodzieżą i zbliżył się do ich stolika.

- Aha, Doktorze. Byłbym zapomniał. Jeszcze jedno. Recepty dla Loli. Recepty na bardzo ciekawe substancje. Mogę to udowodnić.

Doktor przymknął oczy.

- Pan siada - powiedział bardzo dobrze wychowany Mango, który podniecony obecnością kobiety słabo już cokolwiek postrzeżał.

Nie czuł tej dziwnej grozy, którą wniósł ze sobą biało odziany, nie czuł absolutnie niczego oprócz miłej jego sercu kobiecej obecności. Grzecznie odsunął krzesło od stolika.

- Dziękuję panu serdecznie, bardzo pan miły. Ale na mnie już czas. Zajmijcie się panowie Doktorem. On teraz potrzebuje waszego wsparcia. Naprawdę.

Mistrz czuł, że coś nie gra, ale zbyt wiele było wypite, zbyt wiele dookoła i wewnątrz się działo, szumiało, huczało, dudniło, więc zignorował tę historię, oddał się picciu, płynięciu, płonięciu.

Doktor był nieopodal, nigdzie wyjątkowo nie dzwonił, nie pisał esemesów, nie spoglądał co chwila na zegarek, inny był jakoś, pobladły mimo upału, chłodny, mało żartujący, coś niby mówił, o coś pytał, ale wszystko to gdzieś się rozwiało, zatoneło.

Zostało wypłukane bezpowrotnie.

\*

O takim to właśnie drobnym epizodzie z przeszłości mistrz nie pamiętał, lecz kto wie, czy warto obarczać pamięć takimi historiami. Nie ma takiego obowiązku. Dorosły mężczyzna wcale nie musi wszystkiego pamiętać.

Nie pamiętał zaś dlatego, że później wypili bardzo dużo. Natomiast jeszcze później działy się rzeczy zupełnie niejasne: jakies czołganie się w ciemnościach w niewiadomym towarzystwie, jakies agresywne zachowania, Bóg jeden wie czyje, jakies wydarzenia mogace spowodowac wyrzuty sumienia, więc wycofane w najodleglejsze rejony mózgu.

Prawdopodobnie następnego dnia mistrz obudził się w jakimś obcym miejscu. Jeżeli nie obudził się we własnym łóżku, to musiał obudzić się w jakimś obcym miejscu.

Prawdopodobnie z zażenowaniem wymknął się stamtąd, nie poźegnawszy się z nikim, słabo nawet postrzegając, w jakim towarzystwie przywitał nowy dzień.

Prawdopodobnie rozejrzał się, rozpoznał, w jakim miejscu Krakowa się znajduje, powlókł się do własnego domu, wszedł do swojego łóżka i cały dzień albo spał, albo miotał się pomiędzy kuchnią a łazienką.

Tak najprawdopodobniej było.

Nie ma czego wspominać.

\*

Dziewiętnasta dwadzieścia siedem. Najpierw słyhać było wokalistkę, która śpiewała piosenkę. To była ta wokalistka, która od wielu lat śpiewała tę piosenkę. Miała różne nazwiska, ale zawsze to była ta sama wokalistka. I piosenka też była ta sama. Od wielu lat.

A potem ewidentnie nastąpiła zmiana programów i z pokoju babci rozległ się sygnał telewizyjnych Wiadomości. Śmierć młodszego Moralesa to nie był raczej temat ogólnopolski, więc nie można było się spodziewać, że i teraz będą o tym mówić w telewizorze.

Mistrz pił powoli, pił niewiele. Gdyby się skupić i policzyć, ile wypił dnia dzisiejszego, to ta ilość alkoholu prawdopodobnie przekraczałaby nawet jego przeciętną dawkę. Ale przecież robił dość duże przerwy, przecież profilaktycznie wymiotował, przecież trochę nawet spał. Dobry dzień na alkohol.

- Wiesz, czasami mam wrażenie, że wszystko mi się przyśniło: Doktor, ty, to miejsce. Że moje życie jest zupełnie gdzie indziej. Że nie ma żadnej Stylowej. Że nawet mojego kota nie ma - powiedziała dziewczyna i pogłaskała kota.

- Bardzo proste rozwiązanie - mruknął mistrz.



- Może i proste.
- Za proste. Zdecydowanie za proste, droga pani.

Urażona dziewczyna wydeła wargi, widocznie nie za bardzo jej się to spodobało. - Nie mów do mnie „droga pani”. Nie lubię.

Mistrz pomyślał sobie zniecka, że trzeba brać się do detektywistycznej roboty. Dostyc tego pierniczenia, dostyc tego zwlekana, dostyc tego odkladana na pózniej. Wszak czas mistrza powoli się już kończył. Wróciła mu dotkliwa świadomość tego faktu.

- Pokaże mi pani jeszcze raz tego esemesa? Postukała w przyciski w komórce.

- Proszę.

Mistrz odczytał ostatnie przesłanie Doktora.

Godzina nadania esemesa: dwudziesta trzecia jedenaście.

- Jedenaście jedenaście... I jak pani na to zareagowała?

- Ja już spałam. Nie usłyszałam sygnału. Byłam po całym dniu pracy, nie wiedziałam, że Doktor ma przyjechać tego dnia z Krakowa. Nie zawiadomił mnie, że będzie.

- A kto go znalazł? I kiedy?

- Przecież ci już mówiłam. Przecież ci już mówiłam. Koniecznie jeszcze raz musisz tego wysłuchać? To było rano. Następnego dnia. To ja go znalazłam. Odczytałam zaraz po przebudzeniu tego esemesa i natychmiast pobiegłam do niego. Siedział spokojnie, nieruchomo w fotelu, myślałam najpierw, że śpi, ale jak zobaczyłam jego otwarte oczy, to od razu wiedziałam. Dziwne, ale nie płakałam, nie histeryzowałam, nie krzyczałam. Przyszedł młodszy Morales i powiedział, żebyam zadzwoniła na policję.

- A czego on tam szukał?

- Podobno umówił się z Doktorem. Więc wyszłam przed dom i jak w jakimś transie zadzwoniłam na policję, a potem wróciłam, usiadłam koło Doktora, wzięłam go za zimną rękę, nigdy nie zapomnę tego zimna, takie zimno się nie zdarza... Usiadłam koło niego i czekałam. Aż przyjechali.

- I na pewno wiadomo, że nikogo prócz Doktora tej nocy tam nie było? Na pewno był sam? On, prawdę mówiąc, to nie za bardzo przepadał za samotnością. Trudno mi wyobrazić go sobie, jak spędza samotnie wieczór. Oj, bardzo trudno.

- Oni od razu, bez większych ceregieli, stwierdzili, że to samobójstwo. Pokazywałam im tego esemesa, wrzuszali ramionami. I tyle. Ja wiem, że to moja obsesja, ale bardzo długo wierzyłam, że ktoś go otruł. Ale teraz już nie wierzę. Wiesz, mówiłam o tym wiele razy, wielu osobom, i wszyscy pukali się w czoło. Nie mam zamiaru być przez całe życie kimś, na czyj widok pukają się w czoło. Tylko ty mi uwierzyłeś, ale, przepraszam cię bardzo, ty już od dawna jesteś tym kimś, na czyj widok wszyscy pukają się w czoło. Więc pewnie dlatego mi uwierzyłeś. Bo tobie jest wszystko jedno, co kto o tobie pomyśli. A ja jeszcze tak nisko nie upadłam. Chciałabym, żeby ludzie mnie lubili, szanowali. Zależy mi na tym, naprawdę mi zależy. Co się tak patrzysz? Dajmy sobie już z tym spokój. Nic na to nie poradzimy. Nie patrz tak na mnie!

I zaczęła płakać. Prawdziwymi łzami. KobiECE łzy to był dla mistrza zawsze szalenie trudny problem.

Nie należał do tych mężczyzn, którzy kobiece łzy traktowali jako wyzwanie, jako wstęp, jako zaproszenie do intensywnego pocieszenia, którego konsekwencją mógłby być nawet bardzo udany stosunek płciowy.

Taki na przykład Mango Głowacki. On uwielbiał pocieszać płaczące, słynał z tego, że umiał z nimi właściwie postępować, zabierał się do tego niezmiernie fachowo: głaskał je po włosach, mówił do nich specjalnie modulowanym, kojącym głosem. I dochodziło zazwyczaj do takiego momentu, że, chcąc nie chcąc, niepostrzeżenie, płaczące kobiety bezsprzecznie należały do pocieszyciela.

Są tacy, którzy wyuczyli się kilku tego rodzaju sztuczek, to właśnie ich kobiety uważają za wybitnych znawców duszy kobiecej. I niech im będzie.

Mistrz poczuł, że nie chce, że nie ma prawa uczestniczyć w czymś tak intymnym jak płacz. Uznał, że nietaktownie byłoby się wtrącać, zakłócać.

Postanowił szybkoitko dopić resztkę alkoholu ze swojej szklanki i pójść.

W wiatr, w mrok.

- Pójdę już.
- Nie idź - chlipnęła niewyraźnie.
- Jeszcze muszę coś załatwić, przepraszam.
- Nie idź - powtórzyła.

- A o której pani pójdzie spać? - mistrz postanowił obiecać, że wróci i nie wróci. Ale przynajmniej obiecać.

- W ogóle się nie będę kładła. Nie zasnę.

- Wróć za godzinę, dobrze? To jeszcze sobie porozmawiamy.

- Nie idź - chlipnęła. - Ja cię bardzo proszę, nie idź.

Wstał, uśmiechnął się przepaszająco i poszedł w stronę drzwi wyjściowych. Było już naprawdę bardzo późno, już trzeba było zacząć działać.

Odprowadziła go wraz z kotem, który wyraźnie miał wielką ochotę wyjść razem z nim, ale jednak nie udało mu się ten przebiegły plan, dziewczyna przytrzymała nieszczęśnika i wzięła go na rękę.

- Wszyscy mnie zostawiają. Wszyscy uciekają ode mnie. Przynajmniej ty mnie nie zostawiaj - zwróciła się do kota, a on się szarpnął energicznie.

- Ta pani ze sklepu mieszka w tamtym niebieskim domu, o tam? - upewnił się mistrz.

Kiwnęła głową i głośno zaniknęła za nim drzwi.

\*

- Tak. Działanie. Konstruktywne działanie. Dość marazmu. Dość marudzenia. Trzeba przyspieszyć. Koniecznie. Wiem już, doskonale wiem, co robić - stwierdził mistrz.

Był już pod drzwiami domu pani sklepowej, już miał zadzwonić, kiedy usłyszał, że ktoś wewnątrz szybko zbliża się do drzwi, drzwi się otworzyły i stanęli naprzeciwko siebie.

Po jej oczach można było sądzić, że niedawno płakała. Więc trafił z deszczu pod rynnę? Czy nie za dużo tego płaczu jak na jeden wieczór?

Zdziwiła się na widok mistrza.

- To pan?

- Dobry wieczór - powiedział mistrz. - To ja. Oj, wychodzi teraz pani? To może panią podprowadzę tam, dokąd pani idzie? Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałbym panią o coś zapytać. Mogę? Nie zabiorę za dużo czasu...

Cofnęła się i zaprosiła go do środka. Ale nie tak chętnie, jakby mógł się spodziewać.

- Ale jeżeli chciała pani wychodzić, to może...

Bez słowa przecząco pokręciła głową.

Poszli ciemnym korytarzem, a potem znaleźli się w pokoju z olbrzymim akwariem oraz półkami z mnóstwem książek.

Mistrz doskonale wiedział, że pani ze sklepu jest osobą czytanną, jednak taka liczba książek mimo wszystko zrobiła na nim wrażenie. Ale nie skomentował. Nie przyszedł tutaj po to, by komentować. Nie przyszedł tutaj na herbatę. Nie przyszedł tutaj pić wódki. Przyszedł zadawać pytania, jak rasowy detektyw.

Usiedli. Na stole stała butelka wina. Niemal pusta. Obok niej stała druga butelka. Po winie. Całkowicie pusta. Przeczytał sobie napisy na etykietce, bo głód liter, jak zawsze, miał w sobie, obejrzał obrazek z etykiety, zapalił papierosa.

Pani zaproponowała mu owo wino wymownym gestem, on jednak odmówił.

- Oj, nie będę mieszał, proszę pani, już dzisiaj dostatecznie dużo wypilem, przepraszam, nie ma sensu sobie komplikować życia, serdecznie dziękuję.

- No to niech mi pan przynajmniej naleje, bo ja już sobie, proszę pana, słabo radzę.

Nalał. Dopiero teraz zauważył, że pijana była znacznie. Nie była już tą miłą panią ze sklepu spożywczego. Wyglądała raczej jak postać z greckiej tragedii. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Wprawdzie z ich rozmów nie wynikało, żeby była abstynentką, jednakowoż nigdy nie zauważył u niej żadnych znaków szczególnych, specyficznych dla braci pijackiej. A tym razem zobaczył coś takiego. I zobaczył w niej autentyczne cierpienie. Ale udawał, że nic nie widzi.

- Coś się stało? Jakaś okazja? - znacząco wskazał na butelki.

- Słyszał pan? Zabili młodszego Moralesa! - powiedziała i wyjęła z niemal już pustej paczki papierosa.

Podał jej ogień. Wśród niewielu umiejętności, które posiadał, posiadał umiejętność podawania ognia. Zaciągnęła się. Skinęła głową.

- A jak ktoś umiera, to chyba jest okazja, prawda? - zapytała.

- Yhm - powiedział.

- Może i był to zły człowiek. Ale umarł.

- Zły człowiek?

- Zły.
- Jak się rozpoznaje złego człowieka?
- Widocznie w ogóle mu się pan nie przyjrzał.
- Słabo go znałem. Bardziej starszego.
- Ja znałam go za dobrze. Kiedyś.

Mistrz uniósł pytająco brwi.

Ale niczego więcej nie wyjaśniła. Zadała za to dziwaczne pytanie:

- Jak pan sobie radzi z matołami?
- W jakim sensie „matołami”?

- No, spotkał pan przecież w swoim życiu mnóstwo matołów. Takich, do których się mówi jasne i zrozumiałe rzeczy, a oni nic z tego nie rozumieją. Ja wiem, czytałam, że to jakaś tam sprawa koordynacji dwóch półkul w mózgu. Ale czemu aż tylu ma nieskoordynowane mózgi? Czemu tacy są? Obawiam się, że oni nie chcą sobie skoordynować tych półkul. Są dumni, że mają nieskoordynowane. A jeśli człowiek zażartuje, to się na śmierć obrażają. Jak pan sobie z nimi radzi?

- Kiedyś się przejmowałem. Teraz dałem sobie spokój. Uznałem, że matole mają prawo do swojego matolego świata. I niech tam pozostaną. Robię wszystko, żeby nasze światy się nie stykały. I tyle! - tak odpowiedział mistrz.

A ona westchnęła i pokazała mistrzowi swój pusty kieliszek. Więc go napełnił resztą wina. Albowiem posiadał tę umiejętność. A ona zaczęła się zwierzać:

- A ja do tej pory słabo sobie z nimi radzę. Pewnie dlatego, że tutaj mieszkają wyłącznie matole. Cała okolica pełna matołów. Mówię panu. Wcale nie przesadzam. Jak byłam młoda, to się buntowałam. Wierzyłam, że istnieje niematoły świat. Wystarczyło stąd uciec i go odnaleźć. Bardzo chciałam to zrobić. Ale żeby naprawdę się zbuntować, trzeba mieć przeciwnika, który zrozumie, że to bunt. A tutaj były tylko rozdziawione ze zdziwienia gęby. I te matole mnie stłumiły, obezwładniły. Stałam się wobec nich bezwolna. Zupełnie bezwolna i bezradna, proszę pana. Najpierw pewien matoleł przymusił mnie, żebym miała z nim dziecko. Potem się rozmyślił. Potem inny matoleł postanowił być świętym Józefem i zajął się mną i dzieckiem. A potem umarł. Dziecko nie jest matolem. Dziecko jest karykaturą matolela. To oczywiście jest moje ukochane, jedyne dziecko i

nie powinnam go krytykować, ale czasami, jak go słucham, to jestem przerażona...

Łzy stanęły jej w oczach.

I znowu mistrz poczuł, że nie powinien uczestniczyć w tych intymnościach. Znowu pojął, że nie jest do tego stworzony. Nie miał umiejętności zanurzania się w ludzkich nieszczęściach, nie znał sztuczek, które należałoby znać w takich sytuacjach. Był kompletnie do niczego w tym temacie. Ludzkie intymności nie pociągały go zupełnie, nie budziły w nim żadnej ciekawości.

Zapalił.

Rozejrzał się po grzbietach książek.

- Chciałbym panią zapytać o jedną taką rzecz. Dopiero dzisiaj się dowiedziałem, że obydwa Moralesowie nazywają się naprawdę Żółwińscy. Słyszałem w Krakowie o czymś, co nazywano sprawą starego Żółwińskiego. Co to było? Jaki to związek miało z Doktorrem?

Pani nie odpowiedziała.

Patrzyła na mistrza w zupełnie inny sposób niż zazwyczaj. Pociągnęła pokaźny łyk wina. Trochę jej się nie udało trafić. Wytarła usta i powiedziała:

- Powiem ci. Powiem ci, teraz już jest mi wszystko jedno. Był tu starszy Morales i żądał ode mnie, żebym nic nikomu nie mówiła, ale on sobie może żądać... Już się nikogo nie boję, już na niczym mi nie zależy. Powiem ci.

\*

W ciągu jednej rozmowy wyjaśniło się kilka rzeczy, natomiast kilka innych zapętlilo się jeszcze bardziej, stało się jeszcze bardziej zagadkowymi. Owszem, pani była w histerii, ale od czasu do czasu mówiła bardzo konkretnie.

Kiedy w zasadzie rozmowa była już skończona, pani ze sklepu wyraziła jednoznacznie pragnienie, by mistrz już sobie poszedł.

Dowiedział się od niej przypuszczalnie tyle, ile mogła mu powiedzieć. Dowiedział się o rzeczach, których kompletnie nie był świadomy.

Alkohol pomaga czasami w wyjaśnianiu tajemnic. Nie jest aż tak zły jak mówią w niektórych środowiskach.

Jako się rzekło, mistrz dowiedział się bardzo wiele, ale coś w tym wszystkim nadal go niepokoiło.

Więc pożegnał się ładnie, podziękował, wyszedł, ale nie odszedł zbyt daleko od domu pani ze sklepu, stanął za jakimiś zabudowaniami gospodarskimi w sąsiedztwie i czekał.

Przypomniawszy sobie scenę z drugiego odcinka serialu „Mały mistrz na tropie”, kiedy to mały mistrz, śledząc pewnego badylarza, który potajemnie w swojej szklarni hodował owoce cytrusowe, czekał niedaleko szklarni, aż tamten wyjdzie, żeby móc się wśliznąć i sprawdzić, czy naprawdę odbywa się tam ów nielegalny proceder. Bohater serialu miał ze sobą wielką torbę wiśni, bardzo długo i cierpliwie czekał, cały ten upływ czasu był wyrażony wielką górą pestek, piętrzącą się obok nóg małego mistrza.

Tym razem jednak mistrz nie musiał czekać aż tak długo, po kilku minutach drzwi otworzyły się, pani sklepowa wyszła, bardzo pospiesznie.

Mistrz pomyślał, że trochę nie wypada jej śledzić, ale tylko trochę.

Poszedł za nią. Zachował bezpieczną odległość, ale wcale nie musiał się szczególnie starać, widać było, że pani sklepowa jest wzburzona, w amoku, na pewno nie zauważyłaby mistrza, nie było żadnego ryzyka.

Szła szybko, nieoczekiwanie bardzo zdecydowanym krokiem. Wiatr przestał wiać, pojawił się w zamian drobny deszczyk.

Dotarli do sklepu.

Pani otworzyła wszystkie zamki i weszła do środka. Zapaliła światło.

Nie pojawiała się długo. Nie widział, co robi w sklepie. Niby fragment pomieszczenia było widać przez witrynę, ale nic wewnątrz się nie działo.

Mistrz postanowił poczekać.

Niestety, tym razem nie miał ze sobą wiśni, więc zastąpił je papierosami. Stał i czekał. Nucił sobie cichutko przeróżne piosenki, palił papierosa za papierosem.

Trochę było mu zimno, ale wiedział, że warto czekać, że coś się wydarzy, coś musi się wydarzyć!

W końcu jego trud został nagrodzony.

Zobaczył coś niespodziewanego, co jednak tak naprawdę wcale go nie dziwiło.

W części sklepu widocznej przez witrynę zniecka pojawiła się charakterystyczna, wiotka sylwetka pana Wiesława!

## rozdział dziewiąty

Okolo godziny dwudziestej piętnaście Morales, stojący w przydomowym ogródku, usłyszał kochany, gderliwy głos matki:

- O, tu takie, o, pousychane, toż to trzeba poucinać. Trzeba to poucinać, bo popatrz, o, próchnica to zeżre. O, zobacz jak idzie. Ta próchnica. To pousychane trzeba poucinać. No weź. No weź i poucinaj to pousychane. Ktoś to musi zrobić. Ktoś musi to pousychane, to chore, poucinać...

Stał samotnie w ogrodzie z sekatorem w dłoni i w świetle latarki przyglądał się krzewom róż. Nie wyglądały jak za życia matki. Nie wyglądały za dobrze. Niby opatrzone na zimę, ale jakieś marne. I trochę jakby upiorne. Starali się z bratem, ale nie mieli serca ani cierpliwości do tych róż. Zagubili gdzieś ulubiony przez matkę podręcznik hodowcy tych kwiatów, zapomnieli wszystkie imiona, które matka nadawała poszczególnym egzemplarzom. Któraś z tych róż nazywała się Isaura, któraś Matka Boska, któraś Irena Santor. Ale które to były, Morales nie pamiętał. Nie wiedział też, czy to jest pora na przycinanie róż. Ale robił to, bo coś należało robić. Robił to z rozpaczy.

Zaniedbali rzeczy podstawowe, zaniedbali pamięć przodków. Chodzili, tak jak nakazali przodkowie, do kościoła dni święte święcić, wierzyli w to, w co wierzyli przodkowie, mieli do nich bardzo podobne poglądy polityczne, byli lojalni wobec władzy, kościelnej i świeckiej, wypełniali swoje obywatelskie obowiązki jak należy, bo tradycja to nie tylko rodzina, to także ojczyzna nasza, Polska. Pod honorowym patronatem Prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Robili z bratem w zasadzie wszystko jak należy, ale coś pękło. Coś pękło, ponieważ zapomnieli o różach, zaniedbali drzewka owocowe. Zaniedbali dziedzictwo.



Jego brata już pokarało.

A co, jeśli teraz pora na niego?

Wypełniała go rozpacz. Wypełniał go żal. Wypełniało go coś jeszcze, coś, czemu trudno by było nadać sensowną nazwę. Jakaś odmiana panicznego lęku.

Poszedł po siekierę.

Z komórki stojącej w ogrodzie wyciągnął wielki kawał drewna. Tak wielki, że można by było z niego zrobić pięciu Pinokiów.

Zaczął rąbać.

Przy każdym uderzeniu wydawał przeraźliwy, krótki okrzyk.

Rąbał tak, by bolało.

Rąbał tak, by siebie i cały świat ukarać.

Takiego rozgorączkowanego, krzyczącego na wietrze i w mroku Moralesa, zobaczył mistrz wędrujący drogą od sklepu, pod którym stał i stał bardzo długo, niczego jednak nie udało mu się dowiedzieć, niczego nie udało mu się podsłuchać. Zresztą: podsłuchiwanie godne jest być może detektywa, ale na pewno nie dorosłego mężczyzny! W tym sensie mistrz na pewno nie był w tej chwili detektywem.

Szedł i szedł, rozmyślał nad tym, co się wydarzyło, aż zobaczył Moralesa.

Chwilę postął w pewnej odległości, świadomy, że Morales go nie widzi, chwilę poprzyglądał mu się, przepelniony absurdalną obawą, że jeżeli mu przerwie, to zostanie uderzony siekierą.

Aż wreszcie postanowił jednak odważyć się i spróbować zwrócić na siebie uwagę oszalałego drwala.

- Dobry wieczór! - wrzasnął. A wrzasnął tak głośno, że aż się za wstydził.

Ale Morales nie usłyszał, gdyż rąbał.

- Dobry wieczór, mam kilka pytań do pana, panie Morales!

Żadnej reakcji.

Mistrz ustawił się tak, żeby znaleźć się w polu widzenia Moralesa. To także nie pomogło, Morales skupiony był wyłącznie na drewnie i siekierze.

- Panie Morales! Halo! - mistrz spróbował raz jeszcze. Żadnego efektu.

Więc stał, patrzył i czekał.

Wreszcie Morales porąbał wszystko, co miał do porąbania. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z głębokiego snu.

Odłożył siekiere, otarł czoło i zauważył mistrza. Przez dłuższą chwilę wyglądał tak, jakby go nie rozpoznawał, mistrz zaczął się obawiać, że znowu zażąda od niego dokumentów jak kilka godzin temu, kiedy ogarnęło go to dziwaczne szaleństwo, ale nie stało się tak, na szczęście, gdyż w końcu oczy Moralesa zrobiły się przytomne.

- Długo pan tu jest? - zapytał.
- Chwilę.
- Słyszał pan to, co mówiłem do siebie? Czasami do siebie mówię, ale nie warto tego słuchać.
- Nie słyszałem - zgodnie z prawdą odpowiedział mistrz.
- Pana szczęście.
- Dowiedziałem się dzisiaj, proszę pana, kilku dosyć ciekawych rzeczy - niepewnie zaczął mistrz.

Wyglądało na to, że Morales go nie słuchał. Utkwił oczy w jakimś odległym punkcie, oblizal wargi i powiedział:

- Suszy mnie straszliwie. Chodź pan do Stylowej, napijemy się, ja stawiam! I sobie porozmawiamy.

\*

W zasadzie to mistrz kochał cały świat, wszystkich jego mieszkańców. Ale tego kochania, tego zaufania, wystarczyło zazwyczaj tylko na początkową fazę znajomości.

Po jakimś czasie wychodziły z owych mieszkańców różne przywary, które zdecydowanie nie podobały się mistrzowi, więc i oni sami przestawali mu się podobać. Mistrz usztywniał się, unikał jakiegokolwiek kontaktu, odgradzał się od nich murem.

W przypadku Moralesa było trochę inaczej. Wielokrotnie zdenrowował mistrza, wielokrotnie zrobił i powiedział rzeczy, które nie przypadły mistrzowi do gustu, ale wciąż jeszcze jego obecność nie była mistrzowi przykrą, nadal trochę bał się jego nagłych napadów szaleństwa, ale nie aż tak bardzo. A chyba powinien się bać. Zwłaszcza po tym, czego się dowiedział od zdesperowanej pani ze sklepu, mistrz nie powinien iść na wódkę z Moralesem.

Ale szedł.

Z ciekawości.

Dotarli do Stylowej, policjanci jeszcze nie odjechali, ale chyba już zakończyli swoje obrzędy. Siedzieli, pili, jedli. Jakoś nie chciało się im widocznie wracać do Krakowa. Potraktowali ten wyjazd jako wyjazd turystyczny.

- O, a tu jest ta butelka, którą kupił pan muzykant, ledwo napoczęta, on już poszedł, powiedział, że jak się pan pojawi, to żeby panu ją przekazać. I żeby jeszcze raz złożyć panu kondolencje. Proszę bardzo! - oświadczyła pani Jola, stawiając przed nimi niedopitą flaszkę. - Podać dwa kieliszki, czy więcej?

- A napijesz się, Jolu, z nami? Jak się napijesz, to trzy - Morales umiał rozmawiać z kobietami. I umiał liczyć.

- A jednego się napiję. A co mi tam! Taki dzień, że tylko się napić! Z dwoma takimi miłymi panami! - pani Jola umiała rozmawiać z mężczyznami. I również umiała liczyć.

Mistrz nie umiał rozmawiać z nikim. Liczyć tym bardziej nie.

\*

Pani Jola grzecznie wypła z nimi kilka kieliszczków.

Zwierzyła im się, że nie tylko pracuje tu za barem, ale ma też szerokie zainteresowania i marzenia, przede wszystkim uczestniczy w Krakowie w pewnym projekcie poetycko-tanecznym.

Mistrz natychmiast zaprotestował, poprosił, żeby nie używała słowa „projekt”, bo wszyscy tak mówią, a on czytał ostatnio powieść kryminalną, gdzie tym słowem określano pewną groźną organizację pedofilską.

Poprosił więc, żeby tak nie mówiła, bo mu się to źle od tej pory kojarzy, nie za bardzo pojęła, o co mu chodzi, i nadal używała słowa „projekt”, nie zważając na to, że za każdym razem mistrz wykrzykiwał się straszliwie.

Siedzieli i gawędzili o różnych projektach, cały czas pamiętając o tym, że zabity został młodszy brat Moralesa, ale jeszcze byli po stronie życia, nawet starszy Morales trochę się ożywił i trochę pogodnie pomoralizował, jeszcze nie rozmawiali o sprawach ostatecznych, jeszcze jakoś tam się trzymali.

Siedzieli przy tej wódce we troje, kobieca obecność łagodziła obyczaje, trzymała ich w ryzach, ale później pojawili się przy barze nowi klienci, więc rozochociona towarzysko pani Jola z żalem musiała opuścić ich żałobny stolik.

Stypa była zaiste oryginalna.

Co jakiś czas podchodził ktoś, składał kondolencje, pił z nimi albo nie, odchodził. A mistrz czekał, wiedział, że musi nadejść właściwa chwila. Podejrzywał, że Morales stara się odwlec ten nieunikniony moment. Ale mistrz był cierpliwy.

- Tak długo się już znamy... - w którymś momencie powiedział Morales do mistrza - ...tak długo się już znamy, że pora przejść na ty.

Mistrz nie miał najmniejszego zamiaru, ale Morales wcale nie pytał go o zdanie. Złapał mistrza w objęcia, wycalował, mokre przerażająco pocałunki Moralesa wywołały w nieszczęsnym mistrzu szereg dreszczy obrzydzenia, przeszli na ty.

To znaczy: tylko Morales przeszedł.

W tym momencie mistrz zdecydowanie postanowił się uspokoić z piciem, bo gdyby tak policzyć, ile dzisiaj wypił, to hohoho. Dzień był taki, że można było wypić dużo, ale są pewne granice, więc dał już sobie spokój, siedział nad tym samym pełnym kieliszkiem, miał wszak kilka pytań do zadania Moralesowi, czekał na odpowiednią chwilę.

Wreszcie, kiedy się już zupełnie wszystko uspokoiło, wszyscy złożyli to, co mieli złożyć, wszyscy wypili to, co mieli wypić, a lokal powoli zaczął pustoszeć, mistrzowi udało się zadać pierwsze pytanie:

- Dzisiaj dowiedziałem się, że Doktor był jakoś zamieszany w śmierć pana ojca, nic o tym wcześniej nie wiedziałem, jakoś mi to umknęło, może mi pan powiedzieć, jak to było?

Morales ścisnął kieliszek.

Kieliszek rozleciał się w drobne kawałeczki.

- Świętej pamięci ojca!

- Świętej pamięci ojca - zgodził się pospiesznie mistrz.

- A co cię to obchodzi?

- Przecież przyjeżdżam tutaj od dawna, żeby się dowiedzieć czegoś o Doktorze... Przecież to był mój kolega...

- Ale nie mój! - warknął Morales. - On nie chciał pomóc mojej rodzinie!

- Tyle razy pana pytałem o Doktora, a pan mi o tym nie opowiedział...

- Bo to nie twoja sprawa!

- Ale już coś wiem i chciałbym poznać tę historię z pana punktu widzenia.

Morales zacisnął wargi i długo milczał.

- Przeżegnaj się, że nikomu nie powiesz!

Mistrz spróbował się przeżegnać.

- Wiesz co, starałeś się, ale Matka Boska by się porzygała, jakby zobaczyła takie przeżegnywanie. No, ale starałeś się - powiedział Morales.

A potem, nie patrząc na mistrza, zaczął opowiadać:

- No dobrze, słuchaj uważnie, słuchaj, jaki z niego był podły człowiek, z tego twojego kolegi. Mój świętej pamięci ojciec cztery lata temu poszedł do szpitala. Zdrowe było z niego chłopisko, jeszcze mógłby żyć. Siedemdziesiąt siedem lat, to wcale nie jest tak dużo. Nasza rodzina jest długowieczna, dziadek dożył do dziewięćdziesiątki! Coś tam ta tusiowi świętej pamięci z sercem się trochę nie zgadzało. Ja się na tym nie znam, ale mówią, że nie było to nic poważnego. Poszedł do szpitala we wtorek, ja się z bratem świętej pamięci w środę wybrałem go odwiedzić, a tam mówią, że umarł. Jak to umarł? A na stole operacyjnym umarł. Jak to na stole operacyjnym? A po co mu była operacja? Kto to wymyślił? A to ordynator powiedział, żeby natychmiast robić operację. Cośmy się nadenerwowali, napłakali z bratem, nakłócili się z tymi wszystkimi darmozjadami lekarzami i pielęgniarkami. Nic nie mogliśmy się dowiedzieć. Odsyłali nas z miejsca w miejsce. A do tego ordynatora to nas nawet nie wpuścili. Aż, już jakiś czas po pogrzebie świętej pamięci tatusia, przyjeżdża do nas taki jeden sympatyczny prawnik z Krakowa i mówi: „Mnie, panie Żółwiński, poinformowała osoba, która prosi o anonimowość, że ordynator taki a taki zrobił błąd w sztuce lekarskiej. Tylko że jeszcze nie da się udowodnić, że ordynator zabił normalnie waszego tatusia. Ale jest taki lekarz, wasz sąsiad, co wie wszystko, był przy operacji, może poświadczyć. Tylko że on się stawia, nie chce poświadczyć. Tylko od jego zeznań zależy, czy wygracie sprawę w sądzie, bo ja jako prawnik mogę tak zrobić, żebyście śmierć tatusia pomścili, złego ordynatora ukarali, a i jakieś wcale

niemałe odszkodowanie też jest bardzo możliwe w tej sytuacji. Ja was będę wspierał, pomogę wam, ile mogę, bo mi też zależy na ukaraniu winnego, co wam tatusia zabił. Ale idźcie do Doktora i poproście go, żeby zeznawał, że to вина ordynatora”. Ja tam łasy na pieniądze aż tak nie jestem jak mój świętej pamięci brat, ale za sprawiedliwością to jestem, owszem. Tośmy z bratem poszli do tego pańskiego Doktora, a on powiedział, że rozumie nasz ból, ale nie jest w stanie powiedzieć, czy ordynator zawinił czy nie. Kilka razy do niego chodziliśmy, a on nic. Grzeczny był, przyjmował nas jak należy, ale mówił, że nic nie może zrobić. Apotem długo go nie widzieliśmy, wszystko przycichło, straciliśmy już nadzieję. Któregoś dnia powiedziałem bratu, że procesami i odszkodowaniami nie przywrócimy życia świętej pamięci tatusiowi, ja już zrezygnowałem, przestałem w to wszystko wierzyć, ale nie mój brat. On cały czas jeździł do Krakowa, poznawał jakichś ludzi, naradzał się z nimi, dużo nam pomógł w tych sprawach właściciel Stylowej, on ma duże znajomości w tym świecie lekarskim i prawniczym. Mówił, że jak się nam należą za zabitego świętej pamięci tatusia pieniądze, to się należą. Aż tu któregoś dnia przyjeżdża ten prawnik z Krakowa, mówi, że proces będzie, tamten ordynator to nie tylko naszego tatusia świętej pamięci zabił, ale i innych pacjentów, alkoholikiem był i łapówki jeszcze do tego brał, a i politycznie był nie tego, i są na to dowody, i że media już wiedzą, i niedługo to wybuchnie potworna afera z tym sukinsynem ordynatorem, któremu się w głowie przewróciło, i że Doktor jednak się zgodził zeznawać. Taka nagła odmiana! Brat to nawet zaczął długi na to konto robić. Parę tygodni przeżyliśmy w takiej radości, że jest jakaś sprawiedliwość, aż tu przyjeżdża Doktor, brat go spotkał i dziękuje mu, że będzie zeznawał w naszej sprawie, a Doktor mówi: „Nie będę zeznawał, tam nic nie było, nikt nikogo nie zabił, stary ojciec był, to mu serce operacji nie wytrzymało, nikt nie popełnił żadnego błędu”. No jakże to? Raz chciał zeznawać, raz nie chciał? Oj, zdenerwował się mój świętej pamięci brat, bardzo się zdenerwował. Ja tam nigdy taki krewki jak on nie byłem, próbowałem go uspokoić, ale nie. Zły był na Doktora strasznie. Ja go próbowałem uspokoić, ale się nie dawał...

Mistrz przerwał długą opowieść Moralesa:

- A słyszałem, że wczoraj bardzo się pokłóciliście... Czy też o tę sprawę?

I w tym momencie Morales zmienił się ponownie w Pana Hyde'a Moralesa.

- To ja już wiem, z kim ty o tym rozmawiałeś! - zgrzytnął zębami i poderwał się z krzesła. - Zabiję sukę! Podsluchiwała nas! Ona nienawidzi mnie i mojego brata!

- Wiem za co. Właśnie dzisiaj się dowiedziałem - poinformował mistrz.

Morales ponownie zgrzytnął zębami i pokazując oniemiałemu mistrzowi wyjście, wrzasnął:

- Koniec rozmowy! Jużemy się narozmawiali! Wynoś się! Koniec!

\*

Więc mistrz wstał. Zimno pożegnał Moralesa, uklonił się szarmancko pani Joli za barem.

Wyszedł. Nie czuł się najgorzej. A i tak na pewno wszyscy wewnątrz się znajdujący pomyśleli sobie: „Spił się, więc idzie”.

Nie pił już od ponad pół godziny, Morales nie zauważył, że mistrz siedzi nad ciągle tym samym pełnym kieliszkiem, nie pił, bo już nie chciał pić. Są pewne granice. Siedział i trzeźwiał. Aż wytrzeźwiał niemal całkowicie. To jest możliwe w naturze. Miał wiele do przemyślenia. Wytrzeźwiał. I postanowił wyjść. Co uczynił.

\*

Na zewnątrz panowała gęsta mgła. Cały dzień wiatr, potem niewielki deszcz, teraz gęsta mgła. Pewnie potem nastąpi gradobicie. Albo śnieg spadnie.

Spłoszona nocna kura wyskoczyła spod stóp mistrza. I zniknęła we mgle.

Mistrz spojrział w tę stronę, gdzie przepadła kura. Zamiast niej pojawił się w tym miejscu niewielki człowieczek. Wyszedł z mgły i pomaleńku, stawiając małe kroczyki na krawężniku, zbliżał się do mistrza.

A wyglądał tak, jakby wyszedł z przeszłości. Jakby we mgle były jakieś drzwiczki do przeszłości.

Siwiuteńki, maleńki, o bardzo niebieskich oczach i buzi jak pomarszczone jabłuszko.

Na plecach niósł zawiniątko, zrobione z szarego prześcieradła.

Gdzieś już o nim słyszał mistrz, ach, tak, rano przecież mówił o nim Morales, ale przecież mówił, że staruszek pojawiał się przed laty, a potem zniknął.

Deliryczna wizja. Na pewno deliryczna wizja. Na nic innego mistrz nie zasłużył. Lecz czemu wcale nie jest groźna, męcząca, nieprzyjemna?

Nieśmiało uśmiechnął się do owej delirycznej wizji, a co innego miał zrobić? A wizja nie uśmiechnęła się. Utkwiła tylko swoje jasne oczy w twarzy mistrza.

Mistrz wytrzymał dzielnie to spojrzenie.

Staruszek nie zatrzymywał się, wciąż szedł, bardzo drobnymi kroczkami.

Mistrz zaryzykował. Mistrz bardzo często w takich momentach dostawał zniecka porcję absurdalnej odwagi od nieznanych sojuszników.

Najwyżej wszystko okaże się złudą, najwyżej wszystko się rozwieje, zniknie, jak zazwyczaj to bywa.

Zaryzykował i odezwał się do owego urojenia:

- Dobry wieczór.

Wizja staruszka skinęła głową.

- A skąd to pan idzie? - brnął mistrz.

A wizja znowu skinęła głową. Prawdopodobnie była przygłuchą wizją. Mistrz nie wiedział, o co jeszcze należałoby staruszka zapytać, powiedział mu więc tylko:

- Szczęść Boże!

Tylko takie hasło był w stanie sobie przypomnieć, ale nie było to wcale najgorsze hasło. Mógł palnąć bardziej nieestosowne.

A widmowy staruszek nie zareagował, nie wygłosił odzewu, podreptał dalej.

Odwrócił się tylko na moment i powiedział cichutko w stronę mistrza:

- Jest światło w domu umarłego, jest!

A potem wszedł w mgłę.

I zniknął całkowicie.

A mistrz postął, pomedytował i zapalił papierosa.



Co jeszcze wydarzy się dzisiejszego dnia?  
Będą się działy rzeczy złe i dobre.  
Czy źli będą ukarani, a dobrzy nagrodzeni?  
Trudno przewidzieć.

Wiadomo tylko, że będzie jeszcze trochę śmiechu i dużo płaczu.

\*

- Jednak wypilem za dużo. Mogę oczywiście się okłamywać. Że wszystko w porządku. Że wszystko pod kontrolą. Ale wypilem za dużo. Może mi się zdawać, że wytrzeźwiałem, ale istnieje zagrożenie, że już nigdy tak naprawdę nie będę trzeźwy - mówił cichutko do siebie mistrz, stąpając niezbyt pewnie przez mgłę i ciemność.

- Co wiem? Niewiele wiem. Znam jakieś nieskładne historie, wiem o jakichś żalonych tajemnicach. Nie wynika z tego zbyt wiele - mówił dalej.

I brnął.

Gdyby się skupił, postarał się wyostrzyć swoje przytępione zmysły i obejrzał za siebie, mógłby stwierdzić, czy ktoś idzie za nim czy nie. Ale nie rozglądał się, brnął w sobie tylko wiadomym celu i kierunku.

Przypomniał sobie, że Morales opowiadał, że pojawienie się starszka idącego pomaleńku po krawężniku zawsze zwiastowało przyjście wiosny.

- Ach, więc jutro przyjdzie wiosna. Najwyższy czas! - zabelkotał mistrz pogodnie.

Wiosna byłaby jakimś rozwiązaniem. Wydaje się, że pomylił kierunki.

Wydaje się, że zabrnął w miejsce, którego nie rozpoznawał. Oparł się o jakiś murek, dotknął policzkiem jego chropowatej powierzchni.

I nagle nieludzka siła zwała go z nóg.

- To też jest jakieś rozwiązanie - pomyślał i stracił przytomność.

\*

Z ciemności wynurzył się Doktor.

A to już jakby zima się zrobiła.

Doktor był jak zwykle ubrany w garnitur.

- A to co? - zapytał zadziwiony Doktor mistrza.
- To suka.

Suka stanęła na tylnych łapach, przednimi usiłowała oprzeć się o Doktora i polizać go po twarzy na przywitanie, ten jednak cofnął się.

- Nie posłuchałeś moich ostrzeżeń i jednak wzięłeś sobie ten obowiązek na głowę?

- Jaki obowiązek, czysta przyjemność! Mieszkamy razem już dwa tygodnie i jest tak, jakbyśmy byli ze sobą od zawsze.

- Zmarnujesz psa, zobaczysz!

- E.

- Ile ona ma?

- Osiem miesięcy. To już prawie dorosła panienka.

- Psa trzeba brać jako szczeniaka, dopiero wtedy można go należycie wytresować. Błąd za błędem. Sam zobacz, ona teraz już jest rozwydrzona, w ogóle nie słucha. To co będzie potem?

Suka wyczuła, że jest krytykowana, one zawsze to wyczuwają, więc odwróciła się od Doktora i zjadła trochę zgnilej trawy. Rzuciła potajemne, porozumiewawcze spojrzenie mistrzowi.

- Dawnośmy się nie widzieli, Doktorze - mistrz zmienił temat.

- Ano dawno, proszę pana, dawno - twarz Doktora nie wyrażała ani smutku, ani zadowolenia. Prawdę mówiąc, niby była jego twarzą, ale coś w niej pojawiło się całkiem nowego.

- Usiądźmy i zapalmy - mistrz wskazał pobliską ławkę, a Doktor spojrzął na zegarek.

- Oj, chyba nie siądziemy i nie zapalimy. Przykro mi niezmiernie, mój towarzyski kolego - powiedział Doktor. - Muszę już iść.

- Podprowadzimy - zaproponował dobrodusznie mistrz.

Wiedział, że z Doktorem dzieje się coś niedobrego, ale w naiwności swojej myślał, że samą swoją obecnością wspomógł Doktora.

- Nie podprowadzajcie mnie. Mam tu niedaleko zaparkowane auto, nie ma sensu - odmówił Doktor i odszedł, nie wypowiedziawszy żadnych epokowych słów.

A naprawdę powinien był wypowiedzieć owe epokowe słowa, mistrz miałby co pamiętać i co rozważać w przyszłości.

Doktor powinien był wypowiedzieć te słowa, albowiem właśnie wtedy widzieli się z mistrzem po raz ostatni.

\*

Po rozstaniu się z mistrzem Doktor dotarł do ulicy Świętego Jana, do miejsca, gdzie zaparkował swoje auto. Spojrzał na nie z dumą i troską. Preferował auta japońskiej produkcji.

Wsiadł, ale jeszcze nie ruszył.

Otworzył, mimo chłodu, okno i zapalił papierosa.

Pozwolił sobie na to wyjątkowo. Zazwyczaj w jego aucie nie paliło się. Sam sobie narzucił taki zakaz, a i ewentualnych pasażerów uświadamiał zaraz po zajęciu miejsca w jego aucie o tym chwalebny obyczaju.

Ulicą nadszedł słynny figurant terenowy, zwany Szajbusem. Był ubrany wyjątkowo bardzo elegancko. Niósł reklamówkę wypełnioną zapewne małymi buteleczkami z wiśniówką.

- Jeszcze tylko jego tu brakowało! - jęknął Doktor i skulił się za kierownicą.

Ale bystre oczka Szajbusa wypatrzyły Doktora. Nachylił się do otwartej szyby samochodu i wychrypiął:

- Uszanowanie!

Chcąc nie chcąc, Doktor kiwnął głową.

Szajbus przyjrzał się Doktorowi, odstawił swoją beczenną reklamówkę, wskazał swój krawat, poprawił krawat Doktora i powiedział:

- No, widzę, że dzisiaj obaj jesteśmy pod krawatem. Chyba będzie jakieś dupczenie, panie Doktorze!

\*

Chwilę porozmawiali.

Szajbus nie odczepiał się tak łatwo, musiał jeszcze opowiedzieć Doktorowi jeden bardzo świński i bardzo nieśmieszny dowcip, i drugi, niczego sobie, a dopiero potem poszedł, pobrzękując zawartością reklamówki.

Doktor wyrzucił przez okno niedopałek, odetchnął z ulgą i odjechał.

Jechał w wiadomym kierunku.

Do takiego miejsca znajdującego się jedenaście kilometrów od Krakowa.

Zaczynał się ostatni weekend Doktora.

\*

Mistrz ocknął się z potwornym bólem głowy. Nie wiedział, gdzie jest, który to świat, nie wiedział zupełnie niczego.

Siedział pod jakimś murem, było ciemno i wilgotno.

Naraz w pobliżu zaszleściło.

To płaszczyk szleścił. Płaszczyk kogoś, kto chwiejnym krokiem się przybliżał ku mistrzowi.

Mistrz rozpoznał. To był starszy Morales. Znowu pojawiał się w jego życiu. Tym razem przychodził jako koszmar. Wykrzywiony, półprzytomny koszmar.

Czy nie za dużo Moralesa jak na jeden dzień? Czyżby Morales miał zostać następną z wielorakich traum mistrza? Czy to nie przesada?

A pijany już zupełnie Morales zachowywał się zdecydowanie traumogennie. Błady był i jakby wręcz przezroczysty w tej mgłę.

Zbliżył twarz do twarzy mistrza i wysyczał:

- A jeszcze nie powiedziałem ci wszystkiego. Tylko wydaje ci się, że wiesz wszystko. A ty jeszcze nie wiesz...

Mistrz widział jego szalone oczy i wolał nie odpowiadać. A Morales, nadzwyczaj wyraźnie, cedził:

- Wczoraj mój brat się ze mną upił. I znowu rozmawialiśmy o świętej pamięci tatusiu. I on mi powiedział, że otrul tego twojego Doktora. Nasypał mu trucizny do butelki tej waszej gównianej wódy, jak to się tam nazywa, co ją sprzedawał Doktorowi.

- Nie wierzę - powiedział mistrz. Nie wierzył w to, co mówi Morales, chociaż niby to trochę się zgadzało. Motyw Jacka Daniela w tej historii powtarzał się nazbyt często.

- Ja też nie wierzę - powiedział Morales. - Mój brat nie otrulby nikogo. Najwyżej zabiłby gołymi pięściami. Bredził. Powiedziałem mu, żeby się zamknął. A on wrzeszczał. Krzyczał, że jakby mógł, to by jeszcze raz zabił Doktora. Że Doktor nas wszystkich ukrzywdził, a najbardziej świętej pamięci tatusia. Ja mu mówiłem: „Nie kłam, ty przecież go nie otruleś!”. A on wrzeszczał: „Otrulem go, otrulem, za naszego tatusia!”. Aż wreszcie, żeby mu zamknąć gębę, stuknąłem go. Nie wiedziałeś o tym? Ale pewnie się domyślałeś?

- Ale... czy to znaczy, że mi się pan przyznaje do tego, że go pan... - wydukał przerażony mistrz.

- Stuknąłem go, stuknąłem. Brata mojego jedyne. Żeby tak nie gadał. Żeby nie bluźnił. Żeby nie kłamał. Stuknąłem go! - krzyknął Morales i uciekł w mgłę, w mrok.

\*

- Ale powiedz mi wyraźnie. Dowiedziałeś się o tym wszystkim, więc go zabiłeś? Naprawdę?

- A myśl sobie, jak chcesz. Daj mi spokój!

- Ale przecież ludzie tak nie robią. Tak się dzieje w książkach, w wymyślonych programach telewizyjnych, w niedobrych gazetach, w legendach!

- Daj mi spokój!

- Boże, co tu się dzieje! W czym człowiek zawinił, że spotyka go taka kara? Lepiej by było, żebyś żył w nieświadomości! Lepiej by było! Powiedz coś. Co teraz będzie? Odezwij się!

\*

Doktor jechał i wspominał.

Myślał o dniu, kiedy zaczęły się jego kłopoty i smutki.

A zapowiadało się to tak niewinnie!

Było to tak:

Doktor asystował przy operacji. Po raz któryś w życiu z podziwem patrzył jak zasłużony ordynator, jego bezpośredni przełożony, jego były nauczyciel i mentor, profesor Fiut, przystępując do pracy, nabrał powietrza w potężne swe płuca.

Doktor z podziwem obserwował, jak jego przełożony wbija grubą igłę (pod ciśnieniem cztery i pół atmosfery) w tętnicę udową pacjenta, tuż poniżej więzadła pachwinowego.

Pacjent, z lekką zasuszoną siedemdziesięciosiedmioletni mężczyzna, był znieczulony miejscowo, więc najprawdopodobniej nic nie poczuł, a nawet gdyby poczuł, to go to obchodzi?

Starość i cierpienie to papużki nierozłączki.

Doktor wiedział, że ordynator, profesor Fiut, nazywany przez kolegów z pracy nie wiadomo dlaczego Fajfuskiem, uważał za zbyt nieprofesjonalne. Zresztą pacjentowi podano ogólnie dolargan.

Teraz ordynator wprowadził cewnik prowadzący, zaopatrzony w przenikliwe oko kamery, do prawej tętnicy wieńcowej, w miejsce zwężenia. Szybko i bez żadnych wahań dokonał kolejnej w swym zawodowym życiu angioplastyki i poszerzył co trzeba. Potem nabrał raz jeszcze powietrza i zaimplantował piękny, lśniący oraz wcale nietani stent w stosownym miejscu, przywracając przepływ krwi.

Doktor pomyślał, że na pewno w tym momencie serce ordynatora zabiło mocniej. Na pewno dumny trochę był, że tu, w tej małej sali, on, drobinka i pył wobec ogromu wszechświata, zmniejsza nieco entropię i po stronie harmonii kosmicznej staje.

- Co pęcznieje, pęknąć musi, a co zatkane, odetkać trzeba - aforyzm ten wygłosił niby do siebie i do Doktora, ale łypał przy tym okiem, czy siostra Elwira Fraś słucha.

Mimo zmian zwyrodnieniowych kręgosłupa szyjnego, profesor Fiut lubił imponować urodzivej niewieście. Siostra Elwira była kobietą niezaprzeczalnej urody i taktu, a poza tym była niegdysiejszą mistrzynią Europy w pływaniu synchronicznym, co dla profesora Fiuta było dodatkowym wabikiem. Kochliwy był wprawdzie, ale preferował kobiety z dorobkiem i raczej inteligentne.

- Różną głupa... - mówił czasem profesor do Doktora, kiedy sobie nieco podchmielił - ...różną głupa to nie honor, a i żadna sztuka, lepiej już różną kawalera. Mądrałą, a zwłaszcza złośliwą mądrałą uwieść, to wyzwanie i splendor.

Pacjent z wolna wracał do świadomości, a siostra Elwira na swych kształtnych paluszkach obu stóp wspięła się i palcem wskazującym prawej dłoni wyłączyła zawieszony na ścianie monitor.

Doktor zapatrzył się przy tej okazji na łydki siostry i pomyślał, że nazwisko pacjenta coś mu mówi.

Czy aby tych dwóch Moralesów, mieszkających nieopodal jego letniej posiadłości, również nie nosi nazwiska Żółwiński?

Oczywiście.

\*

Och, to już.

Koniec ze wspomnianiem.

Niczego nie da się zmienić.

Doktor zaparkował przed swoim letnim domkiem.  
Okolicą zdecydowanie rządził chłód.  
Wszedł do środka.  
Nawet tu panował chłód. Grzyb, robak.  
Usiadł i zastanowił się, dlaczego właściwie tutaj przyjechał.  
Miał mnóstwo zaczętej roboty, nie zabrał tych papierzyk ze sobą, miał mnóstwo pozaczynanych spraw w mieście, miał swoje miejskie tragedie.  
Wyjeżdżanie na weekend było kompletnie pozbawione sensu.  
Ale musiał to zrobić.  
Pobyć dwie doby w ciszy.  
Daleko od tego wszystkiego.  
Napić się samotnie alkoholu.  
Przemyśleć kilka rzeczy.  
Podszedł do szafki kuchennej i znalazł tylko dwie puste butelki po danielsie.  
Piękne, lecz puste.  
Westchnął i zadzwonił do młodszego Moralesa. Tamten odbrnęła, że za pół godziny będzie.  
Doktor nieszczerze chciał go widzieć, znowu trzeba będzie się liczyć z wyssanymi z palca pretensjami, ale tym bardziej nie mógł iść do Stylowej, nie chciał, żeby dziewczyna się dowiedziała, że dzisiaj przyjechał, miał taki kaprys, po prostu.  
Chciał być sam.  
Chciał jeszcze porozmyśleć o zaprzyszłych historiach, nie potrzebował do tego żadnego towarzystwa.  
Już i tak mistrz oraz figurant terenowy, Szajbus, rozproszyli go dostatecznie. Już miał dosyć.  
Przyjmie młodszego Moralesa w drzwiach, nie da mu się rozgadawać, jeszcze tego by dzisiaj brakowało, na koniec tego dnia, kiedy wszyscy mówili do niego rzeczy, których albo w ogóle nie chciał słyszeć, albo niekoniecznie był ich ciekawy, nie da mówić Moralesowi, wiadomo, co mógłby powiedzieć Morales, on będzie mówił, że to przez Doktora umarł jego ojciec, a to jest wierutna bzdura, ktoś

mu nagadał, Doktor nie ma ochoty wysłuchiwać tego po raz kolejny, Doktor na pewno nie da mu się wypowiedzieć, po prostu odbierze alkohol, da mu pieniądze, zażąda, żeby nikomu nie mówił, że przyjechał.

Jutro może będzie inaczej.

Jutro będzie inaczej na pewno.

Aha, jeszcze jedno, jeszcze jedno trzeba zrobić, natychmiast.

Podszedł do kominka i ukrył tam coś.



## rozdział dziesiąty

Mistrz odnalazł we mgle drogę, rozpoznał już miejsce, już wiedział gdzie jest, znajdował się całkiem niedaleko wszystkiego: domu pani sklepowej, domu pani barmanki, domu Moralesa.

To wina tej mgły, to ona spowodowała te zaburzenia.

Mistrz przypomniał sobie jednego znajomego z przeszłości, człowieka, który, kiedy pojawiała się mgła, po prostu nie wychodził z domu. I nie patrzył nawet przez okno. Aż taki miał lęk przed tym zjawiskiem atmosferycznym!

Pomyślał o suce, ona nie bała się mgły, ona bała się tylko grzmotów, deskorolek i fajerwerków. Tym razem nie było takiego zagrożenia.

- Pewnie śpi sobie spokojnie. I przez sen czeka cierpliwie na mój powrót. To już niedługo... - pomyślawszy w ten sposób, uspokoił swoje wyrzuty sumienia.

U dziewczyny okna były jeszcze jasne.

- Mówiła, że nie ma zamiaru spać. Może się nie obrazi, jeżeli za dzwonię? - pomyślał.

Zadzwoił. I otworzyła.

- O, jesteś!

- O, jestem. Trudny dzień, proszę pani. Cieszę się, że pani jednak nie zasnęła.

- Mówiłam, że nie zasnę.

W mieszkaniu nie zmieniło się nic. Tylko kot gdzieś zniknął, ukrył się w jakimś zakamarku.

I to było bardzo dobre rozwiązanie. Obecność kota wcale nie była konieczna. Obecność kota była z lekka krępująca.

Mistrzowi nie było jednak po drodze z żadnym miłośnikiem kotów, nawet z takim jednym zagranicznym pisarzem, którego szanował i podziwiał.

Mistrz nie rozumiał miłośników kotów. Ale miłośnik psów rasy bokser wcale nie musi rozumieć miłośników kotów. Nie ma takiego obowiązku. Na szczęście poprawność polityczna nie dotarła jeszcze w te zakątki. Na szczęście można jeszcze kochać psy, a nie tolerować kotów.

Mistrz jeszcze raz z ulgą skonstatował nieobecność kota i powiedział:

- Oj, dowiedziałem się różnych ciekawych rzeczy. Nie wiem, na ile prawdziwych, dzisiaj wszystko jakieś takie nieprawdziwe mi się, proszę pani, wydaje - oświadczył mistrz, siadając na swoim poprzednim miejscu.

Ona także usiadła na swoim poprzednim miejscu, nie uprzątnęła jeszcze jego szklanki i butelki, tak jakby była pewna, że mistrz wróci.

- Opowiadaj - powiedziała.

Mistrz na początek streścił jej to, czego się dowiedział od pani sklepowej. Opowiedział jej również o tym, kogo później zobaczył w jej sklepie. Wyraził swoje zadziwienie tym faktem.

- Jak to? To ty nie wiesz, że Wiesio jest jej synem?

- No nie wiedziałem. Nikt mnie nie poinformował.

- Przyjeżdżasz tutaj od tylu dni, poznałeś chyba wszystkich, powinieneś się lepiej orientować, kto jest kim, a ty nawet nie wiedziałeś jakie Morales ma nazwisko! Czasami wydaje mi się, że żyjesz w zupełnie innym świecie...

Mistrz przytaknął.

Pomyślał sobie, że rzeczywiście nie jest z nim dobrze. Trochę się pogubił. Pomyślał sobie, że pora powrócić.

- Halo! Inny świecie! Odezwij się!

- Hm... - mruknął mistrz. - To już trochę więcej rozumiem. Pani sklepowa obawia się, że to pan Wiesław zabił młodszego Moralesa, dlatego go ukryła w swoim sklepie!

- On? Chyba oszalałeś? Wiesio? On nie byłby do tego zdolny, a poza tym niby dlaczego miałby go zabijać?

- Hm... No to jest coś, czego pani nie wie, a ja wiem!

- Co takiego?
- Pani sklepowa przyznała mi się dzisiaj, że prawdziwym ojcem pana Wiesława był młodszy Morales. Jak w jakiejś telenoweli. Nic tu się o tym nie mówiło? Nigdy?
- Nie... Ale historia... Rzeczywiście, jak z jakiejś wenezuelskiej telenoweli... Ja nie mogę! Morales ojcem Wiesia! Nic nikt o tym nigdy nie mówił!
- Pan Wiesław podobno też nic o tym nie wiedział, ale ona pewnie boi się, że właśnie teraz dowiedział się i oszalał, i zabił.
- Nie wierzę. Znasz go, przecież nie umiałby nikogo zabić. W dodatku takiego wielkiego chłopca jak Morales...
- Ja też nie wierzę. Ale ona zachowywała się tak, jakby w to uwierzyła. Mówiła mi bardzo dziwaczne rzeczy, dopiero teraz zrozumiałem, o co jej chodziło. Ona naprawdę myśli, że to pan Wiesław zrobił. Naprawdę.
- Ale historia...
- Ale potem spotkałem kompletnie pijanego starszego Moralesa, a skoro dzisiaj jest wieczór, kiedy ludzie zaczynają wyznawać tajemnice, to i on mi coś powiedział. Z tego, co mówił Morales, mogłoby się wydawać, że ta dzisiejsza śmierć jakoś się łączy ze śmiercią Doktora...
- Opowiadaj!
- Ale mistrz nagle ugryzł się w język. To nie było aż takie pewne, nie było aż takie jasne, żeby od razu zwierzać się dziewczynie ze wszystkich swoich podejrzeń. To mogło być mylne usłyszenie, ono przyszło z mgły.
- Nie, nie. Na razie nie powiem. Nie chcę zapeszać. Jak będę przekonany o tym, to od razu pani powiem.
- No, nie bądź taki! Mów!
- Mistrz zapalił papierosa. Nie powiedział. Więc ona powiedziała:
- No, jak chcesz, inny świecie. Nie mów. To co będziemy teraz robić?
- Mistrz strzepnął popiół i przypomniał sobie:
- Jakąś chwilę temu spotkałem małego staruszka, we mgle. Z tobołkiem zrobionym z prześcieradła. Mieszka tu ktoś taki? Wiedziała pani kiedyś kogoś takiego?

- Matka mi opowiadała, że jak była młoda, to raz do roku, na przedwiośniu, pojawiał się u nas taki staruszek. I dokądś szedł. Ale to było bardzo dawno temu. Niemożliwe, żeby to był on. Musiało ci się przywidzieć, inny świecie.

Mistrz nie powiedział nic.

Natomiast ona zastygła przy oknie, odwrócona do niego plecami i zaproponowała:

- Jak nie chcesz mi opowiadać o swoich podejrzeniach, to opowiedz przynajmniej jakąś historię z przeszłości. Już nie musi być miłosna, już mi taką dzisiaj opowiadałeś. Nie jesteś najlepszy w miłosnych historiach. Opowiedz mi jakąś potwornie smutną historię. Żebym się popłakała. Taka pora, że potrzebuję straszliwie smutnej historii.

- Straszliwie smutnej? Przychodzi mi taka jedna do głowy. Ale jest smutniejsza niż jakakolwiek inna historia. I brutalna jeszcze do tego.

- Może być. Wszystko teraz wytrzymam. Opowiadaj.

Mistrz westchnął.

To upodobanie dziewczyny do historyjek z życia nie było do końca zdrowe. Czy aby nie lepiej by było, gdyby sięgnęła do zbiorów opowiadań wydawanych przez popularne wydawnictwa, gdzie znani i cenieni autorzy tworzą na przykład opowieści wakacyjne albo wigilijne, albo o miłości i śmierci? Tam powinna sięgnąć, tam są prawdziwe emocje i zajmujące historie.

Ale nie zaproponował jej tego, wiedząc, że się obrazi. Aż tak nie można krzywdzić dziewczyny.

Skoro obiecał, to musiał brnąć.

Więc zaczął opowiadać jej plecom:

- Miałem kiedyś znajomego fotografa. I ten znajomy fotograf zapytał mnie, czy znam kogoś, kto ma małe dzieci. A ja znałem. To ich ze sobą zapoznałem. Chodziło o to, że fotograf do jakichś tam zdjęć potrzebował pluszowego misia. I mała dziewczynka, córeczka tego drugiego znajomego, pożyczyła fotografowi swojego ukochanego misia. Niezbyt chętnie, ale dała się jednak przekonać. Jakoś udało się to jej wytłumaczyć. Minął jakiś czas, spotykam ojca dziecka, on mówi, że umawiał się z fotografem na zwrot misia, a ten się nie pojawił. I żebym coś, jako pośrednik, z tym zrobił. Opowiedział

mi nieszczęsny ojciec, że córeczka dopytuje się, gdzie jej miś, nie śpi po nocach, płacze. No, poważna trauma. Więc napotykJąc owego fotografa, mówię mu, jaka jest sytuacja, że dziecko tęskni za mi-  
siem, płacze i tak dalej. Żeby oddał misia. A co on mówi?

- Co takiego powiedział?
- Uwaga, cytuję, powiedział: „Niech spierdala!”.
- Nie!
- Tak! Smutna historia, prawda?
- Okropna. Ale się nie popłakałam. Widocznie jestem twarda.

Zresztą, pewnie ją zmyśliłeś. To na pewno nie jest prawdziwa histo-  
ria. Nie ma aż tak niedobrych ludzi!

- Oj, zdziwiłaby się pani...  
Odwróciła się twarzą do niego.

Jednak płakała.

Ale prawdopodobnie wcale nie z powodu tej historii, którą przed  
chwilą jej opowiedział.

Na domiar złego kot wyszedł z ukrycia, zatrzymał się na środku  
pokoju i zaczął przyglądać się mistrzowi.

Mistrz natychmiast poczuł się nieswojo.

- Ja już chyba sobie pójdę, za kilkadziesiąt minut odjeżdża  
ostatni bus do Krakowa, trzeba wracać do mojego zwierzęcia, pew-  
nie się już stęskniło... - oświadczył.

- No ale sam mówisz, że to jeszcze kilkadziesiąt minut, to gdzie  
teraz pójdziesz, przecież nie pójdziesz znowu do Stylowej!

- A czemu nie?

- Nie wygłupiaj się, nie idź do Stylowej, jeszcze ci mało? A i na  
przystanku nie ma sensu czekać. Zostań ze mną.

No to spolegliwie został.

Siedziała naprzeciw niego, włączyła jakąś muzykę, jakąś na  
szczęście niezbyt denerwującą, nie lubił cudzych płyt, drażniły go  
cudze płyty, nawet jeżeli były to te same tytuły, które posiadał.

Siedziała naprzeciw niego, nie mówili, siedzieli, on zapalił na-  
stępny papierosa, ona powiedziała „poczekaj”, zabrała mu po-  
pielniczkę, poszła do kuchni, wyrzuciła niedopałki, wróciła z pustą  
popielniczką, zdążyła, udało mu się strzepnąć groźnie już narosłą  
ilość popiołu, ona zdążyła, on zdążył, symbioza.

- Wiesz, jak tak teraz siedzimy, to wydaje mi się, że nigdy nie było nikogo innego oprócz nas. Tak jakbyśmy siedzieli w tym pokoju zawsze. Głupie to, nie? Że nie było żadnego Doktora, że za ścianą nie ma babci, że mieszkamy tu od lat tylko we dwoje... Nic mnie w tej chwili nie obchodzi, czy Doktor sam się zabił czy też ktoś inny mu pomógł. Wiesz? To okrutne, ale jakoś ostatnio zubożniałam jednak na to wszystko. To przeszłość. Wiesz? Tylko ty mi czasem o nim przypominasz. A ja może bym już chciała zapomnieć?

- Niech pani tak nie mówi! - odpowiedział mistrz.

\*

Dzień powoli się kończył.

Niektóre wątki zaczynały się domykać. Inne nigdy domknięte nie zostaną. Nie istnieją takie dni, które kończą się ze wszystkimi wątkami domkniętymi. To niemożliwe. Nawet śmierć nie potrafi domknąć wszystkich wątków.

Wątek pana Grzesia domykał się bardzo łatwo.

Pan Grzesio zjadł kolację z teściem i teściową, przy kolacji opowiedział im przerażające wydarzenia dnia dzisiejszego, które żadnego wrażenia nie zrobiły na teściach, albowiem dla nich słowo „przerażające” oznaczało inne rzeczy i sprawy, sprawy i rzeczy niedostępne zwykłym śmiertelnikom.

Opowieść pana Grzesia potraktowali pobłaźliwie jako kolejną telewizyjną bajeczkę. Trochę go to zabolalo, ale uznał, że mają do takiego zachowania pełne prawo, ich sprawy i problemy są zdecydowanie priorytetowe, więc przestał opowiadać o sobie i porozmawiał z nimi o rynku nieruchomości i planach zakupu do ogródka rzeźby Mitoraja, a następnie ucałował upierścienioną dłoń teściowej i uściśnąwszy z szacunkiem dłoń teścia, udał się pan Grzesio do pokoju, który na piętrze obszernego domu teściów zajmował wraz z nieobecną żoną.

Tam włączył telewizor, z zachwytem obejrzał relację Marzeny Małgorzaty Malinowskiej na temat bomby w swoim samochodzie, z zachwytem obejrzał relację Marzeny Małgorzaty Malinowskiej na temat śmierci w szopie, wyłączył telewizor, udał się do łazienki, powrócił, przebrał się w pidżamkę, wszedł do wielkiego łóżka, sprawdził wszystkie esemesy i wiadomości głosowe w swojej

komórce, nic od żony, nic od pana Wiesława, tylko samo badziewie informacyjne, wypuścił z rąk komórkę, zakończył swój wątek, zasnął. Spał twardo.

\*

Wątek przesympatycznego pana Wiesława natomiast zakończył się w sposób następujący:

Trzeba wiedzieć, że ów młody człowiek ukrył się w sklepie spożywczym swojej matki z powodu wstydu i strachu. Istnieją bowiem takie uczucia. Dość trywialne. Nikt by się nie spodziewał po nim takich uczuć. A jednak!

Pan Wiesław w momencie ujawnienia bomby, umieszczonej w podwoziu samochodu pana Grzesia, przeraził się nie na żarty. Pomyślał, że jego niewinny żarcik, który miał służyć tylko i wyłącznie zatrzymaniu przy sobie na jeszcze jakiś czas przemiłego rozmówcy, obrócił się przeciwko niemu. Nie rozumiał, skąd mogła wziąć się ta bomba, ale wszak była! I była jego kartka! Pisana jego ręką! Oczywiście, na pewno po jakimś czasie udowodniłby swoją niewinność, ale i tak wyszedłby z tego jako jakiś pajac.

Pan Wiesław wiedział dobrze, że po charakterze pisma bardzo łatwo stwierdzić, kto pisał tekst. I przeraził się nie na żarty. Oskarżony lub ośmieszony. Coś strasznego!

Matka zachowywała się nienormalnie. Kiedy przysłała do niego, ukrytego w sklepie, bredziła jakieś dziwaczne rzeczy, dopytywała się, czy to on zabił. Kogo? Tego młodszego Moralesa? A niby dlaczego? Owszem, nie przepadał za tym gościem, męczyło go jego gadanie. Wielokrotnie czepiał się pana Wiesława i mówił mu, jak żyć. A przecież pan Wiesław doskonale wiedział, jak żyć, przecież nie potrzebował żadnych wskazówek, szczególnie od tych grzybów Moralesów. Owszem, młodszy był bardziej męczący, ale i starszy potrafił zaleźć za skórę panu Wiesławowi. Młodszy zawziął się na pana Wiesława, krytykował jego fryzury, jego życiowe wybory, jakby miał do tego prawo. Denerwował pana Wiesława, ale żeby go za to zabijać? Bez przesady!

Matka zachowywała się histerycznie. Naprawdę gadała jakieś brednie. Że niby kogoś zabił. Na wszelki wypadek pan Wiesław się

na nią obraził. A matka gadała i gadała, chodziła za nim po tym wstrętnym sklepie, sklepie, którego się wstydził, sklepie, do którego tak naprawdę nienawidził przychodzić, no chyba że musiał wziąć od matki jakąś kaszę.

Matka złapała go za ramię.

- Ale powiedz mi wyraźnie. Dowiedziałeś się o tym wszystkim, więc go zabiłeś? Naprawdę?

- A myśl sobie jak chcesz. Daj mi spokój!

- Ale przecież ludzie tak nie robią. Tak się dzieje w książkach, w wymyślonych programach telewizyjnych, w niedobrych gazetach, w legendach!

- Daj mi spokój!

- Boże, co tu się dzieje! W czym człowiek zawinił, że spotyka go taka kara? Lepiej by było, żebyś żył w nieświadomości! Lepiej by było! Powiedz coś. Co teraz będzie? Odezwij się!

Pan Wiesław popukał się w czoło. Było to niegrzeczne zachowanie, ale co miał zrobić?

Dał się matce wyprowadzić ze sklepu, przez całą drogę milczał, nie dał się sprowokować, nie odpowiadał na jej pytania.

W ogrodzie Moralesów zobaczyli rozmawiających starszego Moralesa i tego przyjeźdnego, na którego mówią mistrz.

- Knują coś wspólnie te pijaczyny, patrzcie no ich! - pomyślał z niechęcią pan Wiesław, a matka pociągnęła go w inną stronę i przeszli do domu nie zauważeni przez nikogo.

W domu również pan Wiesław nie odzywał się do matki, zamknął się w swoim pokoju, włączył telewizor na 66TV i oczywiście od razu pojawiła się ta dziennikarka i auto pana Grzesia.

Pan Wiesław zastygł w przerażeniu. Zapragnął objąć pluszowego misia, z którym nie rozstawał się w dzieciństwie. Zawsze jak czegoś bardzo się przestraszył, coś przeskrobał i spodziewał się surowej kary, znajdował ukojenie, wtulając się w wyleniałe pluszowe zwierzę. Ale misia, ma się rozumieć, już od dawna tu nie było. W tym pokoju, nad którego dizajnem pracował pan Wiesław miesiącami, nie mogło być miejsca dla starego pluszowego misia.

- Sprawcy pozostają nieznanymi. Jak na razie nie ma żadnej możliwości stwierdzenia, kto stał za tym zamachem. Na pewno wrogość naszej stacji, przeciwnicy naszej bezkompromisowej działalności.



Pozostaje nam czekać, aż jakaś zorganizowana organizacja przestępcza sama przyzna się do tego ohydneho zamachu...

Pan Wiesław odetchnął z ulgą. Zapiał jak kogut.

Chciał zadzwonić do pana Grzesia, ale nie wiedział, co miałby mu teraz w zasadzie powiedzieć. Postanowił odłożyć to do jutra.

Wszystko skończyło się dobrze dla pana Wiesia.

Zasnął w ubraniu.

\*

Natomiast jego matce nie dane było zasnąć tej nocy. Wino się skończyło, ale nie chciała już więcej pić, to nie pomagało ani trochę.

Chodziła po mieszkaniu.

Zastanawiała się, czy to możliwe, żeby jej syn zabił swojego prawdziwego ojca. I skąd się o tym dowiedział?

A jeśli nie jej syn, to kto?

Myślała o różnych przeszłych historiach, żadna z nich nie kończyła się dobrze.

A przecież to wszystko miało zupełnie inaczej wyglądać!

Chodziła i chodziła, aż do bladego świtu.

Tego wątku nie da się zakończyć.

\*

A starszy Morales?

Starszy Morales po rozstaniu z mistrzem najpierw biegł na oślep, a potem zmęczył się i zaczął iść.

Szedł przez las.

Przeszedł już wiele kilometrów lasem.

Szedł i starał się nie myśleć o niczym, ale i tak przeróżne krwawe obrazy pojawiały się przed jego oczami.

Wszedł w wielką mgłę.

Wyglądało na to, że wszedł w nią bezpowrotnie.

\*

Och, ci wszyscy samotni ludzie! Skąd oni się biorą?

\*

A mistrz i dziewczyna pozostawali w tym samym miejscu. Od kilkudziesięciu minut. Rozmawiali, milczeli, mistrz na szczęście miał przed oczami tarczę zegara ściennego, kontrolował czas, nie poddawał się rozleniwieniu, pamiętał, że niebawem należy wyjść.

- Wiesz, zaproponowałabym ci, żebyś został. Ale wiem, że nie chcesz.

- No, wie pani, suka...

- Przeżyłaby.

- Ale wie pani, jakby na mnie spojrzała po powrocie?

- Mój kot wytrzymuje o wiele dłużej beze mnie.

- Hm. Ale mówimy nie o kocie, a o psie.

- O czym my w ogóle mówimy?

Mistrz był już zmęczony. Nie odpowiedział. Chciał już wyjść, poczuł, że naprawdę już pora na to. Najwyższa.

Dziewczyna wstała od stołu i położyła się na kanapie. Zrobiła to bardzo naturalnie, nie było w tym nic nieprzyzwoitego.

Oparła policzek na piąstce, spojrzała w oczy mistrzowi i powiedziała:

- Opowiedz jeszcze jedną historię.

- Nie mam żadnego pomysłu.

- Jakąkolwiek. Ja już jednak powoli zaczynam zasypiać. Opowiedz mi jakąś historię na koniec.

- O czym?

- Żeby występowała w niej panna młoda i pan młody. Żeby byli ślicznie ubrani.

- O, było coś takiego. Nawet niedawno. Historia jest słaba, ale występują w niej panna młoda i pan młody.

- Bardzo chcę takiej historii. Opowiadaj.

- W zeszłą sobotę szedłem z suką ulicą Sienną. I szła naprzeciwko nas prześliczna para młoda.

- Jak byli ubrani?

- No, ona na biało, a on na czarno.

- Ale opisz dokładnie.

- Nie potrafię. Nie mam pamięci do takich szczegółów. Bardzo elegancko wyglądali. I oboje niezmiernie byli przystojni. Zwłaszcza panna młoda. Szli bardzo powoli, a wokół nich biegali fotograf i pan z kamerą.

Przybierali różne zakochane pozy i wyrazy twarzy. Starali się wyglądać jeszcze bardziej elegancko w obiektywach. Żeby się ich dzieci nie wstydziły w przyszłości. Staralem się ich wyminąć i nie wejść im w kadr i w paradę, ale nagle panna młoda spojrzała na mnie i wrzasnęła. Suka zaczęła szczekać, bo nie lubi jak ktoś znie-nacka wrzeszczy. Pan młody przybrał nieprzyjemny wyraz twarzy. Już chciał nas bić, ale okazało się, że panna młoda mnie rozpozna-ła. Że widziała ten serial. I że koniecznie chciała sobie ze mną, nie-ogolonym, skacowanym, zniszczonym, zrobić zdjęcie.

- I co?

- Odmówilem.

- Jesteś okropny. Pannie młodej w tym szczególnym dniu nie powinno się odmawiać.

- Jestem okropny. Odmówilem ze względów estetycznych. I moralnych.

- Słaba historia.

- Ostrzegałem.

- To była słaba historia, ale i tak dużo ciekawsza od tych histo-rii, które mi się zdarzają, wiesz? Ty to masz szczęście, ja nigdy nie spotkałam panny młodej, która chciałaby się ze mną fotografować. Ja nigdy nie zagram w filmie. Ja nigdy nie będę na potańcówce z krawcowymi. Nigdy nie zobaczę w karcie takiego alkoholu jak żu-brobull. A może ty to wszystko zmyślasz?

- Och, proszę pani. Gdybym to wszystko zmyślał, to byłoby to o wiele bardziej barwne.

- Ty jesteś z innego świata. Wiesz, nawet mogłabym się z tobą związać. Naprawdę. W ogóle by mi nie przeszkadzało, że jesteś taki stary. W ogóle. Naprawdę mogłabym się z tobą związać, inny świe-cie.

Mistrz był odrobinę zaskoczony.

Nawet nie odrobinę, mistrz zaskoczony był bardzo tym nagłym wyznaniem.

Nie spodziewał się.

Był w stanie powiedzieć jedynie nieśmiertelne „hohoho”.

Więc powiedział to „hohoho” i czekał, co będzie dalej.

- Mogłabym się z tobą związać, naprawdę mogłabym, ale czy umiał byś zostawić wszystko?

- Co to znaczy, proszę pani: „wszystko”?  
- Swoje przyzwyczajenia, swoją sukę, swój alkohol, swoje płyty, swoje książki, nawet pamięć o Doktorze? Umiałbyś to wszystko zostawić i wyjechać ze mną do Meksyku?  
- Przecież wie pani, że nie umiałbym.  
- Sam widzisz. Dlatego się z tobą nie zwiążę - powiedziała i ziewnęła.

- Hohoho - odpowiedział.

Chwilę pomilczała, a potem zamruczała znienacka:

- Chodź tu.

Zbliżył się.

- Możesz mnie pocałować na pożegnanie - powiedziała i zamknęła oczy.

Nie pocałował jej.

Był bardzo blisko.

Ale nie pocałował jej.

A ona, nie otwierając jeszcze oczu, powiedziała:

- A gdybyś chciał, to mógłbyś nawet się ze mną pokochać na pożegnanie. To mogłaby być twoja nagroda za dzisiejsze historie. Może byś zrozumiał, co tracisz, nie jadąc ze mną do Meksyku.

Dotknął wargami jej ucha.

- Dobranoc - szepnął i udał się w stronę drzwi.

To oczywiście mogłoby być znakomite zamknięcie tego wątku, ale byłoby nazbyt proste.

A my nie potrzebujemy takich prostych zakończeń.

## rozdział jedenasty

Mistrz powiedział bardzo głośno, najgłośniej jak potrafił:

- Halo, halo! Bardzo przepraszam! Panie kierowco, bardzo przepraszam! Muszę wysiąść, koniecznie muszę wysiąść, proszę się zatrzymać! - powiedział tak, a potem zaczął się przedzierać w stronę wyjścia, potrącając nielicznych o tej porze podróży.

Kierowca był dobrze wychowany, a może przestraszył się mistrza, nie wie nikt, jak to z nim było, ważne, że posłusznie zatrzymał się.

Mistrz wysiadł w szczerym polu i bełkocąc do siebie jakieś chaotyczne wyrazy, zaczął wracać.

Na szczęście nie odjechali nazbyt daleko.

Na szczęście widać było jeszcze nieliczne światła miejsca, które przed chwilą opuścił.

Na szczęście odcinek drogi, który miał do pokonania, nie był zbyt wyczerpujący dla jego i tak osłabionych nóg.

Na szczęście wszelkie niedogodności klimatyczne typu wiatr, deszcz i mgła ustały.

Tak jakby ocieplilo się nawet.

Po raz któryś z kolei tego dnia pokonywał tę samą trasę.

Dreszcz go przeszedł, kiedy przypomniał sobie, że gdy po południu szedł tędy, czuł czyjąś obecność. Ale wtedy to zlekceważył. A teraz już wiedział, że ktoś za nim szedł, teraz już powoli zaczynał wszystko rozumieć.

Przypomniał sobie i zrozumiał słowa staruszka spotkanego we mgle. Bo staruszek we mgle, pojął wreszcie mistrz, nie pojawił się przypadkowo. Może i był przywidzeniem, ale przecież przywidzeniem wyprodukowanym przez umęczony mózg mistrza!

\*

Minąwszy przeróżne znajome, wielokrotnie już dzisiaj mijane punkty topograficzne, mistrz dotarł pod domek Doktora.

Policja już zniknęła, zapewne po obfotografowaniu miejsca zbrodni, wstępnym badaniu zwłok i innych jakichś tam policyjnych czynnościach zabrano młodszego Moralesa do wielkiego miasta.

Za oknami było ciemno.

Ale pamiętał, że napotkany we mgle staruszek powiedział, że jest światło w domu umarłego. I przypomniał sobie, że gdy przechodził tędy z dziewczyną, zobaczył jakiś nagły błysk.

Nacisnął klamkę.

Zamknięte.

Obszedł domek dookoła, nie zauważył nic, żadnego znaku obecności wewnątrz. Ale nie zrezygnował.

W nagłym olśnieniu przypomniał sobie, że kiedyś, przed laty, przyjechał tutaj, zaproszony przez Doktora, i także zastał zamknięte drzwi. Nie przejął się wtedy tym zbytnio, usiadł na progu, zapalił papierosa i poczekał. Nie spieszyło mu się nigdzie. Jak Doktor powiedział, że będzie, to znaczyło, że będzie. Może trochę się spóźni, ale będzie.

Kwadrans później nadszedł Doktor z dwiema wielkimi torbami z zakupami (nawet trzymając w obu rękach tandetne torby z zakupami człowiek ów wyglądał niezmiernie poważnie i godnie, tak godnie i poważnie mistrz nie wyglądał nawet bez toreb) i powiedział, że jak następnym razem mistrz nie będzie się mógł dostać do środka, to wystarczy bardzo mocno nacisnąć jedno z okien wychodzących na ogród i ono samo się otworzy.

- Kiedyś je trzeba będzie naprawić, ale parę razy mi się to, że jest zepsute, przydało, jak zapomniałem kluczy - powiedział Doktor.

Mistrz sprawdził, czy Doktor naprawił to okno.

Nie naprawił.

Okno z lekkim oporem otworzyło się.

Mistrz wgramolił się z trudem do środka.

Wewnątrz było bezdennie ciemno.

Jak w grobowcu.

\*

- Oczywiście. Mogłem się spodziewać. Tak to się musiało skończyć. Musieliśmy na sam koniec się spotkać. Pijany mistrz, wtrącający się w nie swoje sprawy. I ja, zły człowiek - powiedział głos w ciemności. - No witam, witam. Widział naturalnie mistrz te stare, kultowe filmy kung-fu z Hongkongu, w których Jackie Chan, jako pijany mistrz, rozprawiał się z setkami przeciwników? Legenda pijanego mistrza. Cudowne.

- Tak. Oczywiście. Kiedyś widziałem coś takiego. Aha. Widziałem. Jak jeszcze chodziłem do kina - odpowiedział mistrz.

Rozpoznał ten głos. Wszystko ułożyło mu się w tym momencie w dość wyraźny kształt. Niemal wszystko.

- Pijana czapla stojąca na jednej nodze. Biały tygrys marszczący czoło. Mała, która wypila wino pijanego mistrza. Tak się nazywały jego ciosy, prawda? - zarechotał głos.

Mistrz skupił się i zaczął sobie przypominać. Nieoczekiwanie pojawiła się masa wspomnień związanych z tym filmem. To tak jest, że tego rodzaju rzeczy zalegają gdzieś w mózgu i w pewnym momencie znieacka się uruchamiają.

- Aha. Pamiętam, pamiętam. Najbardziej wzruszył mnie moment, kiedy ojciec mistrza znalazł zniszczone przez bohatera trzysetletnie drzewko bonsai, wkurzył się i wydziedziczył mistrza. I ten wydziedziczony nieszczęśnik poszedł do knajpy, upił się przeraźliwie i śpiewał piosenkę o oceanie smutku albo oceanie łez, czy czymś takim. A później przyszli jego wrogowie i nie mógł z nimi walczyć, taki był pijany. Nie zabili go, powiesili go na pośmiewisko nagiego na placu, lekko tylko przykrytego płachtą z jakimiś ichnimi, pewnie obraźliwymi hieroglifami. Mimo że w sumie była to komedia, to był bardzo smutny moment. Prawie jak ukrzyżowanie. To pamiętam... - tak oto właśnie rozgadał się mistrz.

Gadał, żeby zagadać tę nieprzeniknioną ciemność.

- A w jakim stylu dzisiaj będzie mistrz ze mną walczył? - żartobliwie zapytał głos z ciemności.

- Ach, to będziemy dzisiaj walczyć? - upewnił się mistrz.

- No, chyba musimy. Skoro mistrz tu jest, to wydaje mi się, że coś jednak mistrz wywęszył. Węszył, węszył i wywęszył. Pewnie nie wszystko, ale jest mistrz na dobrym tropie. Mały mistrz znalazł trop. Mały mistrz chce się zemścić. Chce pomścić swojego umarłego przyjaciela. To mały mistrz jest sądem. Obejrzałem sobie na świeżo wszystkie głupkowane odcinki tego głupkowatego serialu. Jestem na bieżąco. Straszne gówno.

- Wie pan co? Właśnie dzisiaj sobie postanowiłem, że jeżeli ktoś jeszcze będzie mi wypominał udział w tym serialu, to go zabiję. Od wielu lat ludzie chodzą za mną i mówią, jak bardzo im się to podobało albo jak bardzo im się nie podobało. Skończyło się. Mało mnie to interesuje. To jest pański problem, co się panu podoba, a co nie. Nie mam najmniejszego zamiaru wysłuchiwać takich rzeczy. Zwłaszcza od takich osób jak pan - warknął niegrzecznie mistrz.

- Och, nie spodziewałem się, że potrafi być mistrz aż tak asertywny i agresywny - zasyczał złośliwie pan.

Słowo „mistrz” wymawiał z tak przesadnym naciskiem, że stało się to za każdym razem coraz bardziej obraźliwe.

- Nikt się nie spodziewał.

Człowiek wynurzył się z mroku.

Stał tak blisko mistrza, że dało się już zobaczyć jego twarz. Człowiek wskazał na stojące niedaleko krzesła.

- Usiądźmy. Dawno temu wyłączyli tu prąd, trochę sobie przyświecałem zapalniczką, ale to nie ma sensu. Jakoś wytrzymamy ten mrok.

Usiedli.

- Proszę na mnie spojrzeć, mistrzu. Proszę mi się przyjrzeć uważnie. Proszę się zastanowić.

Mistrz przyjrzał się temu panu. Widział go już tego dnia. Widział go również kilka razy przed laty. Teraz uświadomił sobie wyraźnie, gdzie i kiedy. Niewykluczone, że widział go nawet więcej niż kilka razy.

- Domyślałem się, że połączy sobie mistrz te wszystkie fakty. Ale nie ma mistrz żadnych dowodów. Jedyne dowód, jaki mógł mistrz mieć, znalazłem tutaj. A podejrzewałem, że jednak mistrz to ma. Zachowywał się mistrz, jakby trzymał mnie w garści. Jakby miał dowody, jakby wiedział dokładnie o wszystkim. Ale to okazało



się złudzeniem. Na szczęście znalazłem to tutaj. Troszeczkę się naszukałem, ale, proszę bardzo, oto rezultat.

I pokazał mistrzowi jego własny dyktafon. Ten, który Doktor pozyczył od niego na parę miesięcy przed śmiercią. I którego nigdy nie oddał.

Mężczyzna wyjął z dyktafonu kasetę i zaprezentował ją mistrzowi.

- To, co tu jest nagrane, mogło świadczyć przeciwko mnie. Na szczęście Doktor nie zrobił tak jak się odgrażał, nie przekazał tej kasety ani policji, ani żadnej zaufanej osobie. Wydawało mi się, że ona jest u mistrza. Ale okazało się, że jest tu. Ukrył ją w kominku. Trochę się namęczyłem szukając, ale miałem przecucie, że to tu jest. I - proszę bardzo! Ostatni dowód przeciwko mnie za chwilę będzie zlikwidowany, jutro wyjadę za granicę i nigdy nie wrócę. Mistrz sobie może o mnie meldować komukolwiek, nikt mistrzowi nie uwierzy, mistrzowi już nikt od bardzo dawna nie wierzy, bo jak, proszę mistrza, jak można wierzyć komuś, kto formalnie nie istnieje?

- Jeżeli uważa pan, że rozmawia z kimś, kto nie istnieje, to przecież nie ma problemu, może mi pan opowiedzieć o wszystkim. Ktoś, kto nie istnieje, nie może zrobić z tego żadnego użytku, prawda? To tak, jakby wykopał pan dołek w ziemi i do tego dołka wyznał swoje grzechy.

- Cwany jesteś.

- Usiłuję.

- Sam mi opowiedz, mistrzu, jak taki cwany jesteś. Ja najwyżej sprostuję, kiedy się będziesz mylił.

Mistrz wyjął papierosa. Zapalił.

- Nie poczęstuje mnie mistrz?

Poczęstował.

W paczce pozostał już teraz tylko jeden camel. Wszystko się kończyło.

- No dobrze. Spróbuję to opowiedzieć. Nie wiem wszystkiego. Więcej się domyślam, niż wiem na pewno.

- Kombinuj, mistrzu, kombinuj!

Więc mistrz zaczął opowiadać:

- Doktor był szantażowany. Przez pana. Dopiero teraz skojarzyłem sobie, że to pan za nim chodził przez kilka miesięcy poprzedzających jego śmierć. Nie od razu pana rozpoznałem. Nie mam

pamięci do twarzy. Zresztą, ubierał się pan wtedy na biało. Czemu go pan szantażował?

- W słusznej sprawie.
- Co to dla pana znaczy: „słuszna sprawa”?
- Na pewno nie to, co dla ciebie, mistrzu.
- Na pewno - przytaknął mistrz.

Gestykulował, albowiem gestykulowanie pomagało mu bardzo w tej rozmowie.

Siedział obok kominka i jego gestykulująca ręka zaczęła o jakiś przedmiot, który brzdęknął metalicznie.

- Co to? - spłoszył się pan.
- Nic, nic - uspokoił go mistrz. - Coś potrąciłem.
- O, widzę, że mistrz by się na pewno chętnie napił? Rączki zaczynają latać?

- Niekoniecznie - odpowiedział z pełnym przekonaniem mistrz.  
- Wracajmy do naszej historii.

- Proszę bardzo, mistrzu. Opowiadaj.
- Muszę najpierw wiedzieć, po co pan szantażował Doktora?
- Profesor Fiut, mówi to panu coś?
- Nic mi nie mówi. Może gdzieś słyszałem to nazwisko. Hihi. Może Doktor o nim wspominał. Ale nie jestem pewien.

- Doktor był pionkiem w tej grze. Chodziło o zniszczenie ordynatora, profesora Fiuta. Stary był, niepotrzebny. Niepewny politycznie. Blokował karierę młodych, zdolniejszych od niego, ambitniejszych pracowników.

- Na przykład pana?
- Na przykład moją. No, ale ja gadam, a to przecież szanowny mistrz miał mi wyjaśnić całą zagadkę!

- Podejrzewam, że przymuszał pan Doktora, żeby zeznał coś przeciwko temu profesorowi... Fiutowi. A dlaczego pan sam nie zeznawał?

- Ja się nie mieszam do takich rzeczy. To brzydkie sprawy, wolałem ich nie firmować swoim nazwiskiem. Unikam brzydkich spraw, nie po to jestem, żeby się pobrudzić. Wolałem posłużyć się Doktorem. Tak było uczciwiej.

Mistrzem zatrzęsło.

- Ciekawe wyobrażenie o uczciwości...

- Co zapijaczony mistrz może wiedzieć o uczciwości? - zarechotał pan. - Co zapijaczony mistrz może wiedzieć o prawdziwym życiu prawdziwych ludzi? Tych, którzy płacą podatki, którzy ciężko pracują na utrzymanie swoich rodzin? Którym zależy na tym, żeby nasz kraj był naprawdę w Europie? Którzy chcą powyrywać chwasty, chcą zlikwidować taką Polskę, jakiej symbolem był profesor Fiut?

Mistrz docenił ironię tej wypowiedzi. A jeśli nie była to wypowiedź ironiczna? Na wszelki wypadek nie pociągnął dalej tematu uczciwości.

Przyjrzał się tylko uważnie, czyjego rozmówcy znieca nie wyrastają rogi i kopyta.

Nie wyrastały.

- No więc przymuszał pan Doktora, żeby zeznał coś przeciwko profesorowi. Co takiego miał powiedzieć?

- Że profesor był kompletnie pijany, że pił przed operacją, że popełnił błąd w sztuce lekarskiej, przez co stary Żółwiński umarł, sfabrykowałem nawet nagrania na komórkę, jak profesor sam wyznaje, że pił, ale i tak operować będzie, Doktor miał się tym posłużyć, ale przecież nie będę mistrza wtajemniczał w szczegóły, nie zna się mistrz na tym, wystarczy powiedzieć, że posądzenie o picie alkoholu przed operacją to nagranie plus zeznania Doktora mogły spokojnie spowodować, jeśli nie skazanie, to przynajmniej poważne zarzuty wobec profesora, utratę zaufania i tak dalej. A w rezultacie koniec jego szemranej kariery.

- Ale Doktor odmówił...

- Gówno prawda. Poszantażowałem go troszeczkę i od razu zmiekl. Miał już zeznawać. Zgodził się. Wszystko miało się dobrze skończyć, aż tu nagle Doktor mówi, że nie. Że nie zezna. I że ma nagrane, jak go namawiam do fałszywych zeznań. Przesadził. Mnie nie da się zniszczyć. Sytuacja zrobiła się patowa, ja miałem coś na niego, on miał coś na mnie...

- I wtedy jakoś namówił pan młodszego Moralesa, żeby otrul Doktora, tak?

- Doktor już właściwie nie był mi w tym momencie potrzebny. Znalazłem inne sposoby, żeby wykończyć profesora. A Doktor troszeczkę mi zaczął przeszkadzać. Ale niech mistrz nie będzie taki brutalny, taki radykalny w swoich ocenach, ojej, zaczynam się mistrza bać... Niech mistrz nie trywializuje, ja wcale nikogo nie

namawiałem do zabijania Doktora. Młodszy Morales to był bardzo zapalczywy człowiek. Ja mu tylko poradziłem, jaka trucizna jest najlepsza, żeby pozbyć się uprzykrzonego szkodnika. A że miałem jakieś zapasy tej substancji, więc mu ją nieodpłatnie przekazałem. Ale ja, jako dobroczyńca, wolałem pozostać w cieniu w tej sprawie. Przez moją zwykłą delikatność i skromność.

- Aha... - zamruczał mistrz. - Delikatność i skromność. To brzmi jak nazwa jakiejś partii.

- Żartowniś z mistrza! - zachichotał pan i kontynuował opowieść. - No i Doktorowi się zmarło. Na szczęście mój szanowny kolega prawdopodobnie popełnił samobójstwo. Nasypał sobie trucizny do alkoholu, nie zostawił niestety żadnego listu, szybko uznało, że to samobójstwo, nie było żadnych problemów, sprytny Morales usunął butelkę i szklaneczkę po alkoholu następnego dnia rano, nikt jakoś się nie zastanawiał, gdzie one się podziały...

- Ja się zastanawiałem.

- Ty, mistrzu, możesz się zastanawiać, społeczeństwo jest tym średnio zainteresowane, nad czym się zastanawiasz... Muszę ci się zwierzyć, że męczyło mnie tylko jedno, te materiały, nagrania, czy coś tam jeszcze... Pewni mili ludzie rozejrzeli się po mieszkaniu Doktora, nie odnaleźli niczego, ba, nawet zajrzeli potem do ciebie, ale też, wśród tej kupy śmieci, nie było tam tego, czego szukali. Dziewczyną zająłem się osobiście, też bez skutku. To, co pozostawił po sobie Doktor, mogło mi odrobinę zaszkodzić. I znalazłem to dopiero dzisiaj!

- Ach, więc to włamanie u mnie...

- Jakie włamanie? Normalny rekonesans. Włamań dokonują dżentelmeni-włamywacze. Najczęściej chodzi o dzieła sztuki lub brylanty...

- A dzisiaj? A dzisiejszy dzień? - zmienił temat mistrz. - Kto zabił młodszego Moralesa?

- Och, zawiadomiłem dyskretnie, nie ujawniając się fizycznie, starszego Moralesa, że niewykluczony jest udział jego brata w śmierci Doktora. A starszy Morales, jako człowiek niezrównoważony, ze skomplikowanym systemem wartości, bardzo się zdenerwował. Zwłaszcza że, zdaje się, młodszy wyznał mu coś tam po pijanemu. To bardzo skomplikowane. Nie jestem pewien, czy to starszy Morales śmiertelnie pobił młodszego, czy też tylko zaczął, a ktoś

inny za niego to dokończył... Nie wiadomo. W każdym razie młodszy Morales jako trochę niewygodny świadek umilkł, a ze starszym to nie wiadomo co będzie. Pewnie nic dobrego...

Siedzieli w tych ciemnościach, mistrz w zasadzie rozumiał już wszystko, miał jeszcze kilka pytań, ale spodziewał się jak zabrzmia odpowiedzi.

A jednak nie spodziewał się tego, co usłyszał w tym momencie.

- Wracając do tego twojego, mistrzu, Doktora. Powiedziałem mu, że jak się będzie stawał, jak nie zechce mi pomóc w zniszczeniu profesora Fiuta, to i ciebie, mistrzu, udupię.

- Mnie?

- Na jakim świecie mistrz żyje? Wystarczyłoby parę telefonów do różnych urzędów, a byłbyś skończony. Przecież nie płacisz żadnych podatków, nigdzie nie jesteś zameldowany, a jeżeli masz nawet jakieś papiery, to albo nieaktualne, albo fałszywe. Prawda? Wystarczyłoby parę telefonów, tak mi poradził mój prawnik. Pomyślałem, że oprócz romansu z Lolą to również dobry motyw do zlamania Doktora.

- A Doktor?

- Okazało się, że Doktor bardzo chętnie by ciebie poświęcił, mistrzu. Nie miałby większych wyrzutów sumienia. Nie lądź się, nie za bardzo mu na tobie zależało. Bardziej bał się, że recepty na narkotyki dla Loli i jego romans z nią mu zaszkodzą. Doktor, wbrew pozorom, obracał się w bardzo kołtuńskim środowisku. I dla ciebie, mistrzu, w takim środowisku nie było miejsca. Podświadomie bardzo się tobą brzydził.

- Kłamstwo!

- Ja, mistrzu, nie mam powodu, żeby kłamać. Doktor stwierdził, że twoje losy go raczej średnio obchodzą.

- Kłamstwo!

Człowiek zaśmiał się krótkim, suchym śmiechem.

- No to sobie pogadaliśmy, no to sobie mniej więcej wszystko wyjaśniliśmy, pora już na mnie. Pozostawię cię z tą wiedzą, a ty nie będziesz w stanie niczego z tym zrobić, nie miej złudzeń. Nie ma żadnych dowodów, przyszedłem tutaj, odnalazłem wreszcie kasety, trochę mnie ta obecność policji w pobliżu podenerwowała, ale nawet w ciemnościach da się odnaleźć wszystko, jeżeli bardzo się chce, więc już mnie nic nie powstrzymuje, już jestem czysty, tę kasety zabieram ze sobą, pewnie ją zniszczę. Nie było sprawy. A jutro

wyjeżdżam z tego kraju, posprzątałem po sobie, wszystko jest jak należy, nigdy tu już nie wrócę. Nie zostawiam żadnych śladów. Tam, w Meksyku...

- W Meksyku?

- Oj, gaduła ze mnie. Niepoprawna gaduła. Niepotrzebnie się wygadałem. Ja to taki właśnie jestem. Szczery chłopak. Co na sercu, to na widelcu. No, jadę do Meksyku. I to nie sam jadę, zabieram ze sobą kogoś, kto zrozumiał, że warto się mnie trzymać. To ona dała mi klucz do tej chałupy. Pracuje u mnie, w Stylowej, nie od dzisiaj, posłuszna z niej dziewczyna, dobrze ją poznałem, można jej zaufać. Specjalnie źle ci o niej mówiłem, żeby sprawdzić, co o niej myślisz. I co o niej wiesz. Zabieram ją do Meksyku, trochę się zabawimy, a potem...

Mistrz wstał gwałtownie.

- O, jaki nerwus z ciebie, mistrzu! Ojej, jaki straszliwy nerwuszek z ciebie! - zasyczał pan. - No cóż, zostawiam cię teraz samego z twoimi nerwami, ze wspomnieniami o Doktorze, którego miałeś za przyjaciela, a który chciał cię zdradzić, ze wspomnieniami o panience, która wybrała człowieka z przyszłością, a nie z przeszłością...

Zaczął się zbliżać.

Niby oczy mistrza były już przyzwyczajone do ciemności panującej w domu umarłego, ale nie widział swojego przeciwnika zbyt dokładnie. Tylko zarys twarzy.

- Niech się mistrz nie boi... - powiedział pan.

Ale mistrz się nie bał.

Uczucie strachu było zarezerwowane dla innych okoliczności.

Mistrz nie bał się wcale, mistrzowi było wszystko jedno.

Mistrz w tej chwili wiedział już doskonale, jak skończy się ostatni odcinek serialu.

Jego krzesło stało blisko kominka, koło kominka stał pogrzebacz.

W czasie rozmowy, gestykulując, natrafił właśnie na ten przedmiot.

Teraz jego ręka odnalazła go.

Teraz uderzył.

A potem uderzył jeszcze raz.

Trzeci raz nie trzeba było uderzać.

Zabrał pogrzebacz ze sobą.

Przytomnie wrzucił to narzędzie sprawiedliwości do nieużywanego od wielu lat wychodka znajdującego się w ogrodzie.

Złapał nocną okazję, kierowca wcale się nie przestraszył samotnego człowieka machającego ręką na samochody na obrzeżach miasta.

Wrócił do domu przed dwudziestą trzecią.

Suka przywitała się z nim wylewnie.

Wyszli na spacer.

Było naprawdę o wiele cieplej.

Pierwsze powiewy wiosny.

Szedł i rozmyślał, jak naprawdę ten niedobry pan, którego zwłoki pozostawił w domu umarłego, miał na imię.

Gracjan? Fabian? Przemysław?

On ma wiele imion, jego nie da się zabić.

Mistrz pomyślał, że całkiem niewykłuczone, iż to właśnie z podseptu Gracjana Fabiana Przemysława uduszona została pewna pannica. Że to być może dzięki jego knowaniom zginęli przed kilku laty członkowie pewnego zespołu rockowego.

Mistrz szedł samotnie, lecz z suką, szedł przez nocne Planty i wiedział, że oto właśnie cały ten serial z jego udziałem zakończył się.

\*

- Prawdziwy bohater powinien być samotny - powiedział sam do siebie, ale przecież, zdaje się, że to on pozwolił, żeby ta pani się wprowadziła, pozwolił, żeby wniosła do jego zapleśniałego mieszkania swoją dużą, elegancką torbę. A potem mnóstwo innych, podobno niezbędnych przedmiotów.

Pozwolił, żeby suka dostała od tej pani nowe posłanie. Zgodził się, żeby już więcej nie sypiała w ludzkim łóżku. Gdyż nie jest to higieniczne.

Teraz w ludzkim łóżku sypiali wyłącznie ludzie. Prowadzili całkiem udane życie płciowe. Nieoczekiwanie udane.

Mistrz starał się upodobnić do człowieka, ale skutki były mizerne, wiedział, że tak będzie, że nie poradzi sobie z tymi wszystkimi ludzkimi obowiązkami, właściwie to tylko w życiu płciowym jakoś sobie radził, cała reszta nie była nazbyt udana, próbował jej to, tej pani, wytłumaczyć, ale bezskutecznie.

Och, niezbyt długo tu pomieszkała, niespełna jeden miesiąc, potrzebowała niespełna miesiąca na to, by otworzyły się jej oczy, żeby

pojęła bezsens swoich usiłowań. Nie udaje się ocieplić grobowca. W grobowcach nie wieszają się wesołych firaneczek.

Wcale się nie pokłócili, ona po prostu wreszcie po kilku tygodniach spojrziała trzeźwym okiem na to mieszkanie, którego się nie da posprzątać, na tego mężczyznę, którego nie uda się ocalić, na sukę, która nigdy nie będzie normalna.

I tyle.

I spakowała się.

I wyszła.

Tak jakby nigdy jej nie było.

Tak jakby nigdy niczego nie było.

A kto udowodni, że cokolwiek kiedykolwiek było?

\*

- Już nie żyjesz - powiedział ktoś stojący w bramie. Przeszedł go drobny dreszcz. Ale od dawna podejrzewał, że już nie żyje, więc wzruszył ramionami i wyszedł z bramy.

*Kraków, styczeń - sierpień 2008*



## od autora

Po tym mieście i po tym świecie niestety chodzą nadal osoby, które uważają się za pierwowzory bohaterów dwóch moich poprzednich powieści, a pewnie ten sam los spotka i powieść „Jedenaście”.

Zawsze znajdzie się jakiś matoł, który uważa, że on lub jego wujek zostali sportretowani, skarykaturowani i obrażeni przez autora. I pies z nimi tańcował! Można to również ująć dosadniej.

Ludzie koniecznie chcą wiedzieć, kto się kryje pod jakąś postacią literacką. Tak jakby było im to niezbędne do życia. Otóż ostatni raz odpowiadam: pod postaciami literackimi kryją się postaci literackie. Nikt inny.

Autentyczni bohaterowie wystąpią dopiero teraz, przy okazji podziękowań. Bo dziękować należy znowu. Bo dziękować należy nieustannie. Bo wiem, że zupełnie bym sobie nie poradził z tą książką bez pomocy ludzi dobrej woli.

No to dziękuję:

- Gai Grzegorzewskiej za wielką pomoc przy Loli,
- Grzegorzowi Dyduchowi za bardzo głęboką konsultację merytoryczną i wiele celnych zdań wypowiedzianych przez bohaterów „Jedenaście”,

- Irkowi Glinowi za hihi inspirację dla mojego projektu hihi,
- Janowi Trzupkowi za opowiedzenie mi pewnej historii,
- Edwardowi Pasewiczowi za dobre słowo,
- Tomaszowi Kunzowi - za to i owo.

I jeszcze komuś za coś bardzo ważnego. I jeszcze komuś...

A ci, którym nie dziękuję, doskonale wiedzą, dlaczego im nie dziękuję.

Niniejszym zamykam oficjalnie trójksiąg o przypadkach mojego nieszczęsnego bohatera. Niewykluczone, że jeszcze kiedyś powróci, ale na pewno w zupełnie inny sposób. Bo oni zawsze wracają.

Kłaniam się i pozdrawiam,

Marcin Świetlicki

Copyright © Marcin Swietlicki 2008 Copyright ©EMG 2008

Projekt okładki i stron tytułowych Dmitry Szewionkow-Kismielow

Fotografia autora Ewa Malec

Redaktor prowadzący serią Irek Grin

Redakcja Tomasz Kunz

Redakcja techniczna i łamanie Lidia Grin

Korekta Ewa Malec

ISBN 978-83-925583-2-3

Wydanie I Kraków 2008

Wydawca

EMG

31-055 Kraków

ul. Miodowa 6/1

[www.wydawnictwoemg.pl](http://www.wydawnictwoemg.pl)

Dystrybucja

L&L Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza Sp. z o.o.

infolinia: 0801 0031 10

[www.ll.com.pl](http://www.ll.com.pl)

„Chroma” Drukarnia Krzysztof Raczkowski

ul. Przemysłowa 5,68-200 Żary

tel. +48 68 374-34-16; +48 68 477-21-00

tel./fax+48 68 374-32-58

e-mail: [info@chroma.pl](mailto:info@chroma.pl); <http://www.chroma.pl>